REPORTAŻ

Mariusz Szczygieł

GOTTLAND

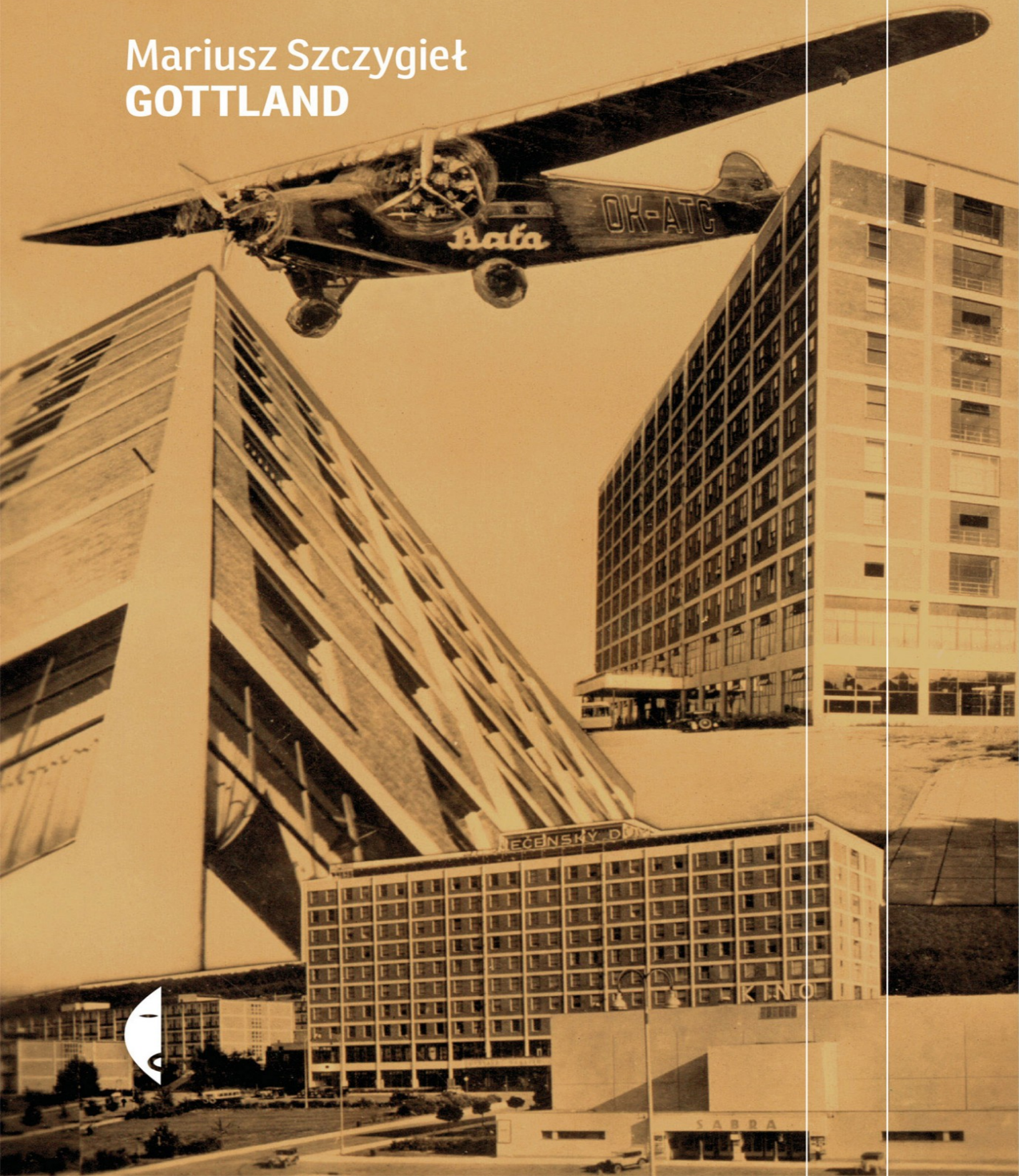

W serii ukazały się ostatnio:
Aleksandra Łojek *Belfast. 99 ścian pokoju*
Paweł Smoleński *Izrael już nie frunie* (wyd. 4)
Peter Pomerantsev *Jądro dziwności. Nowa Rosja*
Swietłana Aleksijewicz *Cynkowi chłopcy* (wyd. 2)
Katarzyna Surmiak-Domańska *Ku Klux Klan. Tu mieszka miłość*
Jean Hatzfeld *Englebert z rwandyjskich wzgórz*
Marcin Kącki *Białystok. Biała siła, czarna pamięć*
Bartek Sabela *Wszystkie ziarna piasku*
Anna Bikont *My z Jedwabnego* (wyd. 3)
Martin Schibbye, Johan Persson *438 dni. Nafta z Ogadenu i wojna przeciw dziennikarzom*
Swietłana Aleksijewicz *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety* (wyd. 2)
Dariusz Rosiak *Ziarno i krew. Podróż śladami bliskowschodnich chrześcijan*
Piotr Lipiński *Bicia nie trzeba było ich uczyć. Proces Humera i oficerów śledczych Urzędu Bezpieczeństwa* (wyd. 2 popr. i rozszerz.)
Paweł Smoleński *Zielone migdały, czyli po co światu Kurdowie*
Wolfgang Bauer *Przez morze. Z Syryjczykami do Europy*
Cezary Łazarewicz *Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyka*
Elizabeth Pisani *Indonezja itd. Studium nieprawdopodobnego narodu*
Beata Szady *Ulica mnie woła. Życiorysy z Limy*
Rana Dasgupta *Delhi. Stolica ze złota i snu*
Ed Vulliamy *Wojna umarła, niech żyje wojna. Bośniackie rozrachunki* (wyd. 2)
Andrzej Brzeziecki, Małgorzata Nocuń *Armenia. Karawany śmierci*
Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz *Zabić smoka. Ukraińskie rewolucje*
Anna Sulińska *Wniebowzięte. O stewardesach w PRL-u*
Anjan Sundaram *Złe wieści. Ostatni niezależni dziennikarze w Rwandzie*
Ilona Wiśniewska *Hen. Na północy Norwegii*
Mur. 12 kawałków o Berlinie pod red. Agnieszki Wójcińskiej (wyd. 2 zmienione)
Iza Klementowska *Szkielet białego słonia*
Lidia Pańków *Bloki w słońcu. Mała historia Ursynowa Północnego*
Piotr Nesterowicz *Każdy został człowiekiem*
Dariusz Rosiak *Żar. Oddech Afryki* (wyd. 2 zmienione)
Anna Mateja *Serce pasowało. Opowieść o polskiej transplantologii*
Linda Polman *Karawana kryzysu. Za kulisami przemysłu pomocy humanitarnej* (wyd. 2)
Scott Carney *Czerwony rynek. Na tropie handlarzy organów, złodziei kości, producentów krwi i porywaczy dzieci* (wyd. 2)
Misha Glenny *Nemezis. O człowieku z faweli i bitwie o Rio*
Adam Hochschild *Lustro o północy. Śladami Wielkiego Treku*
Kate Brown *Plutopia. Atomowe miasta i nieznane katastrofy nuklearne*
Drauzio Varella *Klawisze*
Piotr Lipiński *Cyrankiewicz. Wieczny premier*
Aneta Prymaka-Oniszk *Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy*

W serii ukażą się m.in.:

Maciej Czarnecki *Dzieci Norwegii. O państwie (nad)opiekuńczym*

Zbigniew Parafianowicz, Michał Potocki *Kryształowy fortepian. Zdrady i zwycięstwa Petra Poroszenki*

Mariusz Szczygieł

Gottland

Wołowiec 2016

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Projekt układu typograficznego Robert Oleś / d2d.pl
Wybór zdjęć Katarzyna Bułtowicz
Fotografia na okładce © by AKG / BE&W

Copyright © by Mariusz Szczygieł, 2016
Redakcja Justyna Wodzisławska
Korekta Ewa Czernatowicz / d2d.pl
Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Skład Małgorzata Poździk / d2d.pl
Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-388-9

Spis treści

Seria
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja

Ani kroku bez Baty
Pałac Lucerna
Tylko kobieta
Jak pan sobie radzi z Niemcami?
Dowód miłości
Ofiara miłości
Pani Nieimitacja
Kochaneczek
Koncern ludu
Życie jest mężczyzną
Lepszy PR
Wesołych świąt!
Łowca tragedii
Kafkárna
Film się musi kręcić
Przemiana

Postscriptum do wydania III
Postscriptum II
Postscriptum III
Literatura
Przypisy
Kolofon

Dziękuję za wsparcie czeskim przyjaciołom i znajomym. Są to: Tomáš Blahut, Roman Chmel, Adam Georgijev, Michal Ginter, Pavel Janáček, Mirra Korytová, Alexej Kusák, Michal Nikodem, Štěpánka Radostná, Martin Skyba, Helena Stachová, Dalibor Statník, Pavel Trojan.

Dziękuję również tym, którym dziękowałem w pierwszym wydaniu, a teraz nie zobaczą już trzeciego: Václavowi Burianowi, Violi Fischerovej i Joannie Hornik.

Ani kroku bez Baty

Egonowi Erwinowi Kischowi

Rok 1882: Zaduch

– Dlaczego tu tak śmierdzi? – pyta swojego ojca Antonína sześcioletni Tomáš Bata[1]. Tak po raz pierwszy ujawnia chęć uporządkowania rzeczywistości.

Nie wiemy, co ojciec mu odpowiada. Prawdopodobnie w ogóle jest małomówny.

Cztery lata później szewc Antonín Bata jest żonaty po raz drugi. Dwa razy wziął za żonę wdowę z dziećmi. Z każdą miał też własne. W sumie w małym warsztacie szewskim w Zlínie, a potem w Uherské Hradiště wychowuje się pięcioro dzieci z trzech małżeństw. Oprócz tego Antonín pracuje z siedmioma ludźmi. Druga żona nie lubi przeciągów.

Dwanaście lat później: Żądania

Troje dzieci z pierwszego małżeństwa: Anna, Antonín i osiemnastoletni Tomáš, staje przed pięćdziesięcioletnim ojcem. Żądają spadku po matce. Proponują też, aby dał im od razu to, co mieliby odziedziczyć po jego śmierci. Nie mają czasu czekać tyle lat, a poza tym w domu jest ciasno. Dostają sześćset ówczesnych złotych w srebrnych monetach. W swoim zakładzie zatrudniają czterech pracowników.

Bata
DRAHOTA

Plakat *Drahota* (Moravský zemský archiv v Brně, Státní okresní archiv Zlín, FA obalka c. 4537, por. c. 1)

Rok później, 1895 rok: Zasada

Mają osiem tysięcy złotych długu. Nie stać ich na nowe skóry, nie mają czym zapłacić za stare. Antonín dostaje powołanie do wojska, Anna idzie do pracy w Wiedniu jako służąca.

Tomáš patrzy na resztki skór i w rozpaczy wpada na najważniejszą zasadę swojego życia: z wady zawsze zrobić zaletę.

Skoro nie stać ich na skóry, trzeba szyć buty z tego, co jest: z płótna. Ono niewiele kosztuje, a z resztek skóry można zrobić podeszwy. W ten sposób Bata wymyśla jeden z hitów nadchodzącego wieku: płócienne buty na skórzanej podeszwie. Z Wiednia przywozi kilka tysięcy zamówień zebranych w jeden dzień. Buty nazywane są przez ludzi *batovkami*.

Dzięki nim buduje pierwszą fabryczkę: na dwustu metrach kwadratowych pracuje pięćdziesięciu mężczyzn.

Rok 1904: Pytania

Pracownicy zauważają, że nigdy nie może się uspokoić. Jest ciągle tak pobudzony, że ludzie czują się zmęczeni w jego towarzystwie.

W jakiejś gazecie czyta o maszynach z Ameryki. Wyrusza do Stanów i w Lynn (Massachusetts), mieście butów, najmuje się jako robotnik w dużej fabryce. Zabiera ze sobą trzech współpracowników i każdy zatrudnia się gdzie indziej. Nakazuje, aby pilnie obserwowali każdą fazę produkcji. Co sobota czterech zlínskich szewców spotyka się w saloonie, gdzie wymieniają obserwacje.

Dziwią się, że w Ameryce nawet małe dzieci usiłują już zarobić na swoje utrzymanie. Największe wrażenie robi na Bacie sześcioletni chłopiec, który chodzi po domach i za opłatą łapie muchy.

Jedni umierają w nędzy, ale inni pieką placki na ulicy i sprzedają za centa. Tomáš zauważa ciekawą cechę Amerykanów: masowo adaptują wszelkie nowości, które ludzkość potrafiła wymyślić.

Wziął ze sobą do Stanów sześćset osiemdziesiąt osiem pytań, na które szuka odpowiedzi. Podczas pobytu przybywa mu jeszcze siedemdziesiąt. Dochodzi do wniosku, że wyższy niż w Europie standard życia przeciętnego Amerykanina bierze się z wolności od jakiejkolwiek rutyny.

(„Jest jasne, że Tomáš Bata był w USA szpiegiem przemysłowym" – napiszą sześćdziesiąt lat później czechosłowaccy historycy).

Rok 1905: Tempo

Tomáš coraz lepiej zna angielski i słyszy co nieco o Henrym Fordzie. Ten pracodawca – jak pisał o nim E. L. Doctorow – jest od dawna przekonany, że większość ludzi jest zbyt głupia na to, aby móc zarobić na dobre życie. Wpadł więc na pomysł. Podzielił montaż samochodu na osobne, proste operacje, które potrafiłby wykonać nawet dureń. Zamiast uczyć jednego robotnika setek czynności, postanowił ustawić go w jednym miejscu i dać mu do wykonywania jedną i tę samą czynność przez cały dzień, a części posyłać na ruchomej taśmie. W ten sposób umysł robotnika zostanie odciążony. (Fordowi jeszcze kilka lat zabierze wprowadzenie tego pomysłu w życie).

W Stanach Tomáš Bata po raz pierwszy spotyka się z określeniem „zegarek na rękę". Funkcjonuje ono już od czterech lat. Z początkiem XX wieku Amerykanie zaczęli liczyć czas w minutach i czas stał się podstawową miarą produkcji. „Wydajność" i „amerykańskie tempo" – nowe fetysze – wyznaczały podział pracy na równe jednostki czasu. Dzień pracy przestał zależeć od wschodów i zachodów słońca.

5 września 1905 roku: Sekundy

W nocy umiera ojciec.

Tomáš wkrótce potem wraca do Zlína – wciąż zapyziałego miasteczka, o którym mówi się w Czechach, że „tam kończy się chleb, a zaczyna kamień" – i na ścianie swojej fabryczki maluje wielki napis: DZIEŃ MA 86 400 SEKUND. Ludzie czytają ten napis i śmieją się, że syn starego Baty dostał pomieszania zmysłów.

Rok 1905: Miłość

Zakochuje się i zaręcza. Zrywa zaręczyny, kiedy ukochana wyjawia mu, że nie może mieć dzieci.

1905–1911: Harówka

Kupuje niemieckie i amerykańskie maszyny. Fabryka ma już kilkuset pracowników.

Kiedy w 1908 roku Ford wypuszcza swój seryjny „samochód dla każdego”, Tomáša ogarnia podniecenie: – Ford wykorzystuje już swoją taśmę!

Za kilka lat w Ameryce jedną parę butów będzie się produkować siedem godzin, we Francji prawie sześć. Tomáš na ścianie fabryki wypisuje literami wielkości człowieka: DLA LUDZI – MYŚLENIE, DLA MASZYN – HARÓWKA!

U Baty na produkcję jednej pary butów już teraz poświęca się tylko cztery godziny. Szewcy z całych Moraw są zdruzgotani. Tomáš ogradza fabrykę i na ceglanym murze każe napisać: LUDZI SIĘ NIE BÓJMY, SIEBIE SIĘ BÓJMY. (Za ponad dwadzieścia lat zlekceważy tę zasadę. Przez myśl mu nie przejdzie, że skończy życie, bo stanie się ofiarą samego siebie).

Styczeń 1912 roku: Maňa

Jedzie do Wiednia na sławny czeski bal, bo Czechy należą do monarchii austro-węgierskiej. Jest już znanym szewcem, wysyła swoje buty na Bałkany i do Azji Mniejszej. Ma nadzieję, że na balu pozna przyszłą żonę. Podoba mu się Maňa Menčíková, córka kustosza cesarskiej biblioteki. Dziewczyna gra na pianinie, mówi trzema językami. Tomáš wie, że na wszystko trzeba mieć spisaną umowę. Wysyła przyjaciela, aby spytał pannę, czy podpisze taki oto zapis: w razie gdyby nie mogła urodzić dziecka, rozwiodą się.

– A czegóż dobrego od niego mogę żądać, gdybym nie spełniła jego nadziei? – odpowiada przyszła Marie Batová. (Pojawia się plotka, że Marie po dwóch latach bezowocnych starań o dziecko kupiła potajemnie butelkę z trucizną).

Grudzień 1913 roku: Buteleczka

Od kilku miesięcy mieszkają w nowej willi, którą Tomáš wybudował przed ślubem, aby żona nie czuła różnicy między życiem w Wiedniu i Zlínie. Kiedy mają więcej zamówień i fabryka musi pracować w nocy, Marie nalewa robotnikom lemoniadę i roznosi kanapki. (Wyobrażam sobie, że powrocie do domu rozmyśla, czy drzewo, które nie rodzi owoców, nie powinno być ścięte, i spogląda na buteleczkę).

28 czerwca 1914 roku: Wojna

W Sarajewie kończy życie arcyksiążę Ferdynand. Austro-Węgry ogłaszają mobilizację.

Najznamienitszy Czech XX stulecia, profesor filozofii Tomáš Garrigue Masaryk, poseł do wiedeńskiego parlamentu, wraca z wakacji. – Kiedy jechałem do Pragi, widziałem, jak do poboru idą nasi ludzie: ze wstrętem, jak do rzeźni – powie potem. Ma wyrzuty sumienia. – Nasi ludzie idą do wojska albo do kryminału, a my, posłowie, siedzimy w domu.

Tomáš Bata jest przerażony: na wojnę prowadzoną przez monarchię austro-węgierską muszą się zgłosić wszyscy pracownicy jego fabryki. Następnego dnia przy kawie i jajkach na bekonie wpada na pomysł: pojedzie do Wiednia, wymusi zamówienia na buty dla wojska. Zostawia jajka, wsiada do powozu, pędzi na stację kolejową do Otrokovic koło Zlína. Ale pociąg już odjechał. Kupuje więc od woźnicy konie i każe mu pociąg gonić. Przez trzy wsie zwierzęta pędzą tak szybko jak pośpieszny, ale w czwartej padają. W ciągu sześciu minut Tomáš kupuje następny powóz z końmi. Dogania pociąg i po kilku godzinach jest w Wiedniu.

Uważa, że rzeczywistości nie można ulegać, należy ją zawsze umiejętnie wykorzystać do swoich celów. W ciągu dwóch dni dostaje zamówienie na pięćdziesiąt tysięcy par i poręczenie, że jego robotnicy nie pójdą na wojnę.

Zostaje mu siedem minut, aby zdążyć na pociąg powrotny, bo w tym czasie oddział policji już zbiera na placu jego robotników jako dezerterów. Po drodze powóz z Tomášem powoduje wypadek, pasażer wyskakuje i biegnie na dworzec. Wsiada do pociągu na Brno.

Pracę rozdaje także robotnikom i szewcom niezatrudnionym u niego. Nawet tym, którzy byli jego zaprzysięgłymi wrogami. Podobno całą okolicę ratuje przed pójściem na front.

Pod koniec wojny, mimo kryzysu, będzie miał około czterech tysięcy robotników, którzy dziennie będą produkować dziesięć tysięcy par wojskowych butów.

Może tego dnia Marie Batová już nie pamięta o buteleczce z trucizną, którą kupiła przed Bożym Narodzeniem, i o postanowieniu, że jeśli nie powiedzie się jedenasta kuracja ósmego doktora, popełni samobójstwo.

Ostatni lekarz zalecił: do zapłodnienia nie może dojść w Zlínie, Tomáš Bata ma być poza swoim terenem. Wyjechali więc na dziesięć dni w Karkonosze. (Nikt nie mógł uwierzyć, że Bata wytrzyma tyle dni, nie doglądając produkcji).

Gdy szewc zostawia jajka na bekonie i goni pociąg, jego żona jest już w siódmym miesiącu ciąży.

17 września 1914 roku: Tomík

Bacie rodzi się syn Tomáš, nazywany dla odróżnienia Tomíkiem.

Rok 1918: Batyzacja

Koniec wojny, powstaje państwo czechosłowackie. Znaczna jego część jest od jakiegoś czasu „zbatyzowana”.

„Tomáš pozakładał niemal w każdej morawskiej wsi filie Baty, wskutek czego wkrótce nie było w Czechach, na Morawach, Śląsku i Słowacji prawie nikogo, kto by zajmował się szewstwem. Obuwie na miarę przeszło do historii. Potem Bata stworzył własną sieć warsztatów reperujących buty i stan szewski zaniknął zupełnie” – pisze Egon Erwin Kisch.

Bata się broni: – Ziemia ma dwa miliardy obywateli – powtarza. – Rocznie na całej kuli ziemskiej produkuje się tylko dziewięćset milionów par butów. Najmniejsza potrzeba każdego człowieka to dwie pary rocznie. Przed ambitnym szewcem rozwija się możliwość sprzedaży miliarda par butów. Wszystko jest tylko kwestią ceny i stopnia cywilizacji.

Rok 1919: Pogłoska

Mówi się (powtarzam za reporterem komunistą Kischem), że pewien szewc z Ostrawy, gdy sobie uświadomił, że został przez Batę całkowicie zrujnowany, spakował swój stary, jeszcze siedemnastowieczny warsztat do dwóch skrzyń i posłał je do fabryki Baty na ręce szefa. Potem z żoną i dwojgiem dzieci skoczyli do rzeki.

Tomáš Bata, który równocześnie z wiadomością o desperackim kroku otrzymał ten spadek, oświadczył: – Umieśćcie nad tym napis, że jest to warsztat szewski z okresu, kiedy zacząłem pracować.

Rok 1920: Boso

Sześcioletni Tomík chodzi do szkoły boso. Ojciec życzy sobie, aby niczym nie różnił się od swoich kolegów ze Zlína.

Rok 1921: Ulotka

Krążą plotki, że Bata leży w szpitalu psychiatrycznym. Jedna z gazet podaje nawet adres szpitala. Wtedy niespodziewanie w całej Czechosłowacji pojawiają się ulotki:

NIE JESTEM BOGATY
NIE JESTEM BIEDNY
NIE JESTEM BANKRUTEM
DAJĘ DOBRE PENSJE
PŁACĘ UCZCIWIE WSZYSTKIE PODATKI
ROBIĘ DOBRE BUTY
PROSZĘ SIĘ PRZEKONAĆ
Tomáš Bata.

Początek 1922 roku: Kryzys

W Europie już trzeci rok trwa powojenny kryzys gospodarczy, galopuje inflacja, ale Czechosłowacji udaje się podnieść wartość korony z sześciu na osiemnaście centów amerykańskich. Pozycja kraju wobec wierzycieli

umacnia się, jednak firmy już mają długi za granicą. Bata ma przepełnione składy z towarem, klienci potrzebują butów, a nie mają pieniędzy.

Miesięcznie sprzedaje się tylko to, co Bata wyprodukował przez cztery dni. Przez dwadzieścia sześć można by nie pracować.

Tomáš nie chce walczyć o ulgi podatkowe. Ponoć uważa też, że nie może zwalniać ludzi, bo zaraz będą od młodego państwa żądać zasiłków dla bezrobotnych.

Inne fabryki wyrzuciły już tysiące pracowników. Męczy go, że teraz bezrobotnego na pewno nie będzie stać na jego buty. Wartość niemieckiej marki spada i kraj zalewają taniejące z dnia na dzień buty niemieckie.

29 sierpnia 1922 roku: Taniej

Szok od rana: na murach pojawiają się reklamy z pięścią, która wali w napis DROŻYZNA, oraz z informacją, że od dziś buty Baty są tańsze prawie o połowę. Te, które kosztowały dwieście dwadzieścia koron czechosłowackich, można kupić za sto dziewiętnaście.

Mówi pracownikom, że wielkiego kryzysu nie można pokonać malutkimi kroczkami.

Obniży im płace o czterdzieści procent, ale nikogo nie zwolni. Zobowiązuje się, że w zakładowych sklepach jedzenie będzie miało symboliczne ceny. Ponieważ wartość korony się podnosi, z obniżonymi płacami będą żyć niemal tak jak dotąd.

Klienci rzucają się na jego buty. Wszystkie zapasy sprzedaje w trzy miesiące.

Owszem, wie, że obniżka cen oznacza ogromne straty dla fabryki, ale tylko tak można uzyskać świeżą gotówkę. Zresztą gotówka ta ma już trzykrotnie większą siłę nabywczą, kupuje więc za nią trzy razy więcej materiałów.

Inne firmy też obniżają ceny, tylko jest już za późno. Bata był pierwszy. W prasie pisze się o pozornie nielogicznej, lecz genialnej reakcji Baty na umocnienie korony.

Sukces. Za rok Tomáš Bata przyjmie do fabryki tysiąc ośmiuset nowych pracowników i zostanie wybrany na starostę miasta Zlín.

Maj 1924 roku: Czapka

Dziesięcioletni Tomík jedzie z rodzicami otwartym autem do Brna. Na wietrze spada mu czapka. Samochód zatrzymuje się, chłopiec po nią biegnie. Wraca i słyszy od ojca:

– Mówiłem ci, że masz uważać. Jeszcze raz się to zdarzy i pojedziemy bez ciebie.

Za dziesięć minut czapka znów spada. Tomáš Bata każe zatrzymać auto, daje synowi dziesięć koron: „Idź do najbliższego dworca kolejowego i jedź do Brna pociągiem. Z powrotem możesz jechać z nami autem” – mówi.

Ojciec musi jednak pogodzić się z tym, że wróci bez syna. Chłopiec dojeżdża na czas do Brna, idzie do sklepu obuwniczego Baty, pożycza pieniądze od kasjera i pociągiem sam wraca do Zlína.

Rok 1925: Czek

Gdy w wieku lat jedenastu Tomík kończy szkołę podstawową, rodzice wysyłają go do gimnazjum w Londynie. Jedzie tam z własną książeczką czekową, ojciec otwiera mu konto w Guaranty Trust Company of New York. Aby zapłacić czesne, chłopiec wystawia czeki właścicielowi szkoły. Nastolatek z Czechosłowacji wzbudza tym w elitarnej szkole sensację.

W wieku czternastu lat wraca do Zlína i – zgodnie z życzeniem ojca – zostaje robotnikiem z najniższą pensją. Ma już prawo nosić buty.

(Kiedy będzie miał osiemdziesiąt osiem lat, spytam jego amerykańską sekretarkę, czy mogę mu zadać jakieś pytania. – Tak – odpowiada. – Najlepiej, aby pytanie było jedno i aby było ważne.

Piszę e-mail: „Szanowny Panie Bata, jak żyć?”.

„Trzeba porządnie się uczyć – odpowiada pan Tomík. – Spoglądać wokół siebie otwartymi oczyma. Błędów nie powtarzać i wyciągać z nich wnioski. Uczciwie pracować i widzieć nie tylko swój własny zysk. Nie jest to chyba takie trudne?”)

Dalej rok 1925: Bataman

Tomáš Bata zakłada swoją pierwszą szkołę. Robi to z przymusu: – Ponieważ – wyjaśnia – nie są znane przypadki, aby najlepsi nauczyciele w tym kraju stali się milionerami. Najczęściej są biedakami.

Daje więc ogłoszenie, że przyjmie sześciuset chłopców w wieku lat czternastu, i tak powstaje jego Szkoła Młodych Mężczyzn. Uczeń w szkole musi się sam finansować. Przez osiem godzin dziennie zarabia w fabryce na jedzenie, internat i ubranie, cztery godziny się uczy. Jakakolwiek pomoc pieniężna od rodziców jest zakazana. Tygodniowo uczeń dostaje sto dwadzieścia koron, wydaje siedemdziesiąt, a resztę zbiera na swoim koncie. Wszystko jest tak pomyślane, że gdy młody mężczyzna w wieku dwudziestu czterech lat wróci ze służby wojskowej do Baty, będzie miał na koncie sto tysięcy koron. Wychowawcy w internatach kontrolują dzienniczki wydatków. Kontrolują też chłopców, czy trzymają ręce na kołdrach. Wszyscy mają pogadanki o higienie i onanizmie.

1928. Prezydent Czechosłowacji Tomáš Garrigue Masaryk podczas odwiedzin w najnowocześniejszej fabryce w kraju. W środku – minister spraw wewnętrznych Jan Černý, po prawej – Tomáš Bata (za: Milan Zelený *Cesty k úspěchu. Trvalé hodnoty soustavy Baťa*; dzięki uprzejmości prof. Milana Zelenego)

Ręce na kołdrze będzie trzymał najlepszy sportowiec świata w 1952 roku Emil Zátopek. Będą je też trzymali: znany (za czterdzieści lat) pisarz Ludvík Vaculík oraz wybitny przedstawiciel czeskiej nowej fali w kinie (za czterdzieści lat), reżyser Karel Kachyňa. Reżyser zacznie u Baty od stanowiska zamiatacza, a skończy jako zawodowy kreślarz. – Byłem batamanem – powie na początku XXI wieku. – Wie pan, w Zlínie nauczyłem się walki z lękiem.

Każdy uczeń Baty to bataman.

Batamanem można się stać przez posłuszeństwo i pracę.

Rok 1926: Człowiek

Tomáš instaluje nowe taśmy produkcyjne, aby „każda jednostka ludzka została automatycznie zapędzona do jak największej wydajności”. Jeśli jeden pracownik przy taśmie nie nadąża, pas zatrzymuje się i na ścianie zapala się czerwona żarówka. Dzięki sygnalizacji cały oddział widzi nie tylko to, że musi przerwać pracę, lecz także to, kto zawinił. „W swojej pracy nie mam na myśli tylko budowania fabryk, ale ludzi. Buduję przecież człowieka” – notuje Tomáš.

Rok 1927: Sygnały

Prasa pisze, że jedno auto przypada na trzydziestu pięciu mieszkańców, co jest najwyższym wynikiem w całej Czechosłowacji.

Racjonalizacji poddaje się wszystko: żeby nie wołać kierowników oddziałów do telefonu i nie przekrzykiwać maszyn, dzwonek nadaje sygnały alfabetem Morse’a. Każdy z szefów ma swój sygnał Morse’a, który słyszy nawet w ubikacji. Budynki fabryczne mają numery, aby nie można było się zgubić. Wszystkie drzwi w budynkach są także ponumerowane. Numery mają też uliczki na terenie zakładu.

Przez 21. idzie się do VIII/4a.

Rok 1927: Uraz

W dziale reklamowym pracuje malarz plakatów. Kiedy razem z kolegą przynosi Tomášowi Bacie narysowany projekt, ten depcze plakat i nawet nie mówi, czego się spodziewał. Za drugim razem Bata opiera brystol ukośnie o ścianę i skacze w sam jego środek (też nic nie wyjaśnia). Za trzecim – trzydzieści projektów plakatów rzuca na ziemię, skacze po nich, kopie papier i wreszcie je opiniuje: – Co za idiota to malował?!

Malarz plakatów nazywa się Svatopluk Turek i uraz, którego teraz doznaje, sprawi, że za kilka lat zacznie pisać o Bacie mściwe książki.

Rok 1929: Powietrze

Tomáš rozszerza znajomości, jego firma jest już spółką akcyjną znaną na świecie. Osobisty gość Baty sir Sefton Branker ukazuje rozpromienionemu Tomášowi rzecz, która doprowadzi go do śmierci.

Sir Branker jest szefem lotnictwa cywilnego Wielkiej Brytanii i przyleciał zademonstrować w Zlínie najnowszy jednosilnikowy samolot firmy De Havilland, z trzema miejscami w środku. Na Tomášu robi on takie wrażenie, że kupuje od razu cztery.

Powstaje lotnisko, samoloty Baty będą latały po całej Europie. Niedługo powstanie fabryka i ruszy produkcja sportowych samolotów marki Zlín.

Lecąc nad miastem, Tomáš zauważa łączkę otoczoną lasem: – To byłby ładny cmentarzyk – mówi do pilota.

Rok 1930: Mleko

Tomáš jest dumny: skończył tylko szkołę podstawową, nie ma żadnego tytułu, poza napisem SZEF na drzwiach gabinetu, a jest autorem pierwszego podręcznika pod tytułem Wszyscy wzbogaceni. Powstaje Akademia Handlowa Tomáša Baty.

Wali butem w biurko, gdyż jeden ze studentów za zarobione przez siebie pieniądze pojechał autem aż do Pragi na występ amerykańskiej tancerki Josephine Baker – pionierki striptizu. Od tamtego czasu: pracownikom

i studentom nie wolno wysiadywać w gospodach; picie jakiegokolwiek alkoholu, nawet piwa na terenie zakładów jest zakazane; zaleca się mleko.

Dalej rok 1930: Radość życia

Bata rozpoczyna swoje eksperymenty ze społeczeństwem kapitalistycznym.

Wprowadza pięciodniowy tydzień pracy z wolnymi sobotami. Robotnicy nie będą już pracować osiem godzin, od siódmej do piętnastej. Teraz będą pracować do siedemnastej, lecz za to od dwunastej będą mieli dwugodzinną przerwę. Kobiety mogą wtedy wrócić do domu i ugotować obiad, ale Bata nie widzi w tym sensu, gdyż zbudował wielkie stołówki i dom towarowy, w którym jest wszystko.

– Kobiety – mówi – nie będziecie musiały nawet robić weków, Bata zrobi je za was.

Mężczyźni i kobiety w czasie przerwy mogą robić, co chcą, jednak zaleca się:

1) leżenie na trawnikach na placu Pracy (przy dobrej pogodzie);

2) nieuleganie bezczynności (więc najlepiej czytać, z jednym wszak zastrzeżeniem: NIE CZYTAJCIE ROSYJSKICH POWIEŚCI – głosi hasło, wymyślone przez Batę, na murze filcowni. Dlaczego? Odpowiedź Baty – na murze gumiarni: ROSYJSKIE POWIEŚCI ZABIJAJĄ RADOŚĆ ŻYCIA);

3) korzystanie z kina przy złej pogodzie (bo Bata w środku miasta wystawił już największe kino w Europie Środkowej na ponad dwa tysiące miejsc, bilet kosztuje symboliczną koronę);

4) wyrównywanie opóźnień w pracy, niezdarni mają w czasie przerwy nadrabiać przy maszynach swoje zaległości.

1933. Produkcja obuwia (Moravský zemský archiv v Brně, Státní okresní archiv Zlín, FA obalka c. 1099, por. c. 2)

Związki zawodowe i Komunistyczna Partia Czechosłowacji twierdzą, że tak naprawdę właśnie po to Bata wymyślił tę przerwę – dla dodatkowej darmowej pracy. Strajki są dławione, a ludzie bezwarunkowo wyrzucani z zakładu.

Rok 1931: Grafologia

Tomík, lat siedemnaście, wraca z Zurychu, gdzie przez ostatni rok był kierownikiem wielkiego sklepu. Zostaje kierownikiem domu towarowego w Zlínie. Kłóci się o coś z ojcem. – Jeszcze tatuś pożałuje – mówi i pisze list do największego konkurenta Baty z USA, firmy Endicott Johnson.

Proponuje swoje umiejętności. Potem składa papier, ale listu nie wysyła. Kartkę znajduje matka. Pokazuje ją mężowi, bo kazał się zapoznawać ze

wszystkim. Tomáš triumfuje: ma fantastycznego syna, który zawsze sobie poradzi!

Natomiast brata ma idiotę. Jan Antonín, syn drugiej żony ojca, jest o dwadzieścia lat młodszy. Tomáš wymyśla mu od durniów przy załodze i częstuje kopniakami, tak jak pozostały personel.

Jakiś czas temu zamówił u londyńskiego grafologa czeskiego pochodzenia Roberta Saudka analizy pisma najbliższych współpracowników. Trzyma je pod kluczem, aby ofiary nic o tym nie wiedziały. Znajdzie je w archiwach Egon Erwin Kisch (w 1948 roku zacznie pisać reportaż *Fabryka butów*, ale po napisaniu pierwszej strony umrze na serce).

Analiza grafologiczna numer dziesięć – Jana – wypada jak list gończy.

„1. Uczciwość: niepewny. Jeżeli jest pańskim urzędnikiem, nie chciałbym go podejrzewać na podstawie przedstawionego mi pisma, ale muszę powiedzieć, że nigdy bym go nie polecił.

2. Inicjatywa: łasy na doraźne sukcesy, inicjatywa o charakterze agresywnym. Nie jest szantażystą, ale ma ku temu skłonności.

3. Bezpośredniość: na pozór szczery, gdyż przeważnie popada z ludźmi w konflikty. Równocześnie hipokryta.

4. Właściwy osąd: absolutna nierzeczowość.

5. Możliwości rozwoju: gdyby mu pan zostawił swobodę, rozwinąłby się w sensie raczej negatywnym”.

(Tę swobodę Jan A. Bata dostanie od losu za pół roku. Przerazi ludzi bardziej niż jego brat).

Tymczasem Tomáš Bata musi urządzić miejsce pod leśny cmentarzyk.

Kwiecień 1932 roku: Otwarcie

– Przyzwyczailiśmy się patrzeć na cmentarz jako miejsce, gdzie trzeba przychodzić, by lamentować. A przecież cmentarz ma, jak wszystko na świecie, służyć życiu. Dlatego powinien tak wyglądać, aby nie straszył, aby żywi mogli go odwiedzać w spokoju i radości. Należałoby tam chodzić jak

do parku. Pobawić się, posiedzieć i wspomnieć dobrze zmarłych – tymi zdaniami Tomáš Bata otwiera Leśny Cmentarz w Zlínie.

(Chyba nie przychodzi mu do głowy, że będzie na nim pierwszym nieboszczykiem).

12 lipca 1932 roku, rano: Mgła

Kiedy o czwartej rano przyjeżdża na swoje prywatne lotnisko w Otrokovicach, zalega gęsta mgła. Upiera się, by lecieć. Pilot prosi, żeby poczekać. – Nie jestem przyjacielem czekania – odpowiada mu pięćdziesięciosiedmioletni Tomáš.

Startują i po siedmiu minutach przy prędkości stu czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę samolot Junkers D 1608 uderza w komin fabryki. Samolot rozpada się na trzy części, a złamane żebro wbija się w serce Tomáša Baty.

„Rozkazy Tomáša Baty były świętością. Tylko on sam stał ponad nimi. Pewnego dnia wydał rozkaz samemu sobie i od tego umarł” – napisze Kisch.

Pół godziny później: Szef

Gdy trzydziestoczteroletniego brata zawiadamiają o katastrofie, ten bierze słuchawkę telefonu i dzwoni do dyrektora fabryki. „Tu mówi szef” – przedstawia się. Bez zmrużenia powiek używa tytułu brata, co otoczeniu wydaje się bluźnierstwem. Mówi się, że wiadomość o śmierci Tomáša uznał za znak od Boga i dlatego zaczął sobie wyobrażać, że jest najważniejszym człowiekiem na świecie.

13 lipca 1932 roku: Koperta

W sądzie okręgowym w Zlínie otwarta zostaje koperta z ostatnią wolą Tomáša. Obecni są dyrektorzy firmy, żona, syn i brat. Osiemnastoletni Tomík otrzymuje od ojca gotówkę, Marie Batová – gotówkę i nieruchomości. Druga koperta ma napis: „Dla Jana A. Baty” i datę sprzed roku. Tomáš pisze, że wszystkie akcje firmy Bata SA Zlín sprzedał Janowi.

Jan otwiera usta i nie może uwierzyć, że od roku jest właścicielem Zlína i wszystkich zagranicznych filii! (Dyrektor fabryki, który jako jeden z niewielu wiedział wcześniej o tym pomyśle, pytał Batę o przyczynę tak zaskakującej decyzji. – Największa kanalia w rodzinie kradnie jednak mniej niż najuczciwszy obcy – miał odpowiedzieć szef).

Zgodnie z ostatnią wolą Jan ma zarządzać też przedsiębiorstwem w kraju i za granicą. Dłuższą chwilę nie mówi nic, ale się opamiętuje. Na wszelki wypadek dopisuje do oświadczenia zmarłego, że rok temu kupił wszystko „zgodnie z umową ustną". Umowa ustna, według prawa, zwalnia od podatku, a więc całość może sprawiać wrażenie, jakby była prawdziwa – w urzędach nie musiało być śladu po transakcji.

Od 1932 roku: Nowa era

Dwaj wysłannicy Baty lecą sprawdzić możliwości sprzedaży w północnej Afryce. Przysyłają do Zlína dwa odmienne telegramy. Pierwszy z nich pisze: „Tutaj nikt nie nosi butów. Żadnej możliwości zbytu. Wracam do domu".

Drugi telegrafuje: „Wszyscy są bosi. Ogromne możliwości zbytu, przyślijcie buty jak najprędzej".

Buty Baty zdobywają świat, a firma obrasta we własną mitologię.

W nowej erze ciągle będzie się też operować statystyką: za Tomáša 24 przedsiębiorstwa, za Jana 120; za Tomáša 1045 sklepów, za Jana 5810; za Tomáša 16 560 zatrudnionych, za Jana 105 700.

Rok 1933: Kozioł

Trwa światowy kryzys lat trzydziestych. Firma jest świetnym kozłem ofiarnym.

W Niemczech podwyższają cła na buty i ogłaszają, że Jan Antonín Bata to czeski Żyd. Dziesiątki jego karykatur zdobią nazistowskie czasopisma. RABBI BATA MÓWI WSZYSTKO! Dyrektor Baty w Niemczech przyjeżdża do Zlína sprawdzić korzenie rodziny. Są katolickie od siedmiu pokoleń szewców, na więcej nie ma dokumentów. Wraca do Berlina i daje

ogłoszenie do gazet o pochodzeniu Baty. Przesłuchuje go gestapo. Jan postanawia natychmiast sprzedać niemiecką fabrykę. We Francji fabryka działa od roku, a konkurencja rozpoczyna niewiarygodną kampanię: BATA – NIEMCEM. Wielkie fotografie na murach ukazują Jana jako prototyp Prusaka, ma jasne włosy i niebieskie oczy. We Włoszech konkurencja rozpuszcza pogłoskę, że Bata w czechosłowackich gazetach atakuje Mussoliniego. W Polsce – że co roku odwiedza Zlín jakaś tajna komisja radziecka: BATA POMAGA SOWIETOM.

Od pięciu lat – mimo kryzysu – Czechosłowacja jest na pierwszym miejscu w eksporcie obuwia skórzanego na świecie.

Rok 1933: Zemsta – I akt

Malarz plakatów wydaje powieść *Botostroj* (Maszyna do robienia butów). Nazwisko Bata w niej się nie pojawia, ale wszyscy są przekonani, że to ostra krytyka batyzmu.

Jan Bata skarży Svatopluka Turka do sądu, który nakazuje zniszczenie wszystkich niesprzedanych egzemplarzy powieści. Dwieście komend żandarmerii prowadzi przeszukania we wszystkich księgarniach w kraju. (Jak twierdzi Turek, żandarmów doglądają kierownicy sklepów Baty, bo ma on w państwie aż tak uprzywilejowaną pozycję).

Wiele czasopism broni książki. Wtedy firma Bata wycofuje z nich swoje reklamy. Na przykład „Právo lidu” odzyskuje je, kiedy po pozytywnej recenzji drukuje nową – negatywną.

(*Botostroj* wyjdzie na nowo za dwadzieścia lat, kiedy w kraju zmieni się ustrój. Wtedy też Turek znajdzie w zlínskim archiwum Baty ponad osiemdziesiąt donosów na swój temat. Bata najwyraźniej próbował go osaczyć. Turek napisze potem, że odwiedzili go przedstawiciele Baty i oznajmili, że jeśli nie wycofa się z następnej swojej książki o batyzmie, będzie zmuszony popełnić samobójstwo).

Rok 1935: *Batovky*

Nowych ulic w Zlínie przybywa tak szybko, że nie starcza dla nich nazw. Ulice nazywają się więc Zálešná I, Zálešná II, Zálešná III aż do Zálešnej XII. Najwięcej jest ulic Podvesnych – aż siedemnaście.

Batowie od 1912 roku budują domy dla pracowników, ale teraz Jan Bata ogłasza międzynarodowy konkurs architektoniczny na dom mieszkalny dla robotniczej rodziny. Zgłasza się niemal trzystu architektów. Wygrywa dom Szweda Ericha Svedlunda. Jeden dom dla dwóch rodzin. Na tygodniowy czynsz trzeba będzie pracować tylko dwie godziny.

Marie Batová (starsza), Jan A. Bata i Tomáš junior Bata, zwany Tomíkiem (Moravský zemský archiv v Brně, Státní okresní archiv Zlín, FA obalka c. 2650, por. c. 2)

– Robotnik posiadający dom przechodzi zupełną transformację – mówi Jan do kierowników.

Takie poglądy światła burżuazja na Zachodzie ma już od czterdziestu lat. Domek z ogródkiem czyni robotnika faktyczną głową rodziny, godną tego miana, staje się on moralny i roztropny, czuje się związany z miejscem i ma wpływ na najbliższych. Jednocześnie uważa się, że robotnik pozbawiony wspólnego mieszkania typu koszarowego z innymi rodzinami – zamknięty we własnym domu – odwróci się od zbiorowych żądań.

Domki są egalitarne i modernistyczne. Wysokie na pięć metrów (a więc niskie) kostki z czerwonej cegły. Styl bez korzeni. Ludzie mówią na nie tak jak na buty: *batovky*. Na parterze rodzina ma osiemnaście metrów kwadratowych: pokój, łazienka i wnęka kuchenna; na piętrze drugie osiemnaście metrów: sypialnia. Dzięki Bogu, że są małe ogródki.

(– Tu się mieszka tragicznie – powie za sześćdziesiąt siedem lat Jiřina Pokorná z ulicy Bratři Sousedíků, żona elektryka wyuczonego w Batowskiej szkole. Ma już siedemdziesiąt lat. – Proszę pana, będę umierać niedługo, zresztą to chyba po mnie widać, a przez całe życie nie miałam normalnej kuchni, bo ten kąt w przedpokoju, półtora metra kwadratowego, to przecież nie jest kuchnia? – pyta.

– A dlaczego taka mała? – pytam.

– No, oni robili wszystko, żeby życie nie odbywało się w domu!

Za sześćdziesiąt siedem lat Jiřina Pokorná będzie siedziała przed czerwonym domkiem w ogródku i piła piwo zgodnie z prawem).

Domy są tak blisko siebie, że mieszkańcy, nawet gdy nie chcą, wzajemnie sprawują nad sobą kontrolę.

Do tego *batovky* na ulicy Padelky II są takie same jak na przykład na Padelky IX. Przybysz z początku XXI wieku będzie miał wrażenie, że jedna i ta sama ulica automatycznie sama się multiplikuje, jak w grze komputerowej.

Koniec 1935 roku: Prorok

– Ach, samopowielające się miasto – wzdycha zachwycony gość, który odwiedza Zlín. Jest „prorokiem dwudziestowiecznej architektury”, autorem nieludzkich „maszyn do mieszkania”, nazywa się Le Corbusier. To on był przewodniczącym jury konkursu w Zlínie i jego też Jan poprosi o projekt urbanistyczny dla całego miasta. Corbusier właśnie zaprojektował gmach Centrosojuzu w Moskwie, a za kilka lat powierzy mu się projekt gmachu ONZ w Nowym Jorku.

Jan Bata pochwali się prorokowi pomysłem jeszcze większego formatu: „Chcę stworzyć na całym świecie duplikaty Zlína!”. Nie tylko w Polsce, Niemczech, Francji i Szwajcarii, gdzie takie już istnieją. Chce wyjść poza Europę.

Prorok chwali całościowy projekt urbanistyczny, który realizuje tu od 1925 roku osobisty architekt Batów, František Gahura. Jego współpracownik Vladimír Karfík – przez rok pracował u Corbusiera, rok u Franka Lloyda Wrighta w Ameryce. Zlín stanie się sławny jako pierwsze funkcjonalistyczne miasto na świecie.

Wróćmy do maja 1935 roku: Monopol

Dział socjalny ma swoich szpiegów, którzy mają donosić na kochanków. Jeśli tylko zauważą nowe więzi, stawiają parę do raportu. Firma zaleca im, żeby wzięli ślub i mieli dzieci.

Kierownik działu kadr doktor Gerbec mawia: – Dzieci to są smycze, za które trzymamy ich tatusiów.

„Bata ma monopol na ludzkie życie” – grzmią czerwone związki zawodowe.

„Za wszystkimi rządzącymi i nierządzącymi partiami w Czechosłowacji stoi kapitalista” – pisze komunistyczne „Rudé právo”.

Rzeczywiście, przynajmniej w Zlínie ze wszystkich partii politycznych w wyborach do rady okręgowej kandydują ludzie Baty. Ziemianie na trzecim miejscu wystawiają kierownika fabryki Baty w Otrokovicach; socjaldemokracja na pierwszym miejscu – wyższego urzędnika Baty; partia

ludowa na trzecim – niższego urzędnika Baty; narodowcy na pierwszym – kierownika wykańczalni butów Baty; faszyści na pierwszym – kierownika warsztatów Baty.

Rok 1936: Krok

Reklama butów na ten rok dla Europy: ANI KROKU BEZ BATY.

Wciąż rok 1936: Człowieczeństwo

Wychodzi antologia tekstów kanonicznych Jana Antonína Baty.

„Ze zgrozą zauważam, że ten nasz poczciwy lud prosty wyrasta na jałmużników.

Nauczmy ludzi, którzy stracili u nas pracę, żyć skromnie, lecz po ludzku – na własny rachunek. Żądając od państwa zasiłku dla bezrobotnych, osłabiają kraj. Bierzmy pracę, jaką nam dają, pracę za każdą cenę. Uznajmy, że przyjmowanie zasiłków jest hańbą. Zasiłek nie jest przejawem człowieczeństwa, to jest zabicie duszy człowieka. To jest korumpowanie słabych”.

Jak więc pomóc tym, którzy właśnie tracą człowieczeństwo?

Jego odpowiedź: dać sobie z nimi spokój.

Przecież ci ludzie – zgodnie z odczuciem społecznym – już dawno powinni umrzeć z głodu, a żyją.

Już Tomáš Bata w 1931 roku ostrzegał wyrzucanych z pracy robotników, że jeśli wezmą zasiłek, zamkną sobie na zawsze jakąkolwiek możliwość powrotu do jego zakładu.

Gazety piszą, że Zlín nie ma bezrobotnych. W rzeczywistości tym, którzy stracili pracę, miasto wypowiada mieszkania i zmusza, żeby powrócili do rodzinnych miejscowości. Jeśli ktoś jest komunistą lub działa w związkach, długo w Zlínie nie pomieszka. Bata tworzy prywatne kartoteki czerwonych.

Na wypadek rozruchów ma swoich ludzi – kontroluje policjantów w okolicy. Na przykład dziewiętnastu funkcjonariuszy ze Zlína, którzy

mieszkają w rodzinnych domach Baty, w styczniu 1934 roku otrzymało w nagrodę obniżkę czynszu o sześćdziesiąt procent.

Komunistyczny senator Nedvěd grzmi, że w Zlínie kończy się działanie czechosłowackiego prawa.

Wracając do kryzysu. Mimo że zwolniono tysiące ludzi, liczba wyprodukowanych butów nie spadła: w 1932 roku było ich nawet o ponad milion par więcej niż rok wcześniej. „Batowski terror” – tłumaczą sukcesy komuniści.

W 1936 roku Jan Antonín ma już cztery córki, jednego syna i też żonę Marię. Niewiele wiemy o jego życiu osobistym. Poza tym, że za dwa lata przywiezie żonie z krótkiej podróży zagranicznej dopiero co wynalezione nylonowe pończochy. O czym może mówić jej przed snem?

„Nasz kraj potrzebuje naszej pracy, Maniu. Jesteśmy największym podatnikiem naszej republiki”?

28 czerwca 1936 roku: Literatura

Jan Bata zwołuje w Zlínie zjazd pisarzy. Być może po historii z *Botostrojem* chce mieć pod kontrolą także literaturę.

Oprowadza po mieście stu dwudziestu literatów, a potem dopuszcza ich do głosu.

– Czuję wielką radość, że widzę razem literaturę i przemysł. Te dwa czynniki trzeba połączyć – w imieniu pisarzy z Pragi przemawia były autor prozy dekadenckiej Karel Scheinpflug i dodaje: – Literatura może dużo zrobić dla przemysłu, a przemysł dla literatury.

Bata zaraz wyjaśnia pisarzom, z czego wypływają jego i zlínian potrzeby kulturalne: – Bój o ulepszenie ludzi nam się powiódł.

1935. Osiedle Nad Ovčírnou w Zlínie (Moravský zemský archiv v Brně, Státní okresní archiv Zlín, FA obalka c. 650, por. c. 1)

Następnego dnia: Surrealizm

Stu dwudziestu pisarzy ogląda prace stu pięćdziesięciu dwóch malarzy w Salonie Sztuki Jana Baty. (Zjazd plastyków Bata zorganizował cztery miesiące wcześniej). Gospodarz patrzy z pobłażaniem na prace największych, które kupił. Jego wzrok zatrzymuje się na obrazie Toyen (wcześniej Marii Čermínovej), która maluje jajka, kamienie i sznury jako efekt urojeń, co bardzo chwalił Paul Eluard, kiedy odwiedził Pragę.

– Przyznam się – mówi Jan Antonín Bata – że chcę znaleźć ludzi, którzy nie zatracili się dla jednego kierunku. Znam chłopca, który maluje martwe kurczęta. Albo maluje mężczyzn, którzy wyglądają, jakby mieli żyć jeszcze

tylko godzinę. Myślę, że to nie jest właściwe. Bo komu on się takimi malunkami przysłuży? Społeczeństwu? Klasom społecznym? Narodowi? Jeden obraz mi nie schodzi z myśli: Słowacy z siekierami, a z oczu lecą im błyski, suną jakoś tak przed siebie, dajcie spokój! Ja chcę pomóc artystom. Ale takim, co namalują człowieka, który czegoś chce.

(Mimo wąskich poglądów Baty na sztukę, cztery następne zorganizowane przez niego Salony ożywiły środowiska artystyczne; wystawy obejrzało trzysta tysięcy osób).

– Aha. – Jan przypomina sobie, że rozmawia z pisarzami, a nie z malarzami. – Wy też unikajcie pesymizmu. I przygotujcie wreszcie kredo dla ludu pracującego.

Rok 1937: Winda

Jan prawdopodobnie czuje się piękny, godny pożądania i wolny: kończy się budowa dwóch instytutów naukowych i rozpoczyna najwyższego wieżowca w republice. Ma mieć szesnaście pięter – siedemdziesiąt siedem i pół metra wysokości. Będzie biurowcem Baty.

Brytyjski pisarz Orwell dopiero za jedenaście lat ogłosi drukiem zasady życia pod okiem Wielkiego Brata, ale Jan wyprzedza światową literaturę. Wpada na pomysł, aby stworzyć coś, czego jeszcze nie było: ruchome, śledzące pracowników biuro. Swoją kancelarię umieszcza w przeszklonej windzie, która będzie sunęła wzdłuż wieżowca. (Kabina 5 × 5 metrów, radio, klimatyzacja, umywalka; rezerwuar ze świeżą wodą znajdzie się na dachu kabiny, na zużytą wodę – pod podłogą).

Szef nie będzie musiał wychodzić z windy ani iść po schodach. Kancelaria zatrzyma się na przykład na piętrze trzynastym, ściana budynku odsunie się na bok i ze swojej ruchomej sali tronowej – z umieszczoną z tyłumapą świata za sobą, na której zaznaczono wszystkie fabryki Batów – Jan Antonín Bata zobaczy pracujących ludzi.

Mówi, że to także dla ich dobra: aby przyjść do szefa, nie będą musieli tracić zbyt wiele czasu.

Jeśli zajdzie taka potrzeba, kancelaria za chwilę może pojawić się na innym piętrze.

(Niestety, nigdy nie skorzysta ze swojej podniebnej kancelarii – zostanie oddana do użytku jesienią 1939 roku, kiedy Jan Bata będzie za granicą i nigdy już do Zlína nie powróci).

Wciąż rok 1937: Najlepsi

Jan Bata zakłada Szkołę dla Najlepszych ze Szkoły Młodych Mężczyzn. Przy posiłkach uczniowie mogą mówić tylko w obcych językach, a stoły zastawione są jak w pięciogwiazdkowych hotelach (Jan właśnie wrócił z dwumiesięcznej podróży dookoła świata). Uczniowie uczą się w smokingach, cylindry ściągają dopiero po przekroczeniu progu szkoły.

Natomiast po lekcjach przebierają się w zwyczajny strój robotnika i idą do pracy.

Stara pani Batová (chodzi o żonę śp. Tomáša, która nie jest stara, ale ludzie nazywają ją tak dla odróżnienia od żony Jana, która też nazywa się Marie Batová), mimo sukcesów Jana, nie przestaje mówić o nim „ten kretyn”.

Jan, który skończył gimnazjum, otrzymuje doktorat *honoris causa* Wyższej Szkoły Technicznej w Brnie i domaga się, żeby mówić do niego „panie profesorze”.

1937 lub 1938. Plac Pracy w Zlínie (Moravský zemský archiv v Brně, Státní okresní archiv Zlín, FA obalka c. 5274, por. c. 4)

12 marca 1938 roku: Patagonia

Za dużo mówi. Ostrożność jest matką mądrości – jak powiedział Szwejk – ale Jan Bata, jak i sam Szwejk, nigdy tej prawdy się nie trzyma.

Następnego dnia po wcieleniu Austrii do III Rzeszy, przeczuwając, jaki los w najbliższym czasie spotka Czechosłowację, Jan budzi się z pewnym pomysłem. Za chwilę zacznie się zapowiadany „koncert mocarstw”. Nawet Warszawa uważa, że Czechosłowacja jest tworem sztucznym, skazanym na zagładę.

We własnej gazecie „Zlín” Jan Antonín Bata ogłasza pomysł, z którym się obudził – przenieść Czechosłowację do Ameryki Południowej.

„Brazylia, kraj wielki jak cała Europa, ma 44 miliony obywateli. Europa ma 480 milionów. Po co szukać terenu do rozwoju w ściśniętej Europie? A dlaczego nie tam? Lepiej się wyprowadzić. Ostatnia wojna kosztowała świat 8 bilionów czechosłowackich koron. Przewiezienie 10 milionów osób do Ameryki Południowej kosztowałoby tylko 14 miliardów koron. A za 140 miliardów mogliby już sobie wybudować piękne gospodarstwa. Dlaczego robić rzecz tak głupią, na szkodę ludzi, jaką jest wojna? Bardzo nadaje się dla nas też Patagonia w południowej Argentynie".

Bata liczy, że Niemcom ten pomysł się spodoba. Odczują przecież ulgę, gdy Czesi się wyniosą. (Po wojnie będzie to w komunistycznej Czechosłowacji podstawa oskarżenia w procesie o zdradę narodu).

– Ale naród i jego kultura są ściśle związane z miejscem – słyszy zewsząd.

– Do dupy z kulturą, gdy na wojnie mają ginąć dzieci – mógłby odpowiedzieć w swoim stylu.

Rok 1938 lub 1939: Göring

Spotyka się prywatnie w Berlinie z marszałkiem Rzeszy Hermannem Göringiem. Komuniści będą pisać, że zrobił to zaraz po tym, jak Niemcy zaczęli okupować Czechosłowację, a więc w marcu 1939. Rodzina Jana – że pół roku wcześniej, jesienią. Komuniści – że sam wpadł na pomysł, aby nawiązać z Göringiem osobisty kontakt. Rodzina – że został do tego zmuszony. Przybył bowiem kurier z Berlina i zagroził konsekwencjami, gdyby Bata u Göringa się nie pojawił. Nawet Tomík, który nie przepada za wujkiem, będzie jakoś tłumaczył jego zamiary: – Do Göringa pchnęły go tylko ciekawość i poczucie własnej ważności.

(Nie znalazłem wiarygodnego śladu tego, o czym razem rozmawiali. Poza tym, że były malarz z działu reklam w książce *Zdrada rodziny Batów* przytoczy słowa Jana: „Göring sam mi powiedział, że żyjemy na niemieckim podwórku, że musimy sobie to uświadomić i według tego postępować. Oczywiście jest w tym dużo prawdy").

W każdym razie eksport będzie teraz oznaczony *made in Germany*. Buty są dla Wehrmachtu, ale żadna firma pod okupacją nie ma przecież wyjścia. Hitler nawet zarządzi, aby specjaliści od przemysłu zbrojeniowego zapoznali się z systemem pracy w Zlínie. – Czesi są najniebezpieczniejsi ze wszystkich Słowian, gdyż są pilni – mówi Hitler.

W czasie wojny firma niemal dwa razy zwiększy liczbę swoich pracowników.

Na razie Jan Bata oznajmia im, że od tej chwili wolność może rozwijać się tylko za pomocą przedsiębiorczości. A sam zaraz wyjeżdża do Ameryki.

Lipiec 1939 roku: Rowerzysta

Oczywiście przed Niemcami musi udawać, że jedzie na Wystawę Światową w Nowym Jorku, inaczej nie wypuściliby go z Protektoratu Czech i Moraw. Ale wie, że w Stanach już zostanie. Natomiast dwudziestopięcioletni Tomík wyemigrował już z matką do Kanady.

Okupanci chcą przejąć Zlín i okolice. Prawo Protektoratu pozwala skonfiskować majątek, jeśli właściciel jest za granicą.

Jan Bata zabezpieczył się jednak: po siedem procent swoich akcji dał każdemu z pięciu członków rady nadzorczej. Namawia teraz starszą panią Batovą na powrót z Kanady do Zlína, bo ona ma dwadzieścia pięć procent akcji. Marie wraca, aby Zlín nie przeszedł w obce ręce. Janowi w Ameryce zostaje tylko czterdzieści procent akcji, a więc większość właścicieli Baty mieszka na terenie okupowanym. Mało kto wie, że w sejfie nowojorskiego banku Jan ma pisemne oświadczenia, że po zakończeniu wojny członkowie rady nadzorczej akcje mu zwrócą.

Hitler podobno z tego powodu wpada w szał.

– Każdy Czech jest rowerzystą, który na górze się schyla, ale na dole pedałuje! – wrzeszczy.

Styczeń 1941 roku: Wielki Potok

Jan z rodziną opuszcza Los Angeles na statku s/s „America”.

Jest niepożądanym gościem w Stanach. Otóż trafił na czarną listę aliantów jako kolaborant, którego przedsiębiorstwo pracuje dla Niemców. Płynie do Brazylii.

Dwudziestosiedmioletni Tomík ciągle jest w Kanadzie i zaczyna zarządzać duplikatem Zlína – Batavą.

Jan w Brazylii tworzy następne duplikaty. Pyta Indian, jak w ich języku mówi się „woda”.

– Y – odpowiadają.

– A jak „dobra”?

– *Porã* – informują grzecznie. I tak powstaje duplikat numer jeden: miasteczko Batayporã.

Duplikat numer dwa ma nazwę Bataguassu, co oznacza: Wielki Potok Baty.

Czesi jako pierwsi w świecie udowodnili, że można eksportować miasta – uważa czeski i amerykański ekonomista profesor Milan Zelený.

Czerwiec 1942 roku: Wystawa

Na placu Wacława w Pradze od 1929 roku stoi dom towarowy, zwany pałacem Bata, z dużą wystawą. (Zaprojektowany jest przez Czecha Ludvíka Kyselę i w XXI wieku zostanie uznany za jedną z najznakomitszych budowli funkcjonalizmu na świecie).

27 maja 1942 roku grupa czechosłowackich spadochroniarzy, wyszkolonych w Anglii, dokonuje zamachu na najważniejszego urzędnika III Rzeszy w Protektoracie, Reinharda Heydricha, który umiera w szpitalu. Zamachowcom udaje się uciec. Za karę Hitler każe zgładzić całą wieś Lidice pod Pragą[2]. Hitlerowcy nie tylko zabijają wszystkich mężczyzn, kobiety wysyłają do Ravensbrück, a dzieci do obozu albo do Niemiec. Nie tylko podpalają lub wysadzają wszystkie budynki i równają wieś z ziemią. Schodzą też pod ziemię – z grobów wyciągają wszystkie trumny, a z nich zwłoki. Akcja jest uważana za zakończoną po wyrwaniu wszystkich drzew z korzeniami i zmianie koryta potoku, aby nikt nie twierdził, że w tym miejscu była jakaś wioska.

Zanim Niemcy dopadną sprawców zamachu, władze zmuszają kierownika sklepu Bata na placu Wacława, żeby wystawił w witrynie płaszcz, czapkę, teczkę i rower znalezione na miejscu zamachu oraz ogłoszenie o nagrodzie dziesięciu milionów koron za odnalezienie zamachowców.

(Dla komunistycznej propagandy udostępnienie wystawy sklepu będzie później jednym z dowodów na współpracę Baty z okupantem).

Rok 1945: Sława i hańba

Zlín najpierw jest zbombardowany przez Amerykanów (niszczą sześćdziesiąt procent fabryk w mieście), a potem wyzwolony przez Armię Czerwoną. Polski rząd emigracyjny odmawia zawarcia kompromisu z ZSRR i zostaje na zawsze w Londynie. Czechosłowacki rząd emigracyjny tworzy w Moskwie rząd koalicyjny z komunistami i ogłasza swój program.

Dyrektorzy zakładów Baty są aresztowani. Ich zastępcy na oczach wszystkich muszą zamiatać Zlín. W ciągu dwóch miesięcy z pięćdziesięciotysięcznego miasta ucieka trzynaście tysięcy mieszkańców.

Z zakładowego radiowęzła przemawiają Ivan H. i Josef V. Podczas wojny pracowali w firmie i byli konfidentami gestapo. Teraz zapisali się do Służby Bezpieczeństwa. – Sława Jana Baty zakończyła się jego hańbą – mówią.

Jan mieszka w Batatubie (duplikat numer trzy w Brazylii), gdy dowiaduje się, że dekretem prezydenta republiki Spółkę Akcyjną Bata przejęło państwo.

Znany sowiecki pisarz Ilja Erenburg zwiedza Czechosłowację, a potem pisze: „Bata, który został w Zlínie, sławił führera i zaopatrywał w buty Reichswehrę. W przeddzień układu w Monachium zmienił swój herb. Dotąd były to trzy buty, a Bata domalował czwarty, aby skrzyżowane linie tworzyły swastykę”.

Czy Erenburg był w Zlínie naprawdę? (Bata przecież wyjechał i nie miał herbu). Ten fragment artykułu jest kolportowany w całej Czechosłowacji, komuniści przygotowują proces sądowy Jana Baty o zdradę narodu.

On sam domaga się od państwa czechosłowackiego odszkodowania za znacjonalizowany Zlín – największy w Europie Środkowej majątek, jaki posiada jeden człowiek.

Jeżeli sąd udowodni, że kolaborował z Niemcami, nie będzie należało mu się nic.

Kierownictwo nad przedsiębiorstwami poza Czechosłowacją przejmuje kanadyjska organizacja jego bratanka.

28 kwietnia 1947 roku: Wyrok

– Mój Boże, a stworzyliśmy Zlín tylko po to, aby uskrzydlić czeskiego człowieka – mówi Jan Bata, gdy dowiaduje się, że wyrokiem sądu narodowego w Pradze dostał piętnaście lat więzienia i dziesięć lat przymusowej pracy. Plus konfiskatę majątku.

Żądał, aby mógł jako oskarżony stanąć przed sądem i mieć szansę na obronę.

– Nie wierzę, aby oskarżony chciał się naprawdę w sądzie stawić – mówił podczas procesu przewodniczący składu do prokuratora.

Prokurator ogłosił:

– Oskarżenie może odbyć się przy nieobecności oskarżonego, który do kraju przyjechać nie chce i nie przyjedzie.

Oskarżony prosił o przysłanie przynajmniej aktu oskarżenia. Bez rezultatu.

Mimo że proces był typowym stalinowskim spektaklem, nie udało się udowodnić Bacie kolaboracji przez produkcję (produkować dla Niemców musieli wszyscy fabrykanci, a jego nawet nie było w kraju). Nie udało się uznać śmiesznego pomysłu z Patagonią za zdradę. Jednak kolaboracją było – dochodzi do wniosku sąd – niepopieranie podziemnego ruchu oporu w Czechach.

Władze Brazylii zamieniają szybko kartę stałego pobytu Baty na obywatelstwo i dzięki temu mogą protestować: ich obywatel nie jest sądzony według procedur międzynarodowych. Na nic się to nie zdaje.

(Za czterdzieści pięć lat jeden z wnuków Jana poprowadzi prywatne śledztwo, aby zrehabilitować dziadka. W 1992 roku w archiwum FBI znajdzie zapis o tym, że Amerykanie chcieli wykreślić nazwisko Baty z czarnej listy, gdyż nie było dowodów na kolaborację. Jednak komunistyczne władze w Pradze robiły wszystko, żeby z listy nie zniknął, gdyż uniemożliwiłoby to osądzenie go w Czechosłowacji i konfiskatę mienia).

Rok 1949: Świt

Na cześć towarzysza Klementa Gottwalda – wiernego ucznia Stalina, który rok wcześniej doprowadził do całkowitego przejęcia władzy przez komunistów i ogłosił: „Ze Związkiem Radzieckim po wieczne czasy, nigdy inaczej” – Zlín zostaje przemianowany na Gottwaldov.

Buty Baty – na buty Świt.

Rok 1949: Ivana

Już w Gottwaldovie pracownikowi koncernu, panu Zelníčkovi, rodzi się córka Ivana, która za dwadzieścia kilka lat zostanie modelką, a potem Ivaną Trump – żoną miliardera Donalda Trumpa i jedną z najbogatszych kobiet w USA. Zamieszka w pięćdziesięciopokojowym apartamencie w wieżowcu Tower Trump w Nowym Jorku.

Amerykańska prasa nazwie ją „duchową spadkobierczynią geniusza kapitalizmu ze Zlína, który słowiańskiemu ciału zaaplikował zastrzyk anglosaskiej mentalności”.

Małżonkowie rozejdą się, bo – jak stwierdzi mąż – największym błędem będzie dopuszczenie Czeszki ze Zlína do biznesu. Zamiast żony będzie miał niezmordowanego partnera w interesach.

Jedna z najciekawszych jej myśli, zawarta w bestsellerze – który Ivana T. napisze na własny temat za pięćdziesiąt lat – będzie brzmiała: „Kobieta jest jak torebka z herbatą. Żeby wiedzieć, jaka jest naprawdę, musisz ją wrzucić do wrzącej wody”.

Rok 1957: Nobel

Praska ulica od lat już mówi: „Ze Związkiem Radzieckim po wieczne czasy i ani chwili dłużej!”.

Mówi też, że Bata dostanie Nobla.

Rzeczywiście prasa brazylijska pisze, że sześćdziesięcioletni Jan Bata za swój projekt przesiedlenia Czechosłowacji do Patagonii, czyli nowoczesną ideę migracji, jest kandydatem do pokojowej Nagrody Nobla. Zgłosił go do nagrody prezydent Brazylii – za nieocenione zasługi na rzecz zmiany świata. (Nagrodę jednak dostaje kanadyjski polityk Pearson za rozwiązanie konfliktu sueskiego).

Goethe powiedział: „Więcej światła!” i umarł. Ostatnie przedśmiertne słowa Beethovena: „Komedia skończona”, Heinego: „Bóg mi przebaczy, to jego zawód”.

Jak mogłyby brzmieć ostatnie słowa noblisty Jana Antonína Baty?

MOJE BUTY NIE OBCIERAJĄ NÓG?

Rok 1957: Eksperyment

Brazylijska prasa pisze, że Jan Bata rozpoczął eksperyment z powiększeniem powierzchni krowiej skóry.

Zarządził:

– Włożymy krowie w małe otwory na całej skórze larwy gzów. Zrobią się bąble, skóra się naciągnie i w ten sposób jej powierzchnia zwiększy się o sześćdziesiąt procent.

Eksperyment został przerwany po śmierci pierwszej krowy.

Eksperyment Baty z drewnianą koleją przerwano po tym, jak drewniane tory rozjechały się pod pierwszą żelazną lokomotywą.

Oczywiście nie ma to żadnego związku z tym, że buty Baty sprzedają się rewelacyjnie.

Lata 50. i 60.: Wojna

Jan Bata walczy teraz z Marie Batovą i jej synem Tomíkiem. Bratowa i bratanek wszędzie tam, gdzie działają filie i organizacje Baty (ponad

trzydzieści państw), oskarżają go o bezprawne przejęcie majątku po Tomášu Bacie. Ich walka jest opisywana przez całą zachodnią prasę. Wskutek intrygi prawno-medialnej Jan zostaje nawet aresztowany w Nowym Jorku na dwa tygodnie.

Jest wyczerpany. Nie ma zdrowia i pieniędzy. Procesy trwają piętnaście lat. W końcu w 1962 roku zrzeka się znacznej części majątku na rzecz Marie i Tomíka. Umiera w 1965 roku w São Paulo.

W kilkudziesięciu krajach działa po kilka różnych spółek Baty, na przykład tylko we Francji – osiem, każda z nich ma firmy córki, które kontroluje. Nad całością czuwa syn Tomíka – Thomas Bata.

Bata Shoe Organization na własne potrzeby wydaje czasopismo „The Peak" (Szczyt).

Rok 1959: Zemsta – kolejny akt

Malarz plakatów jest już po kilku aktach zemsty. Wydał na nowo *Botostroj*, wydał *Zdradę rodziny Batów*, wydał *Batyzm w skrócie*. Teraz drukuje *Prawdziwą twarz batyzmu*, gdzie zebrał relacje dawnych pracowników Baty.

„Pracowałem w budynku numer 31. Mistrz zmiany częstował nas przezwiskami, których nie da się powtórzyć. Gdy dostałem telegram, że umarła mi córeczka, prosiłem mistrza o wolne na pogrzeb. »Co byś tam robił, do dupy pojedziesz, dziecka nie wskrzesisz. Spieprzaj, nikt za ciebie nie dokończy planu«. Nie wiem, jak wróciłem do maszyny, bo przez łzy nic nie widziałem. Mimo gróźb pojechałem na pogrzeb. Nie da się opowiedzieć, co potem przez trzy lata wycierpiałem" (A. Wagner).

„Bata zwrócił się do naszych rodziców, żeby sprzedali mu ich ukochany sad. Odmówili, przecież na owoce w nim czekali dwadzieścia lat. Ja, brat i siostra byliśmy już na swoim i pracowaliśmy u Baty. Kierownik kadr zagroził nam, że jeśli nie zmusimy rodziców do sprzedania ziemi, możemy jutro już nie przychodzić do pracy. Więc przymusiliśmy naszego biednego ojca, który płacząc, sprzedał tę ziemię za jedną piątą ceny, bo taki kaprys miał pan Bata" (Josef i František Hradilowie).

Analizując dokumenty, autor ujawnia, że w latach 1927–1937 nie znajdzie się ani jednego pracownika, który przeszedłby od Baty na emeryturę. Załogę odmładzano systemowo: pracownicy byli zwalniani z byle powodu co najmniej na dziesięć lat przed emeryturą.

„Tak epoka łamała ludzi, tak ich poniżał dawny reżim” – dodaje Turek.

Dalej 1959 rok: Moskwa

Inny autor (chyba nie nosi w sobie urazu, jest historykiem) zwraca uwagę na to, jak już w warstwie językowej wyrafinowany batyzm rozmywa podział klasowy i zmiękcza system wykorzystywania.

Otóż swoich pracowników Bata nazywa przebiegle „współpracownikami”, a ich pensje „podziałem zysku”.

Na dziesięciolecie powstania Gottwaldova i firmy Świt przytacza się w prasie słowa pewnego komunisty, który już w 1932 roku powiedział Bacie publicznie:

– Moskwa usuwa ludzką zawiść, Bata używa zawiści jako siły sprawczej.

Marzec 1990 roku: Powrót

Gottwaldov znów jest Zlínem.

Tomáš Bata (Tomík) po pięćdziesięciu latach triumfalnie przyjeżdża do miasta. Jest witany przez trzydzieści tysięcy ludzi.

Krzyczą: – Dręcz nas, Bato!

Odwiedza swoje dawne sklepy. W jednym z nich widzi, jak klient przymierza buty.

– Klienci są moim życiem – mówi. – Irytuje mnie, gdy w moim sklepie kupujący sami muszą wiązać sznurówki. – Klęka i zaczyna wiązać sznurowadła jakiemuś panu.

Pałac Lucerna

1906.

Czeski inżynier z Pragi, Václav Havel, ma zamiar zbudować w centrum, na placu Wacława, nowoczesny pałac. Pierwszy budynek z żelazobetonu w Pradze. Pokazuje żonie projekt.

– Tyle okien – mówi żona. – Będzie wyglądał jak latarnia.

Latarnia to po czesku *lucerna*.

– I to jest świetna nazwa dla całego budynku! – ożywia się mąż. – A najważniejsze – dodaje – że jest to słowo czeskie, które łatwo wymówi każdy cudzoziemiec.

Tylko kobieta

– Byłam tylko kobietą – powiedziała.

– W końcu to tylko kobieta – mówili ci, którzy ją kochali.

Nie wiemy, co mówiła przed śmiercią. Wiemy, co przed swoją śmiercią wyznała jej przyjaciółka:

– Po kremacji nie chcę pogrzebu ani żadnej ceremonii.

– A gdzie panią rozsypać? – spytał notariusz spisujący testament przyjaciółki.

– Nigdzie! – odparła. – Nie chcę ludziom zapaskudzić kwiatów w ogródkach.

Siedziała w swojej sypialni w Salzburgu (pięćdziesiąt metrów kwadratowych). Oglądała na wideo filmy z sobą w roli głównej i czekała.

W 1995 roku Helena Třeštíková z Pragi spytała ją, oczekującą spokojnie na kanapie:

– Jakie jest pani największe życzenie, pani Baarová?

– Czekam tylko na śmierć – odpowiedziała.

Niestety, śmierć nadeszła dopiero po pięciu latach.

Najpierw spalono ją w największym krematorium Europy. Potem urnę włożono do grobu. Pod nią leżeli: matka (od 55 lat w grobie), na matce – siostra (od 54 lat), a na nich – ojciec (od 35 lat).

Atak serca zabił matkę w momencie, gdy ją spytano o biżuterię Lídy.

Około 1936. Lída Baarová, zdjęcie prywatne (AKG / East News)

Siostra zabiła się sama, gdy z powodu Lídy nie wpuszczono jej do ulubionego teatru.

Ojciec umarł na raka. Z jego śmiercią Lída bezpośrednio nie miała nic wspólnego. Ale i tak cierpiał: nie widział jej od siedemnastu lat i nie zobaczył do końca życia. Państwo dożywotnio odebrało mu prawo do widzenia z córką.

Studiowała już w szkole aktorskiej, gdy zobaczył ją reżyser filmowy i zaprosił do studia. Wtedy ojciec, Karel Babka – dyrektor magistratu w Pradze – wpadł na pomysł, że będzie się nazywała Lída Baarová. Ludmila Babková – to jak na artystkę brzmiało zbyt zwyczajnie. Nad tym, jak córka ma się nazywać, ojciec nie myślał długo, ponieważ przyjaźnił się z pisarzem Jindřichem Šimonem Baarem.

Do nowego nazwiska nie pasowało stare imię.

W tym czasie w sąsiednich Niemczech władzę absolutną zdobywał mężczyzna, który – jak ktoś zauważył – najbardziej był wdzięczny swojemu ojcu za porzucenie pospolitego, wiejskiego nazwiska Schicklgruber.

To jasne.

Pozdrowienie „Heil Schicklgruber” byłoby zbyt rozwlekłe.

Nakręcili film, a jego reżyser uznał, że odda siedemnastoletnią Lídę w lepsze ręce. Przyprowadził ją do młodszego kolegi. Był rok 1931, w Pradze od dwóch lat działała Bio Lucerna – pierwsze w kraju kino z dźwiękiem. – W filmie dźwiękowym jestem bezradny – zwierzył się reżyser koledze. – W niemym wszystko było prostsze. Kiedy nie wiedziałem, jak jakąś scenę nakręcić, dawałem napis, o czym bohaterka w tym momencie myśli, i ludzie mogli to sobie przeczytać.

Młodszy kolega (reżyser Otakar Vávra, rocznik 1911, do dziś pracuje)[3] przejął Lídę i wyreżyserował jej najlepsze czeskie filmy. Zawsze powtarzał (no, może nie zawsze, dopiero w latach dziewięćdziesiątych, bo wcześniej nie mógł), że szybko stała się gwiazdą, jakiej Czechy nie mają do dziś.

„Dzisiejsze aktorki wyglądają przy Baarovej jak kocmołuchy” – napisał niedawno.

Jeden z wielbicieli pod koniec lat trzydziestych nazwał jej imieniem nową odmianę róży. W środku kwiat ma płatki ciemnoczerwone, a z wierzchu – delikatnie różowe.

Pisano: „Umie zagrać szczerze, to jest twarz, która przekazuje tylko czyste uczucia”.

Na premierze teatralnej w Pradze zobaczył ją dyrektor niemieckiej wytwórni UFA, którą Niemcy uważali za Hollywood Europy. Był wrzesień 1934 roku, Lída siedziała z matką na widowni.

Od następnego dnia miała jeść tylko trzy jabłka dziennie, poza tym nic.

– Za wszelką cenę musi schudnąć i pozbyć się słowiańskiej pucołowatości – powtarzał producent.

Film nosił tytuł *Barkarola*. Szukano aktorki, która zagra najpiękniejszą kobietę w Wenecji.

– Miałam dwadzieścia lat i dostałam się do nieba – powiedziała Lída. – Główna rola w niemieckim filmie. Nie osiągnęła tego jeszcze żadna czeska aktorka.

Potem na ten sam temat Lída Baarová mówiła inne rzeczy koleżankom, inne amerykańskim oficerom śledczym, inne czechosłowackiej Służbie Bezpieczeństwa, inne reporterowi, który napisał o niej książkę *Przekleństwo Lídy Baarovej*.

Na ten sam temat mówiła inaczej, gdy piła wodę, inaczej, gdy piła duże ilości szampana zmieszanego z fernetem.

Tym tematem była miłość.

Od tego momentu większość tego, co wiemy o Baarovej, należałoby opatrzyć pierwszym zdaniem z *Rzeźni numer pięć* Kurta Vonneguta. Zdanie to brzmi: „Wszystko to wydarzyło się mniej więcej naprawdę”.

Pewnego dnia podczas zdjęć nagle stanęły gondole na sztucznych kanałach. Zobaczyła, jak twarz jej partnera Gustava Fröhlicha (od kilku dni byli już kochankami) nabrała nowego, promiennego wyrazu[4].

– Führer idzie! – powtarzali wszyscy podnieceni.

Chciała się schować, ale oczy Hitlera spoczęły właśnie na niej.

– Były to oczy niebieskoszare – wyjaśniła później na przesłuchaniu. – Oczy jak najzimniejsza stal. Patrzył na mnie uparcie, jakby mnie tymi oczami dosłownie przewiercał.

Wizyta trwała krótko. Mocno ścisnął jej rękę.

Trzy dni później Lída dostała powiadomienie, że Hitler zaprasza ją do Kancelarii Rzeszy na herbatę. Reżyser i Gustav powiedzieli, że pójść musi. Ze strachu dostała rozwolnienia. Jedni mówili, że dzięki führerowi nie ma bezrobocia i że obroni on Niemcy przed bolszewikami, inni powtarzali, że to potwór.

– Ma pani piękny kapelusik – powiedział Hitler.

Paliło się w kominku.

– Chciałaby pani być Niemką?

– Jestem Czeszką. Przeszkadza to panu?

– Nie. Ale cieszyłbym się, gdyby była pani Niemką.

Sekretarz Hitlera wyszedł, zostali sami.

– Kiedy zobaczyłem panią w studiu – zaczął – osłupiałem. Pani twarz przypomina mi kobietę, która w moim życiu grała wielką rolę. Nagle stanęła przede mną żywa.

Nie wiedziała, kogo mu przypomina.

Dopiero potem usłyszała historię Geli – Angeli Raubal, siostrzenicy Hitlera z Wiednia, w której kochał się nieprzytomnie od momentu, gdy ukończyła szesnaście lat. Geli nie miała nic wspólnego z nordycką rasą: ciemne oczy, czarne włosy i wysokie kości policzkowe jak Lída. Znaleziono ją martwą na dywanie w jego mieszkaniu w Monachium. Strzeliła sobie w serce z niewyjaśnionych nigdy powodów.

Hitler czuł się za nią odpowiedzialny, więc od śmierci Geli w 1931 roku, aby odpokutować swój duchowy udział w jej samobójstwie, przestał jeść mięso.

– Zdjęcie, które stoi zawsze na moim stole, ożyło – mówił dalej do Lídy w 1934 roku. – To pani zasługa.

– Bardzo mi przykro… – odezwała się bezradnie.

Nie powiedział już nic i pozwolił jej odejść.

Nie przekonała się, czy naprawdę miał tylko jedno jądro.

Wiadomo, że każda rzecz przetworzona przez pamięć staje się czymś zupełnie nowym. Stres uwalnia w mózgu związki chemiczne, które natychmiast zubażają przyszłe wspomnienia. Poza tym Lída po wojnie celowo mogła kłamać.

Nie wiadomo więc, ile razy naprawdę była na herbacie u Hitlera. W swoim pamiętniku napisała, że dwa. Pod koniec życia utrzymywała, że raz. Służbie Bezpieczeństwa powiedziała, że cztery.

Drugi mężczyzna, który obdarzył ją przenikliwym i długim spojrzeniem, miał prawą nogę krótszą, wykręconą do wewnątrz.

Prawe kolano o trzy i pół centymetra mniejsze w obwodzie niż lewe.

Zbyt długie dłonie nie pasowały do jego krótkich ramion.

Był drobny.

Miał chłopięcy wzrost.

Przez całe dzieciństwo inne dzieci go poniżały, ojciec ignorował.

Pierwszy stosunek odbył w wieku trzydziestu trzech lat.

Zapisał się na pięć różnych uniwersytetów.

Na zebranie NSDAP wszedł tylko dlatego, żeby się ogrzać, bo nie miał zimowego płaszcza.

Kiedy pierwszy raz zobaczył Hitlera, zapisał: „Te jego wielkie, niebieskie oczy! Jak gwiazdy! Jak się cieszę, że mnie widzi!”.

Gdy Lída Baarová zobaczyła tego mężczyznę pierwszy raz, pomyślała, że jego nieatrakcyjność jest uderzająca.

Mówiono, że błyskotliwa inteligencja czyni go podwójnie niesympatycznym.

Najsłynniejsza myśl, jaką spłodził – „Kłamstwo powtórzone wiele razy staje się prawdą” – była już od dawna wcielana w życie.

Za publikację zdjęć, na których było widać jego krótszą nogę, groziła śmierć. Pewien pisarz, który prywatnie spotkał go podczas wojny,

wspominał: „Ministra propagandy otaczała aura piekielna; ten, kto się do niego zbliżył, odczuwał lęk, jaki towarzyszy człowiekowi, który przekracza strefę wysokiego napięcia”.

Lída Baarová usłyszała jego głos.

– Poczułam, jakby przenikał mnie całą. Jakby mnie grzał i głaskał jednocześnie – powiedziała.

Goebbelsa spotkała przypadkowo na ulicy. Zaprosił ją, aby obejrzała, jaki ładny ma dom i jakie piękne dzieci. Pochwalił się, że każde z piątki na cześć Hitlera nosi imię zaczynające się na H.

Potem nieustannie zapraszał ich z Gustavem na przyjęcia i premiery. Zawsze kiedy chcieli wyjść, okazywało się, że minister ma w domu jakiś film, w którym coś mu się nie podoba, i chce, żeby przed premierą Lída i Gustav go obejrzeli. Byli aktorami. Nie mogli odmawiać ministrowi, który miał kino w osobistej pieczy. Tak jak führer uważał, że radio, samochód i film pomogą Rzeszy w ostatecznym zwycięstwie.

Badacze obliczyli po wojnie, że minister miał stosunki seksualne z trzydziestoma sześcioma odtwórczyniami ról głównych i drugoplanowych.

W końcu zaprosił Lídę samą do biura na herbatę.

Spytał, co dziś kręci mąż.

Odparła, że nie ma męża, i Goebbels doznał szoku.

Kiedy Czesi ją po wojnie aresztowali, nie potwierdziła, że była jego gościem na zjeździe NSDAP w Norymberdze.

Dwa dni po jej dwudziestych drugich urodzinach (9 września 1936 roku), wieczorem, po przyjęciu Goebbels poprosił, by poszła z nim do hotelu, w którym mieszkał Hitler. Usłyszeli, jak w restauracji ktoś śpiewa: „Jestem tak zakochany…”.

– Ja także… – szepnął jej do ucha.

Opowiedziała mu, jak nieszczęśliwa jest z Gustavem, który nie chce się z nią ożenić. Pokazuje się z nią, ale tylko po to, żeby zwrócić uwagę na siebie. Zakłada jej przed wyjściem klejnoty, ale kiedy wracają, natychmiast

je zdejmuje, żeby nic się im nie stało. W dodatku raz w nocy pomylił się i zawołał ją imieniem innej kobiety.

– Proszę zostać do jutra – poprosił Goebbels. – Mam w południe ważne przemówienie i proszę mnie wtedy bacznie obserwować.

Wyciągnął chusteczkę z butonierki.

– Będę nią dotykał ust na znak, że o pani myślę.

Lída pocałowała go delikatnie w policzek.

– Żyd jest pasożytem! Niszczycielem kultury! Enzymem rozkładu! – powiedział nazajutrz i sięgnął po chusteczkę.

Kręciła dla wytwórni UFA filmową wersję *Zemsty nietoperza*, gdy austriacka aktorka, która grała rolę Adeli, dostała zakaz występowania. Reżyser poprosił Lídę, żeby wstawiła się u Goebbelsa. Zakaz cofnięto, Baarovą ekipa nosiła na rękach, ale brukowe gazety już pisały o „nowej przyjaciółce pana ministra”.

– Widzisz – powiedział potem. – Ludzie są przekonani, że jesteśmy sobie bliscy, a ty przed tym uciekasz.

Chciał ją objąć. Jak zwykle w takich momentach rozpłakała się.

– Pan ma przecież dzieci, a ja mam Gustava…

– Nie masz, nie wmawiaj tego sobie. Piękna kobieta to żaglowiec na pełnym morzu. Każdy wiatr ją dokądś pędzi, ale gdy wichura minie, zawsze czeka ją piękna burza.

– Więc jeśli kobieta urodzi się piękna, jej uroda jest grzechem?

– To nie grzech, ale niedogodność. Piękna kobieta jest miotana jak trzcina.

„Kiedy dzwonił do mnie do domu, zawsze przedstawiał się jako pan Müller. Z dnia na dzień »pan Müller« brzmiało coraz wyraźniej jak rozkaz”.

„Telefonuje do niej tak często, że do podsłuchiwania jej telefonu Göring musi zaangażować jeszcze jednego pracownika”.

1936. Lída Baarová, Gustav Fröhlich i Joseph Goebbels (Ullstein bild / Getty Images)

Richard Walter Darré, teoretyk hodowli świń mianowany nazistowskim ministrem zdrowia, tłumaczył dążenia kobiet do emancypacji zaburzeniami funkcjonowania gruczołów płciowych. Uważał, że kobieta to raczej marzycielsko-przeżuwające zwierzę domowe. Pożądane cechy kobiece określało typowe ogłoszenie: „Pięćdziesięciodwuletni lekarz, Aryjczyk pragnący osiedlić się na wsi, pragnie męskiego potomstwa w oficjalnym związku ze zdrową Aryjką, dziewicą, młodą, skromną i oszczędną, zdolną do ciężkiej pracy, szeroką w biodrach, chodzącą na płaskich obcasach i nienoszącą kolczyków, najlepiej niezamożną”. Goebbels wyjaśniał, że naziści odsuwają kobiety od życia publicznego, aby przywrócić im godność.

Gdy zapraszał Lídę na zjazd, Magda Goebbels – ideał kobiety III Rzeszy – miała trzydzieści pięć lat, była w ciąży z piątym dzieckiem, po

czwartym utyła. Nadal była atrakcyjna. Patronowała Narodowemu Instytutowi Mody i z dumą nosiła Order Macierzyństwa.

Autorzy amerykańskiej pracy *Miłość we troje* w rozdziale *Trójkąty miłosne i Holocaust* odnotowują: „Goebbels chciał, by Lída zamieszkała z nim, jego żoną i dziećmi. Aryjka do rodzenia potomstwa. Słowianka (lub Żydówka) do zakazanej namiętności – nieodłączna sprzeczność świata nazistowskiego".

3 sierpnia 1937 roku Goebbels zapisał w osobistym dzienniku: „Czesi są zasranym narodem!", a ponieważ Lída zgodziła się przyjechać na zjazd do Norymbergi, zanotował, że „stał się cud".

19 października 1937 roku pisał: „To sezonowe państwo musi zniknąć!", a jakiś czas potem – że przy pierwszych przymrozkach poszli z Lídą do lasu karmić sarny.

20 marca 1938 roku notował: „Musimy niebawem usunąć z Wiednia Żydów i Czechów", a w tym czasie uczył ją posługiwać się łukiem i śpiewał.

1 czerwca 1938 roku cytował Hitlera: „W południe u Führera. Charakteryzuje Czechów jako ludzi bezczelnych, zakłamanych, dewocyjnych i służalczych. To się zgadza co do joty. Ma jeszcze wiele zamiarów w stosunku do Czechów. Oni jeszcze ściągną na swoją głowę śmiertelne niebezpieczeństwo. W tym momencie żyją jedynie strachem. I tak jest dobrze". Dla Lídy grał na fortepianie.

Kilka dni później o dwanaście lat starsza od Baarovej Magda Goebbels zaprosiła ją do siebie.

Przywitała się przyjaźnie. Według Lídy aż nazbyt przyjaźnie.

– Kocham mojego męża, ale on kocha panią – powiedziała.

– Chciałabym opuścić Niemcy. Mogłaby mi pani pomóc? – spytała Lída.

– Mówmy sobie po imieniu. – Magda nalała likieru z karafki i podniosła kieliszek do toastu. – Nie możesz tego zrobić. To jest wielki człowiek. Potrzebuje i ciebie, i mnie.

– Ja bym nigdy nie mogła…

– Będziesz musiała.

Żona Martina Bormanna, przełożonego służby podsłuchowej, który miał z nią wtedy dziewięcioro dzieci i zakochał się w aktorce Manji Behrens, napisała o kochance męża: „M. jest tak sympatyczna, że nie mogę się gniewać. Wszystkie dzieci ją uwielbiają. Jest nawet lepszą gospodynią niż ja. Pomagała mi w pakowaniu porcelanowej zastawy. Ani jeden spodeczek się przy tym nie rozbił”.

Lída Baarová spędziła z Goebbelsami cztery weekendy w ich letnim mieszkaniu w Wannsee.

Po ostatnim weekendzie zadzwonił do niej „pan Müller” i wypowiedział tylko dwa zdania:

– Żona poszła do Führera. Ona jest diabłem.

Hitler wezwał Goebbelsa i zakazał mu kontaktów z Baarovą.

– Rozwiodę się – oznajmił minister. – Mogę zostać ambasadorem w Japonii i tam z nią zamieszkać.

– I tego właśnie naród nie chce! – Hitler walił pięścią w stół. – Kto tworzy historię, nie ma prawa do życia osobistego!

„Führer jest dla mnie jak ojciec – zapisał w dzienniku Goebbels. – Jestem mu za to tak wdzięczny. W tej trudnej godzinie mogę to dobrze wykorzystać. Podejmuję bardzo trudne decyzje, ale są one ostateczne. Jeżdżę samochodem przez godzinę. Dosyć daleko i bez celu. Żyję prawie jak we śnie. Życie jest takie trudne i okrutne. Gdzie mam zacząć, gdzie mam przestać? […] Potem mam jeszcze bardzo długą i bardzo smutną rozmowę telefoniczną. Pozostaję jednak twardy, choć serce mi pęka”.

„Płakał! – pisała Lída. – Płakał jak całkiem zwyczajny człowiek”. A kiedy powiedział do słuchawki, że to koniec, bo dał wodzowi słowo, straciła świadomość.

Następnego dnia odwieziono ją do kliniki psychiatrycznej.

Wyszła, dostała wezwanie na policję.

– Ma pani zakaz występowania w filmie i teatrze – usłyszała. – Nie może się pani pokazywać publicznie.

Zemdlała. Potem uspokoić ją mógł tylko zastrzyk z morfiny.

Przestała dostawać listy.

Zakazano wyświetlania wszystkich filmów, które nakręciła dla wytwórni UFA.

Zabrała tylko torebkę i pieniądze.

W Pradze stanęła przed domem, którego jeszcze nie znała. Rodzice za jej honoraria mieli kupić dom, a kupili modernistyczne cudo – willa była podobna do statku, otaczał ją taras, który wyglądał jak pokład. Nie istniały żadne kąty proste, kuchnia była półkolem, a sypialnia kołem. Okna były okrągłe. Przed domem rosły róże odmiany Lída.

Siostra zachowywała się chłodno.

– Czy ty wiesz, co my przeżyliśmy?! – pytała. – Co nam zrobili Niemcy?

Młodsza o siedem lat siostra Zorka Babková – o nowym nazwisku Janů – też była aktorką.

Miała na myśli kraj.

Jesienią 1938 roku z czeskich Sudetów zajętych nagle przez Niemcy wskutek zdrady Anglii i Francji uciekali w głąb Czech Żydzi, Czesi i Niemcy antyfaszyści. Ci, którzy spóźnili się z ucieczką, zostali zatrzymani przez nazistów. Ci, którzy uciekli wcześniej, byli bez mieszkania, bez jedzenia, bez szans na pracę. Powstały agencje specjalizujące się w szybkim wysyłaniu uciekinierów, którzy znaleźli się w Pradze, za granicę („Lekarzy, adwokatów, handlowców Izraelitów wyślę natychmiast na drugą półkulę. Pozwolenie mam”).

– Nawet żołnierze płakali. Czy ty, Lído, wiesz, jak nieszczęśliwi są ci, co musieli uciekać?!

Lída nie wiedziała.

– Bardzo mi przykro – odezwała się bezradnie. – Miałam tyle własnych kłopotów – dodała – że waszej sytuacji już sobie nie wyobrażałam.

Kwestia, która podczas rozmów z Lídą Baarovą przed jej śmiercią ciekawiła Helenę Třeštíkovą, reżyserkę dokumentów, i Stanislava Motla, dziennikarza telewizji Nova, oraz dziesiątki osób, które ją kiedyś znały, a od lat dziewięćdziesiątych wspominały chętnie, brzmi: czy Lída Baarová była głupia?

Ona sama twierdziła, że tak.

Ale jej akurat nie można wierzyć. Dla niej mogła to być bardzo wygodna odpowiedź.

W nocy z 14 na 15 marca 1939 roku Hitler zmusił Czechosłowację do uległości. Zażądał od prezydenta Háchy przyjazdu do Berlina i zagroził zbombardowaniem Pragi, jeśli Czesi nie skapitulują. Kraj okrojony po układzie w Monachium, bez umocnień granicznych na północy nie miał szans na opór. Zanim Hácha wrócił z Berlina (jego pociąg długo trzymano na granicy, rzekomo z powodu burzy śnieżnej), Hitler wczesnym rankiem już był na Zamku w Pradze. Od początku było jasne, że Czesi się nie obronią. Ich najbliżsi przyjaciele, Francja i Wielka Brytania, stanęli po stronie Hitlera, więc teraz Czesi mieli dwie możliwości: pójść drogą Jana Husa – ocalić twarz i spłonąć – albo skapitulować i przetrwać.

O 8.15 niemieckie wojsko jechało aleją Narodową.

Po chodnikach szły tłumy, ale nikt nie przystawał, nikt się nie oglądał. Na placu Staromiejskim przy Grobie Nieznanego Żołnierza (wiem to z reportaży Mileny Jesenskiej) ludzie kładli stosy przebiśniegów i płakali.

Ponoć nie było w tym strachu, nie było lamentu, nie było rozpaczy. Był tylko smutek.

„Każdy z nas wziął na siebie 15 marca wielkie zadanie” – pisała Jesenská kilka dni później w tygodniku „Přítomnost”.

Zadanie brzmiało: być Czechem.

„Gest, który mogliby uczynić czescy mężczyźni 15 marca 1939 roku, byłby jedynie gestem samobójczym. Być może pięknie jest przelać krew za swoją ojczyznę, czyniąc bohaterski gest. Myślę nawet, że nie jest to specjalnie trudne. My jednak musimy robić coś całkiem innego. My musimy żyć. Musimy oszczędzać każdego człowieka, którego mamy, każdą siłę i siłkę. Nie ma nas wystarczająco dużo, byśmy mogli sobie pozwolić na gesty. Jest nas tu osiem milionów – zbyt mało, zbyt mało na samobójstwa. Ale wystarczająco dużo na życie”.

A więc pracować jak zwykle, a jak się da, oszukiwać reżim. Przede wszystkim zaś nie stawać się Niemcem.

Przed południem, także aleją Narodową, jechała Lída Baarová. Mimo że dwa i pół miesiąca była już w Pradze, ciągle nie usunęła z samochodu niemieckich numerów. Kiedy zatrzymała auto, przechodnie spoglądali na tablicę i ze złością uderzali pięścią w dach.

Trwało jeszcze lato 1939. Razem z piosenkarką Ljubą Hermanovą pojechały na mecz piłkarski. Wszyscy już mówili o wojnie. – A Lída – wspominała koleżanka – od jakiegoś czasu zaczęła źle mówić po czesku. Myliła słowa czeskie z niemieckimi. Tym razem siedziałyśmy na trybunie i nagle w afektowany sposób zaczęła krzyczeć: „*Hergot*, teraz mogli strzelić… *wie sagt man das nur tschechisch*… tak – gola!”. Już wtedy powinno to nam, jej kolegom, coś zasygnalizować. Przynajmniej to, jak jest głupia. Nie wyobrażam sobie, aby tak niszczyła własne życie kobieta, która byłaby choć trochę inteligentna.

Reżyser Otakar Vávra pamięta, jak używała potem w Pradze puderniczki z fotografią Goebbelsa. Choć oczywiście nie ma do niej pretensji. Była tylko kobietą. Straciła głowę. Kochała. Zapomniała o zasadach.

Społeczeństwo czeskie miało pracować wyłącznie dla dobra III Rzeszy.

– Jak mi pani wytłumaczy, że przychodzi do nas tak wielu Czechów i pozdrawia „Heil Hitler”? – spytał Milenę Jesenską pewien Niemiec.

– Czechów? To na pewno pomyłka.

– Nie, to nie pomyłka. Wchodzą do nas do biura, wyciągają prawą rękę i mówią: „Heil Hitler”. Dlaczego? Mógłbym pani opowiedzieć o pisarzu, który usilnie stara się o to, żeby jak najszybciej jego dramaty wystawiano na berlińskich scenach. Mógłbym pani opowiedzieć o wielu ludziach, którzy robią więcej, niż muszą. Wyjątkowo gorliwie, niezmordowanie.

A może Baarová nie była głupia, tylko chciała się urządzić? Bo wierzyła, że i tak ostatnie zdanie w Europie będzie należało do Hitlera?

– Nie, nie. Była tylko młodą kobietą, to jedyne wytłumaczenie – mówili jej obrońcy po latach.

Stanislav Motl (napisał o niej książkę):

– Ona jako gwiazda czuła się zwolniona z myślenia o rzeczach ważnych.

*

Powtarzano potem, że 15 marca na Zamku w Pradze Lída Baarová witała Hitlera (nieprawda).

Kiedy w listopadzie 1942 roku Goebbels na trzy dni przybył z wizytą do Pragi, Lída dostała nakaz opuszczenia miasta w tym terminie (prawda).

W pałacu Lucerna, gdzie w barze spotykał się filmowy świat, była bojkotowana i wiele osób nie chciało się do niej przysiadać (częściowa prawda).

Miała przyjaciół. Pomagał jej Miloš Havel, wujek kilkuletniego Václava, założyciel Barrandova, „czeskiego Hollywood” – właściciel kina, do którego przychodziła jako dziewczynka (z rozmazanym cukierkiem malinowym na twarzy, żeby wydać się bardziej dorosła). Teraz wił się jak piskorz, żeby uratować czeski film we własnej wytwórni, w której naziści odebrali mu pięćdziesiąt jeden procent udziałów. Jego dyplomacja doprowadziła do sukcesu: z czterdziestu filmów czeskich w latach 1939–1945 żaden nie był o treści nazistowskiej. (Choć w pozytywnym świetle nie można było pokazywać Żydów, a tematem tabu byli studenci. W 1939 roku, po manifestacjach w dzień święta narodowego, Niemcy zamknęli przecież wszystkie czeskie uczelnie, a w obozach koncentracyjnych od razu znalazło się tysiąc dwustu studentów. Czesi mieli być tylko niemiecką siłą pociągową).

W Protektoracie Baarová nakręciła swoje cztery najlepsze czeskie filmy z rolami wampów[5]. Dostała propozycje z Włoch, zagrała u Guazzoniego i de Siki.

Drugą osobą z kręgu Lídy była Adina Mandlová, aktorka i koleżanka (ta, która później swoimi prochami nie chciała ludziom zapaskudzić ogródków).

Rozmawiały kiedyś z Adiną o mężczyznach. Lída żartowała, że na zjazd kochanków Adiny nie wystarczyłaby Wielka Sala Lucerny.

– Ty, Liduško – powiedziała Mandlová – musiałabyś wynająć cały stadion na Strahovie pod hasłem: „Każdy Czech raz w życiu na Strahov!”.

W tym czasie dwóch Czechów starało się o względy Baarovej: szef kancelarii prezydenta Háchy i minister przemysłu. Nie wiadomo, czy spełniła nadzieje ministra. Była dyskretna. To, co wiemy o jej życiu uczuciowym i intymnym, zostało z niej wyrwane siłą.

Gdy Armia Czerwona w kwietniu 1945 roku dochodziła już do Bratysławy, Baarovą ostrzegano, że musi uciec.

– Przecież nikomu nic nie zrobiłam. Niemcy nie chcieli mieć ze mną nic wspólnego, sami wyrzucili mnie z filmu. I to wszystko działo się jeszcze przed wojną! – tłumaczyła.

Nie przewidziała, że gdy po wojnie niektórzy naziści znikną, właśnie ona będzie uznana za osobę, która zna ich tajemnice.

Kiedy jednak ponad dwa miliony Niemców zaczęły masowo uciekać z Czech, wyjechała samochodem z zaprzyjaźnioną rodziną. Zatrzymali się w jakiejś wsi. Amerykanie wysadzili mosty i nie mogła dojechać do Monachium. Miesiąc pomagała w polu rolnikowi, u którego zamieszkała. Na polu spotkał ją amerykański żołnierz Peter. Zakochał się.

Peterowi i jego kolegom pozwalała obserwować się podczas kąpieli w potoku.

Peter i koledzy należeli do CIC – Counterintelligence Corps – poprzedniczki CIA.

Potem zakochał się w niej przełożony Petera, major Malsch, oficer wywiadu. Zostawiła żołnierza i przeniosła się do willi majora w Monachium. Żyli razem ponad dwa miesiące. Major mieszał jej ulubione koktajle i bezustannie pytał.

Po aresztowaniu Amerykanie powiedzieli Baarovej, że Goebbelsowie otruli sześcioro swoich dzieci, a potem popełnili samobójstwo. Oznajmili, że znalazła się na liście przestępców wojennych i przekazali aktorkę Czechosłowacji.

Stanislav Motl dziesięć lat poświęcił na szukanie w Europie odpowiednich dokumentów.

– Nie ma najmniejszego śladu – mówi – aby Lída Baarová w czasie wojny kolaborowała z Rzeszą. Jej winą było to, że żyła tylko swoją karierą

i niczym więcej.

Naziści byli dla niej publicznością kinową.

Kiedy Baarová w praskim areszcie słyszała na własny temat dwie powtarzające się opinie: „Ty głupia krowo” i „Ty kurwo”, jej koleżanka Adina Mandlová jechała do znajomych za Pragę.

Przez całą okupację krążyły plotki, że Mandlová jest kochanką Karla Hermanna Franka, wyższego dowódcy SS i Policji w Protektoracie. W miejscowości Beroun zobaczył ją policjant i krzyknął: „Ptaszek ucieka za Frankiem!”. Uzbrojeni w bagnety gwardziści wlekli ją przez rynek. Prosto na dworzec, żeby dowieźć do Pragi. Ludzie, dla których występowała tu rok wcześniej, krzyczeli: „Gdzie masz Franka, żeby ci pomógł?!”. Tłum rzucał kamieniami nawet w pociąg.

W areszcie sprowadzono do Adiny fotoreporterów i kazano jej pozować, jak wykonuje fizyczną pracę.

Po uniewinnieniu w 1946 roku Adina Mandlová podupadła na zdrowiu. Ciągle widziano ją pijaną. *Mandel* to w czeskim i niemieckim migdał, więc powstało powiedzenie: „Baarová ma oczy *mandlové*, a Mandlová barowe”.

Do aresztu nadeszły dwie wiadomości.

Matka zmarła na atak serca w czasie przesłuchania, w momencie kiedy śledczy znów zaczął do niej krzyczeć: „Powiedz, gdzie jest cała biżuteria Lídy?!”. (Miała pięćdziesiąt sześć lat).

Siostra Zorka Janů odnosiła sukcesy na scenie. Szła na próbę, gdy drogę zagrodził jej aktor i komunista Václav Vydra.

– Siostra Lídy Baarovej nie może być czeską aktorką! – oznajmił i nie wpuścił Zorki do teatru.

Napiła się benzyny, ale ją odratowano.

Po pogrzebie żony Karel Babka trafił do szpitala. Aby nowotwór nie przerzucił się wyżej, amputowano mu nogę. Gdy wrócił do domu, Zorka nic nie jadła, była wychudzona i kilka razy dziennie wpadała w amok: cały czas się kąpała. Wycierała do sucha i znów wchodziła do wanny. Powtarzała: – Ja muszę być czysta!

Gotował obiad, gdy kątem oka zobaczył, że z okna łazienki na piętrze spada przed dom duży ręcznik. Usłyszał, jak ręcznik głucho uderza o betonowe schody. (Miała dwadzieścia trzy lata).

Problemy Lídy Baarovej po wojnie wzięły się także z tego, że jej naród miał problem ze sobą.

W kraju, który został ograbiony z ziemi przez sąsiadów, w tym Polskę, zwyczajny Czech wykonywał – jak chciała Milena Jesenská – swoje zadanie „bycia Czechem". Pracował, aby przetrwać. (Ruch oporu propagował hasło: „Pracuj powoli").

Czech mógł pracować dla Niemców lub pracować dla Niemców.

Osiemnastoletni Josef Škvorecký, później znany pisarz, zaraz po maturze w 1942 roku dostał nakaz pracy w fabryce zbrojeniowej. Miał do wyboru: fabrykę broni w Bremen, gdzie ciągle trwały naloty dywanowe, albo fabrykę części do niemieckich messerschmittów w swoim spokojnym miasteczku Náchod.

Wybrał pracę bez nalotów.

Jednak w świecie zbrodni nie można być gdzieś na zewnątrz. Wiele rzeczy wyjaśnia postawę Czechów, co nie znaczy, że to, co się wydarzyło, jednak ich nie dotknęło. Dotknięci nosili w sobie jakieś poczucie współwiny. Mogli sobie tego nie uświadamiać.

Mogli intuicyjnie odreagowywać na Baarovej i Mandlovej. Na osobach, które w ich pojęciu z własnej woli obcowały z katem.

Życie Lídy Baarovej nie znosiło próżni.

Wkrótce po śmierci matki i siostry do aresztu na widzenie przyszły dwie osoby. Oświadczyły Lídzie, że ją kochają. Nie znała bliżej żadnej z nich.

Pierwszą była Marcela Nepovímová, aktorka młodsza o pięć lat od Lídy. Przyniosła fiołki i spytała, co może dla niej zrobić. – Zająć się tatą – poprosiła Lída.

Drugą osobą był młodszy o dziesięć lat aktor Jan Kopecký. Miał sprawdzone informacje, że Baarová niedługo wyjdzie bez procesu.

– A ja zostanę pani mężem – oznajmił.

Po półtora roku Lída Baarová opuściła areszt. Śledztwo wykazało, że kontaktowała się z nazistami wyłącznie w sprawach kariery.

Ślub wzięli pod koniec lipca 1947 roku, na pół roku przed ostatecznym przejęciem władzy przez komunistów.

Jana Kopeckiego po ślubie wyrzucono z pracy, więc stworzyli dwuosobowy teatr lalkowy i podróżowali po kraju.

Zbliżał się komunistyczny pucz 1948 roku, gdy w domu w Pradze (wciąż ta sama willa okręt) zadzwonił telefon.

– Niech pani ucieka, znów panią zamkną! – szepnął ktoś i się rozłączył. (Nigdy nie dowiedziała się kto).

Jana nie było w domu, wyjechał z kolegą. Od kilku tygodni dom obserwowali tajniacy. Marcela dała jej płaszcz i Lída spokojnie wyszła. Bez torebki, jakby szła na krótki spacer. Kiedy straciła dom z oczu, zaczęła biec i dobiegła do mieszkania koleżanki z aresztu.

W tym czasie Kopecký zadzwonił do domu, że ma awarię samochodu, ale Karel Babka udał, że go nie poznał, i powiedział, że Baarová i Kopecký wyjechali na Morawy szukać pracy. Jan poszedł się poradzić koleżanki Lídy z aresztu, co to może znaczyć.

Futra Baarovej były wciąż zarekwirowane w policyjnym magazynie. Kopecký przyniósł stare, wyliniałe futro, przekupił magazyniera i wyciągnął „najefektowniejszy w całym Protektoracie” płaszcz z norek. Sprzedał go na łapówkę dla trzech pograniczników.

Podczas ucieczki, która udawała podróż, Lída była przefarbowana na blond i nosiła okulary o mocnych szkłach.

Do Salzburga przyjechali w tym, co mieli na sobie. Zatrudnili się w Café Mozart. Lída została barmanką. Szybko rozeszło się, gdzie wielka gwiazda serwuje koktajle.

Mówiono, że zarobiła majątek na napiwkach.

Rozeszła się z Kopeckim.

Zagrała w pięciu hiszpańskich filmach.

Zagrała u młodego Felliniego w *Wałkoniach*.

Miała trzydzieści siedem lat. We Włoszech pojawiły się aktorki od niej młodsze – Sophia Loren i Gina Lollobrigida.

Wyszła za mąż za austriackiego lekarza, właściciela sanatorium.

Po trzech latach została wdową.

W 1958 roku odeszła z filmu z powodu przestarzałych środków wyrazu.

Grała z wielkimi sukcesami w teatrach Hanoweru, Bonn, Wiednia i Stuttgartu. Była najbardziej znaną czeską aktorką w Europie, choć w Czechosłowacji prawie nikt o tym nie wiedział.

Ostatnią teatralną rolą w jej życiu była rola w *Świadku oskarżenia* (1982), którą w filmowej wersji zagrała największa antyfaszystka wśród aktorek – Marlena Dietrich.

Wycinki prasowe na temat Baarovej w bibliotece stołecznej kończą się w roku 1948, a potem zaczynają w 1990.

– Chyba najdłużej w Czechosłowacji była na czarnej liście cenzury – mówię.

– Ależ skąd – zaprzecza dziennikarka filmowa Eva Zaoralová, dyrektor artystyczny festiwalu filmowego w Karlowych Warach.

– Jak to? Nie figurowała?

– Nie, bo nie istniała żadna lista nazwisk, których nie można było napisać czy wypowiedzieć na głos.

– To skąd wiedziano, że był zakaz?

– Każdy musiał sam wyczuć, kogo nie wolno mu wymienić.

(Na przykład przez lata zbiorowe wyczucie powodowało, że nie wymieniało się publicznie nazwisk Jane Fondy i Ingmara Bergmana. Bo zaprotestowali przeciwko okupacji Czechosłowacji przez wojska Układu Warszawskiego w 1968 roku).

Wielbicielka z fiołkami, Marcela Nepovímová, porzuciła aktorstwo. Zajęła się opieką nad starszym od siebie o dwadzieścia trzy lata Karelem Babką. Wzięli ślub. Amputacja nogi nie uchroniła go przed rakiem i zmarł dwanaście lat później. Powiedziała potem, że ich miłość była więcej warta niż wszystkie role, jakie mogła jeszcze dostać.

Państwo zajęło ich dom w kształcie statku. Marcela i Karel dostali nakaz wyprowadzki do małej wsi w Sudetach. Była zima, weszli do rozwalającej się chałupy bez żadnego ogrzewania. Karelowi jako burżuazyjnemu urzędnikowi nie przysługiwał przydział węgla. Marcela chodziła z piłą do lasu. Pracowała w fabryce sztucznej biżuterii. Lída pod fałszywym nazwiskiem przesyłała im paczki.

Kiedy Marcela pochowała męża, wróciła do Pragi. Po latach starań o paszport w 1982 roku władze puściły ją na wycieczkę do Tyrolu. Nie wróciła na zbiórkę turystów, razem z nią z dwudziestodziewięcioosobowej wycieczki uciekły jeszcze cztery osoby. Odnalazła Lídę w Salzburgu, zajęła się nią. Baarová nie umiała ani gotować, ani sprzątać. Po śniadaniu i spacerze wracała do domu i odpoczywała na kanapie. Latem chadzała na swoją prywatną plażę nad jeziorem.

Po 1989 roku Marcela wróciła do Pragi. Lída zatrzymywała się u niej, kiedy w latach dziewięćdziesiątych zaczęła przyjeżdżać do Pragi. Babková mieszkała w bloku. Podczas pierwszej wizyty Lída trzy dni wahała się, czy wyjść z mieszkania. Jednak mała przestrzeń – trzydzieści siedem metrów kwadratowych – była nie do wytrzymania. Wyszła.

Szła na plac Wacława, wiedząc (jak powiedziała potem w wywiadzie), że cokolwiek złego ludzie o niej powiedzą, i tak będzie to za mało.

Na spotkanie z nią w Wielkiej Sali Lucerny przyszły tłumy wielbicieli. Pierwsze pytania we wszystkich wywiadach dotyczyły Goebbelsa.

Kiedy dwa lata później siedziała na kanapie w Salzburgu i czekała na śmierć, powiedziała pani Třeštíkovej, że tata często powtarzał: „Lída, cokolwiek by się działo, ty idź dalej”.

– I tak zawsze było, szłam dalej. Ale ja, proszę pani, już nie chcę dalej. Ja odmawiam.

Po śmierci okazało się, że cały majątek Lídy dostał ogrodnik z pobliskiego zakonu w Salzburgu.

Miał pięćdziesiąt dwa lata, ona osiemdziesiąt trzy, gdy jako jej wielbiciel przyszedł po autograf. Wyznał jej miłość. Marcela twierdziła, że jest za młody. Lída się obrażała.

– Przecież się zakochał – mówiła drugiej matce. – A kiedy jesteś w Pradze, gotuje mi zupę.

Na dwa lata przed śmiercią przestała poznawać ich oboje.

9 lutego 2001 roku w Wielkiej Sali krematorium na Strašnicach w Pradze wielbiciele żegnali ją usprawiedliwieniem:

– No cóż, była tylko kobietą.

Chyba nikt nie powiedział, że ci, którzy doprowadzili ją do upadku, byli tylko mężczyznami.

Jak pan sobie radzi z Niemcami?

1939.

– A co tam u pana? – pyta dziennikarka Milena Jesenská chłopa spod Slanego.

– No, ziemniaki mam zasadzone, żyto zasiane. Wiosna była zimna, ale wzeszło jakby cudem, bardzo pięknie. W sadzie chyba zetnę dwie stare jabłonie i zasadzę nowe. Kaczka ma już młode, niech pani idzie sobie je obejrzeć, są jak dmuchawce. Tamten krzak bzu muszę jakoś przystrzyc, żeby nie zmarniał, żeby ten ogródek był w tym roku piękny – odpowiada chłop.

– Ale jak pan sobie radzi z Niemcami? – Jesenská nie daje za wygraną.

– Eee, co tam, oni chodzą, a ja pracuję – odpowiada spokojnie chłop.

– A niczego się pan nie boi?

– A czego miałbym się bać? – szczerze się zastanawia i nagle ripostuje: – A poza tym, proszę pani, człowiek może umrzeć tylko raz. A jak umrze trochę wcześniej, to tylko troszkę dłużej jest umarły.

Dowód miłości

Część 1: wieczność trwa osiem lat

Skubaczka gęsi Kvítková oskubała w osiem godzin siedemdziesiąt dwie gęsi i przeszła do historii.

Minister informacji Kopecký na konferencji naukowej w Brnie oświadczył, że najwyższą górą Europy jest Elbrus, a dotychczasowy pogląd, że jest to Mont Blanc, określił jako „przeżytek reakcyjnego kosmopolityzmu”.

Ostatecznie opracowano listę autorów, których już nigdy nie będzie się drukować: Dickensa, Dostojewskiego, Nietzschego i kilkuset innych.

Liczbę zniszczonych w kraju w tych latach książek ocenia się na dwadzieścia siedem milionów egzemplarzy.

Poeta Sedloň napisał, że słowa „wyżywienie” i „produkcja” są już słowami poetyckimi.

Premier rządu Zápotocký zdiagnozował nowe czasy. „Nie da się żyć po staremu – żyje się lepiej, żyje się radośniej!” – powiedział.

Za dwa lata najwybitniejsi przywódcy – z inspiracji Stalina – zostaną skazani na powieszenie.

Na hotelu Zlatá Husa przy placu Wacława wisi napis: ZE ZWIĄZKIEM RADZIECKIM PO WIECZNE CZASY.

Codziennie o północy, po zakończeniu programu, Radio Praga nadaje hymn Związku Radzieckiego.

Tak w Czechosłowacji kończą się lata czterdzieste XX wieku, a zaczynają pięćdziesiąte.

Z powodu obchodzonych w grudniu 1949 roku siedemdziesiątych urodzin Józefa Stalina[6] władze postanawiają, że dziewięć milionów ludzi z czternastomilionowego państwa podpisze dla niego życzenia.

Podpisy udaje się zebrać w cztery dni. Przy tej okazji zapada decyzja, że w Pradze, na wzgórzu nad Wełtawą, stanie największy pomnik Stalina na kuli ziemskiej.

Żaden rzeźbiarz nie ma prawa odmówić udziału w konkursie. Na to, aby zaprojektować pomnik, pięćdziesięciu czterech twórców dostaje trzy kwartały. Dzięki Bogu, szczęśliwie umarł (jak mówią o tej śmierci w Pradze) Ladislav Šaloun, czechosłowacki rzeźbiarz numer jeden. Uważany za jego następcę Karel Pokorný, aby nie wygrać, projektuje wodza z rękami rozłożonymi w przyjacielskim geście i Stalin przypomina Jezusa.

Większość popełnia ten sam błąd. „Przedstawili Stalina afektowanego” – ocenia komisja.

Otakar Švec, syn cukiernika specjalizującego się w rzeźbach z cukru, ma pięćdziesiąt sześć lat i jest rzeźbiarzem sfrustrowanym.

Po mocnym debiucie, gdy jako student wyrzeźbił motocyklistę i udało mu się uchwycić w kamieniu ruch, zaprojektował pomnik ojca republiki T. G. Masaryka, a potem pomnik Jana Husa. Oba podczas wojny zniszczyli faszyści. Po wojnie projektował pomnik Roosevelta, ale go nie dokończył, bo władzę objęli komuniści. Przed wojną wystawiał swoje awangardowe rzeźby na Zachodzie. Nie sądził, że dostanie jeszcze zamówienie.

Teraz – jak głosi fama – Otakar Švec lepi model na chybcika pod wpływem dwóch butelek wódki. Jest przyzwoitym człowiekiem, więc celowo plagiatuje znany przedwojenny pomysł na pomnik autorstwa Miroslava Tyrša, burżuazyjnego społecznika, któremu komuniści są niechętni.

Niestety, wygrywa.

*

Stalin stoi na czele zastępu ludzi. W jednej dłoni trzyma książkę, drugą ma założoną na piersiach za płaszcz.

1956. Święto 1 Maja przy pomniku Stalina (Frank Scherschel / The LIFE Picture Collection / Getty Images)

Po lewej – radzieckiej – stronie za Stalinem idzie robotnik ze sztandarem, potem agrobiolog, partyzantka, a na końcu radziecki żołnierz, który ogląda się za siebie.

Po prawej – czechosłowackiej – stronie Stalina idą: robotnik ze sztandarem, kobieta ze wsi, naukowiec i czechosłowacki żołnierz spoglądający do tyłu.

Odważni zaczęli szeptać, że to Stalin, któremu wszyscy włażą w dupę.

Tylko jeden jego guzik – powtarzano – będzie wielkości bochna chleba.

Wysokość cokołu – trzydzieści metrów, wysokość Stalina – piętnaście, razem – dziesięć przedwojennych pięter. Długość stopy – dwa metry.

Całość z granitu (w ogóle niepasująca do łupkowej Pragi, ale granit, w przeciwieństwie do łupków, wytrzyma stulecia) ma stanąć na wzgórzu Letná i być konkurencją dla Zamku. Swymi rozmiarami ma miażdżyć przeszłość. Będzie widoczny z placu Staromiejskiego, stanie dokładnie na przedłużeniu ulicy Paryskiej i mostu Čecha.

Aby wyprodukować takiego Stalina, potrzeba dwustu sześćdziesięciu bloków granitu, każdy o wymiarach 2 × 2 × 2 metry.

Znalezienie kamieniołomu, który miałby tak grube ściany, aby można było z nich wykroić tak wielkie bloki kamienia i w takim samym kolorze, graniczy z cudem.

Dwoje architektów pomagających Švecowi – małżeństwo Štursów – musi opracować sposób, jak słabe wzgórze przygotować na taki kolos.

Postanawiają, że góra zostanie wypełniona od środka gigantycznymi betonowymi blokami, które stworzą coś w rodzaju podziemnych sal.

Pierwsze obawy o pomnik lud wyraża dwa lata po ogłoszeniu konkursu. Szkice, makiety i rysunki Šveca wystawiono obywatelom do konsultacji i odbywa się debata o „nowym klejnocie Pragi”.

– Martwię się, że postacie z daleka zleją się w jedno i że Stalina nie będzie wystarczająco widać.

– Dlaczego figury na końcu spoglądają do tyłu? Wydaje mi się to zbyt awangardowe – ludzie mnożą wątpliwości.

– Spoglądają z powodów ideowych – odpowiada Švec. – Chodzi o zapewnienie życia w spokoju, o obronę. Spoglądają też z powodów kompozycyjnych, aby z tyłu pomnika był ładny widok, a nie żołnierz od tyłu.

– Dlaczego chcecie, towarzyszu, bronić naszego ludu?

– Obrona na tyłach jest potrzebna, aby ludzie, którzy są umieszczeni z przodu, byli spokojniejsi – tłumaczy rzeźbiarz.

Później będzie się mówić, że postacie za Stalinem to kolejka po mięso.

Wielu obywateli jest nadal nieprzejednanych.

„Pomnik jako symbol nas niepokoi. Nie jest radosnym i wiernym zobrazowaniem, ale robi wrażenie nagrobka” (cztery podpisy w księdze pamiątkowej wystawy).

„Kogo prowadzi towarzysz Stalin? Za nim ludzie dosłownie pełzną jak pod jakąś ścianą. Projekt trzeba zniszczyć i rozpisać nowy konkurs”.

„Pomnik będzie niegustowny. Projektowi jednego z największych olbrzymów historii musi być poświęcona większa uwaga”.

Otakar Švec nie wie jeszcze, że jest więźniem.

Modele pozujący do pomnika mieli być statystami z wytwórni filmowej Barrandov.

Powtarzano potem, że mężczyzna, który został Stalinem, zapił się na śmierć. Nikt nie znał jego nazwiska, cała Praga mówiła do niego „Stalin” i jego psychika tego nie wytrzymała.

Švec i Štursowie budują po kolei modele pomnika z gliny. Najpierw jedno-, potem trzymetrowy.

Partia i rząd obserwują Šveca. Protokół uwag na jego temat podczas spotkania władzy z artystą 4 stycznia 1951 roku to dwanaście stron maszynopisu.

Postać Stalina nie góruje nad całością! Premier Zápotocký mówi, że już w glinie powinno być widoczne, że chodzi o pomnik Stalina – odważnego

człowieka.

– Autor przy realizacji chyba zaczyna się bać własnych myśli – dodaje.

Ośmiu ministrów i premier debatują, czy zniżyć postacie za Stalinem, czy podnieść wodza na jakimś dodatkowym postumencie.

Pomnik nie ma prawa z dali wyglądać jak sarkofag!

Postacie za Stalinem są zbyt dekoracyjne.

Czy autor potrafi zająć się swym dziełem głębiej?

Dlaczego nie chce tworzyć modeli z gliny i pokazywać władzy?

Premier stwierdza na koniec, że Otakar Švec boi się własnego pomnika.

Rzeźbiarz nie słyszy tego wszystkiego, razem ze współpracownikami zaproszono go na spotkanie czterdzieści pięć minut później. Najpierw tłumaczy się architekt Štursová: celowo postaci Stalina nie podnosili, gdyż w ten sposób odciągnęliby go od ludu, a przecież on lud prowadzi i z niego się wywodzi.

Švec wyjaśnia władzy, że jeśli na jej życzenie Stalin ma różnić się wysokością od reszty, to znaczy, że pomnik będzie miał dwie różne skale. – Z artystycznego punktu widzenia jest to nie do zniesienia – mówi.

Rząd kupuje mu większe atelier, dotychczasowe staje się za małe. Przedstawiciele partii będą teraz organizować narady w jego pracowni.

Przychodzą z własnymi scyzorykami.

Za każdym razem wkładają je w glinę i przycinają głowy ludzi za Stalinem.

Pierwszy człowiek ze scyzorykiem to minister, który dotychczasowy pogląd, że Mont Blanc jest najwyższą górą Europy, określił jako „przeżytek reakcyjnego kosmopolityzmu”.

1953. Rzeźbiarz Otakar Švec przy modelu pomnika Stalina (Rostislav Novák / ČTK/ PAP)

Z drugim scyzorykiem najbardziej zajadły – profesor Zdeněk Nejedlý, historyk literatury i muzykolog, autor *Powszechnej historii muzyki*. W 1925 roku założył stowarzyszenie na rzecz zbliżenia z bolszewicką Rosją,

a podczas okupacji nielegalnie uciekł do Moskwy i został tam profesorem. Wrócił, by w socjalistycznej Czechosłowacji zostać teoretykiem wszystkiego.

W 1951 roku jest ministrem szkolnictwa, nauki i sztuki. Pisze słynny esej o nowej sztuce i miłości. „Ludzie będą się nadal kochać – zapowiada – ale oczekujemy, że za socjalizmu, jako klasa robotnicza, będą się kochać jeszcze więcej i lepiej. Że nie będzie w nich tego całego fałszu »nieszczęśliwych miłości« ani zmysłowego upadku, w którym często taplała się burżuazyjna erotyka".

Nie znosi na przykład tego, z czego Czechosłowacja słynęła przed wojną – awangardowej fotografii. Kiedy na zdjęciach Rösslera z lat dwudziestych widzi cień lub dym sfotografowany bez żadnego kontekstu, wpada we wściekłość.

(Gdy Stalin umrze, Nejedlý powie, że od tego momentu czeski pomnik mówi o Ojcu Narodów rzecz najważniejszą: Stalin żyje wiecznie).

Cztery miesiące po pierwszym upomnieniu Švec dostaje następne. Władza upomina go też w 1952, w 1953 i w 1954 roku.

Mijają cztery lata, już od dawna nad blokami granitu pracują kamieniarze, stoją rusztowania i dźwigi, a jeszcze poleca się autorowi, żeby „zmiękczył i zmienił niektóre sylwetki, by nie sprawiały wrażenia despotycznych". Švec sprowadza do pracowni kobiety, pije z nimi.

Stawia się na wyjaśnienia.

Rok przed odsłonięciem pomnika jego żona nie wytrzymuje tej sytuacji i odkręca w łazience gaz.

Švec znajduje ją martwą w wannie.

Pojawiają się wciąż nowe wątpliwości, z którymi na szczęście rzeźbiarz akurat nie ma nic wspólnego. Otóż kamienny Stalin przyszedł do Pragi, stanął nad rzeką i spogląda na cudowne miasto.

Jednak przyszedł ze wschodu, więc dlaczego stoi na brzegu zachodnim?

Gdyby wchodził, wtedy musiałby stanąć przy rzece, ale tyłem do miasta. Więc raczej nie wchodzi.

Jeżeli nie wchodzi, to może wychodzi?

Tylko z jakiego powodu?

Co mu się w socjalistycznej Pradze nie podoba?

Ledwo przeszedł Wełtawę i już się odwraca?

Dlaczego patrzy na wschód?

A może wszedł i tylko ot tak, z nostalgią, ogląda się za siebie?

Z setek stron, jakie zapisuje się w związku z pomnikiem na czechosłowackich maszynach do pisania, a potem utajnia, wynika, że mnożenie wątpliwości to bieg, którego meta jest nieznana – nikt nie jest w stanie przewidzieć, kiedy i jak się skończy.

A każda rzecz natychmiast może zamienić się w swoje zaprzeczenie.

Jest wiosna 1955 roku, już ponad dwa lata po śmierci Stalina.

Pomnik zostanie odsłonięty 1 maja. Gotowy jest akt erekcyjny, który na siedemnastu stronach mówi nie tylko to, że odtąd Ojciec Narodów ma władzę nad Pragą. Akt podkreśla, że Stalin „patrzy na kaplicę Betlejemską".

Niebywałe jak na komunizm.

To kaplica, w której Jan Hus wygłaszał swoje kazania. Komunistyczna propaganda zawłaszczyła religię: Hus był rewolucjonistą, husyci – pierwszą komunistyczną organizacją, a ich łupieżcze wyprawy to podburzanie okolicznych ludów do walki z feudalizmem.

Teraz między Stalinem na Letnej a księdzem Husem w kaplicy na placu Betlejemskim rozepnie się prawie widzialna czerwona nić.

Rzeźbiarz wie, że jego pomnik jest estetycznie obrzydliwy. Przesadzony i pompatyczny.

Wie, że pomnik nie podoba się władzy, tyle że z odmiennych powodów. Władza z odrazy do rzeźbiarza komunikuje się z nim już tylko przez Štursów.

Ale prasa słodzi: „Z ideologicznego punktu widzenia to jedyny pomysł, który pokazuje Generalissimusa Stalina jako męża stanu, budowniczego, zwycięskiego wodza, nauczyciela ludu, a jednocześnie jako towarzysza Stalina i człowieka Stalina, jako jednego z nas".

Jest wieczór, jakiś czas przed odsłonięciem.

Otakar Švec wychodzi z pracowni, bierze taksówkę i jedzie pod Letną spojrzeć incognito na pomnik.

Pyta taksówkarza, co sądzi o dziele.

– Coś panu pokażę – mówi taksówkarz. – Niech pan się przyjrzy sowieckiej stronie.

– A co tam jest?

– No chyba widać. Przecież partyzantka trzyma żołnierza za rozporek.

– Co?!

– Panie, jak go odsłonią, to tego, co to projektował, na sto procent rozstrzelają.

Otakar Švec wraca do pracowni i tam popełnia samobójstwo.

Wiadomość o śmierci jest tajna, nikt nie ma prawa podać jej do publicznej wiadomości.

Nazwisko Šveca nie pojawia się na pomniku.

1 maja 1955 roku, podczas uroczystości odsłonięcia, ogłasza się, że autorem pomnika jest Czechosłowacki Lud.

Plotki mówią o ofiarach.

„Przy budowie zginęło w sumie siedmiu ludzi – ciągnął kościelny – pierwszy to rzeźbiarz, który ten posąg zaprojektował, a ten ostatni to pomocnik, który przyszedł w poniedziałek jeszcze na fleku, załamała się pod nim deska na szóstym piętrze i zwalił się głową w dół, i zabił się o mały palec tego posągu”.

Kościelny z opowiadania *Zdrada luster* Hrabala raczej się myli. Stalin w Pradze nie miał żadnego wystającego palca. Jeśli ktoś się zabił, to może o całą dłoń.

Pomnik stoi prawie osiem lat, aż do 1962 roku.

O siedem lat przeżywa odwilż 1956 roku i potępienie Stalina!

Potępia się, ale w ZSRR, w Polsce czy na Węgrzech. O 1956 roku w Czechosłowacji francuska historyk Muriel Blaive napisała książkę pod tytułem *Zmarnowana okazja*.

Zaskakujący jest brak silniejszych reakcji na to, co dzieje się u sąsiadów, a reżim w Pradze nawet jeszcze bardziej się umacnia. Ludzie na przykład w prywatnych rozmowach twierdzą (wiadomo to z raportów Służby Bezpieczeństwa), że „trzeba się oddać Bogu, aby te bestie z Węgier nie przyszły do nas, bo zabiłyby nas wszystkich”. Próby manifestacji studenckich pozostają bez większego odzewu społecznego.

Odbywa się za to manifestacja wierności Związkowi Radzieckiemu, sowieckiego ambasadora pozdrawia w Pradze dwieście pięćdziesiąt tysięcy osób. „Sam czeski rząd jest zaskoczony konformizmem społeczeństwa” – donosi korespondent „Journal de Genève”.

Dlaczego?

Trzy lata wcześniej wprowadzono reformę pieniężną, która dla przeciętnego obywatela okazała się oszustwem, ludzie wyszli na ulice, strajkowało sporo zakładów. Nie było już Stalina, który straszył trzecią wojną światową, więc aby poprawić samopoczucie narodu, fabryki zbrojeniowe w Czechosłowacji przerzuciły się na produkcję telewizorów, gramofonów i lodówek. Teraz rynek jest zalany towarami.

W dniu, gdy Chruszczow odczytuje swój słynny tajny referat na XX Zjeździe KPZR, zaproszony na zjazd prezydent Zápotocký (który, gdy był premierem, nadzorował Šveca) spotyka się w Moskwie z czeskimi i słowackimi studentami. Studenci są tu od jakiegoś czasu i już wiedzą, że Chruszczow uważa Stalina za mordercę, chcą o tym ze swoim przywódcą porozmawiać.

– Macie ochotę się w tym babrać? – pyta prezydent. – Właściwą polityką jest nie wtrącać się do tego – dodaje.

Ekipa wiernych uczniów Stalina z Pragi ma kłopot. W Moskwie publicznie powiedziano o zbrodniach, ale ekipa nie ma żadnego interesu w tym, by po powrocie do kraju referat Chruszczowa nagłaśniać. Oznaczałoby to jej koniec.

Zresztą nie ma ludzi, takich jak w Polsce Gomułka, którzy mogliby objąć nowe przywództwo.

Kronika filmowa.

Dziennikarka pyta mężczyznę w średnim wieku, który przechodzi pod Letną, czym jest dziś bohaterstwo.

– Kiedyś odważni szli na wojnę – stwierdza i podtyka mu mikrofon.

Robotnik Josef Král zastanawia się chwilę.

– Bohaterstwo dzisiejszych czasów to zrobić wszystko, czego się od nas chce i czego się od nas żąda – mówi.

To wiemy: niewielki naród, aby przetrwać w niesprzyjających okolicznościach, musi się dostosować. Wyniósł to z czasów Habsburgów i Protektoratu Czech i Moraw.

Pisarz Pavel Kohout zwraca uwagę, że po wojnie w Czechosłowacji nie było sowieckich wojsk, nie było żadnego puczu, komuniści mieli autentyczne poparcie, a w wyborach 1946 roku zdobyli ponad czterdzieści procent głosów. Naród czeski zaznał zaboru i okupacji w 1938 roku, zdradziły go Wielka Brytania i Francja, więc gdy komuniści przejmowali władzę, wydawało się, że Związek Radziecki jest jedynym pewnym oparciem.

Zresztą sto lat wcześniej budziciel czeskiej świadomości narodowej František Palacký przewidywał, że jeśli Czesi kiedykolwiek zbliżą się z Rosją, będzie to z ich strony akt desperacji.

– Dlatego – mówi Pavel Kohout – później tak trudno było przyznać się tym, którzy poparli komunistów, że nieświadomie oddali przysługę diabłu. A to bardzo szybko stało się jasne.

Pod Stalinem, w betonowych pomieszczeniach wewnątrz góry, prostytutki przyjmują klientów. Wcześniej trzymał tam tapczan znany malarz. Ale tylko do momentu, aż wydało się, że sprowadza zbyt młode dziewczęta. Jeszcze wcześniej składowano tam tony ziemniaków.

Rok 1961, w Moskwie odbywa się kolejny zjazd partii i Chruszczow nadal krytykuje stalinizm.

Mumia Stalina zostaje usunięta z mauzoleum Lenina na placu Czerwonym, a następny po Zápotockim prezydent Czechosłowacji, Novotný, musi na to zareagować.

Sam w 1952 roku rozdzielał między siebie i kolegów kosztowności po powieszonych towarzyszach. Teraz powinien przygotować ich rehabilitację i przyznać, że partia się myli.

Taką pomyłką był też pomnik, który stoi „na wieczne czasy”.

Człowiek, który ma zlikwidować Stalina – inżynier Vladimír Křížek – słyszy od władz najdziwniejsze zdanie w swoim życiu:

– Macie zburzyć pomnik, ale z godnością.

Inżynier, główny specjalista w elitarnym przedsiębiorstwie inżynieryjnym, prosi o wyjaśnienia. Pomnik jest betonowym potworem, którego środek, obłożony granitem, połączono z wnętrzem góry żelazobetonową konstrukcją. Nikt nie przewidywał, że kiedykolwiek ma być zniszczona. Można ją tylko wysadzić w powietrze.

– Burzcie dostojnie. Żeby tylko powagi ZSRR nie naruszyć – przykazuje mu sekretarz okręgowego komitetu partii i wymienia warunki.

Nie wolno Stalinowi wkładać środków wybuchowych do głowy.

Nikt nie ma prawa w nią strzelać.

Nie może być w ogóle słychać żadnych strzałów.

Nie wolno o tym mówić, fotografować ani filmować. Ci, którzy to zrobią, zostaną od razu aresztowani.

Całe przedsiębiorstwo inżyniera Křížka jest sparaliżowane ze strachu.

Teren jest pilnie strzeżony dzień i noc. Całość będzie wysadzona, ale powstaje pomysł, aby głowę rozebrać ręcznie. Zawiesza się na niej dwóch kamieniarzy (ojciec i syn) i co dwadzieścia centymetrów wykuwają młotkami kostki. Nie mają śmiałości zrzucać ich na dół, więc zabiera je winda.

Wybuch przygotowuje najlepszy pirotechnik w kraju Jiří Příhoda. Wie, że błąd może oznaczać, iż w powietrze wyleci pół śródmieścia.

Myśli i nie śpi przez dwa tygodnie, co jakiś czas zapada tylko w mikrosen na trzy minuty. Przygotowuje dwa tysiące sto ładunków.

Chce odstrzelić pomnik za jednym zamachem, ale pchają mu się do tego wojskowi, których rząd przysłał na wszelki wypadek. Zmuszają go, by zrobił to w trzech etapach, boją się, że kawałki pomnika będą latać nad

miastem i pozabijają ludzi. Chodzą za nim krok w krok, nie pozwalają się skupić i marudzą.

Najpierw Jiří Příhoda dostaje ataku histerii i krzyczy. Potem wypija sześć śliwowic i – naciska guzik urządzenia.

Po wszystkim siada na trawie i głośno płacze.

Karetka odwozi go do szpitala psychiatrycznego.

Eksplozje wypadły idealnie. Sprzątanie okolicy z żelastwa i betonu trwa rok.

W prasie na temat likwidacji pomnika nie pojawia się ani jedna wzmianka.

Pomnik Stalina w Pradze nie istniał.

Część 2: kompot ratunkowy

Po Stalinie zostało jedenaście metrów cokołu. Stoi dziś na nim metronom. Wielka czerwona wskazówka waha się ze strony byłej sowieckiej na czechosłowacką i odwrotnie. Wokół niej szaleją skejci, a na dawnych schodach ktoś za pomocą białej olejnej farby szuka kontaktu z drugim człowiekiem: nie-uda-sie-katerinarybova@seznam.cz.

Czasem brakuje sponsorów, którzy płacą za prąd, i wskazówka nieruchomieje.

– Zobaczcie, czas znowu stanął – mówią wtedy ludzie.

Ale nie jest to dla tego miejsca dobra metafora, wręcz przeciwnie.

Czas bowiem tak przyspieszył, że na przykład śmierć Otakara Ševca dziesięć lat po zakończeniu drugiej wojny światowej jawi się jak wydarzenie z czasów pisma klinowego.

Jest rok 2004. Zawsze irytowało mnie, że Czesi wciąż nie napisali solidnej historii powstania i upadku największego w komunistycznej Europie dowodu miłości.

Okazuje się jednak, że do tego trzeba by zostać archeologiem.

Kiedy w Archiwum Centralnym Republiki Czeskiej dostaję teczkę „Stalinův památník v Praze” i na dokumentach widnieją pieczątki, że

odtajniono je dopiero trzy dni temu, czuję miłe podniecenie – to na moją prośbę, nikogo dotychczas nie interesowały.

Dziesiątki protokołów na temat pomnika, wiele z napisem POUFNE. Ale nie ma nic o ofiarach budowy i nie ma nic bliższego o rzeźbiarzu poza tym, że go straszliwie cisną. Ani śladu, że sam skończył ze swoim życiem.

Jeśli znaleziono go w pracowni, musiała tam wkroczyć tajna policja. Na pewno wypytywała sąsiadów, węszyła, powinna pozostać po tym choćby notatka. Musieli opisać, w jakich okolicznościach znaleziono ciało.

Zostawiam prośbę o wyszukanie w archiwum byłej Służby Bezpieczeństwa teczki Otakara Švеca. Czekam od października 2003 roku do stycznia 2004.

Odpowiadają, że nie znaleźli ani jednego papierka z jego nazwiskiem.

Rzeźbiarz Olbram Zoubek mówi, że Otakar Švec otruł się tak samo jak jego żona, w łazience. (Możliwe, przecież u Zoubka pracował przez całe lata sztukator, śp. pan Junek, wierny pomocnik Švеca).

Dokumentalista telewizyjny Martin Skyba mówi, że strzelił do siebie z pistoletu. (Możliwe, że jest dobrze poinformowany, przecież kręci dokumenty historyczne).

Historyk sztuki z tamtych czasów Petr Wittlich mówi, że rzeźbiarz się powiesił. (Możliwe, przecież profesor Wittlich napisał jedyną monografię Švеca niedługo po jego śmierci).

– A gdzie się powiesił?

– W swojej pracowni, na poddaszu pałacu Korona na placu Wacława.

Trzy dni ustalam, czy rzeźbiarz miał w Koronie pracownię. Nie miał. Miał dwie, ale nie w centrum (zresztą w obu nie ma po Švecu śladu). Mówię to profesorowi.

– Ja o nim tylko pisałem, ale przecież nie znałem go osobiście. Dzieci nie miał i nie znajdzie pan w Pradze nikogo, kto go znał, bo wszyscy mieli prawo już umrzeć.

Raz Švecowi nawet przesunięto moment śmierci o osiem lat. Zrobił to Josef Škvorecký. W popularnej powieści *Przypadki niefortunnego saksofonisty tenorowego* – opisującej historię Czechosłowacji z przeznaczeniem na

amerykański rynek wydawniczy – napisał, że Švec nie przeżył widoku eksplozji swego pomnika.

„Widząc, jak jego realistyczny Goliat kawałek po kawałku zmienia się w monstrum jakby z pracowni Giacomettiego, odebrał sobie życie”.

Albo autor uwierzył jakiejś plotce, albo uznał, że samobójstwo przed odsłonięciem pomnika byłoby dla zagranicznych czytelników rozczarowujące. Zwłaszcza w przypadku sfilmowania powieści efektowniej jest skończyć ze sobą, widząc zagładę własnego dzieła.

Jiří Příhoda, pirotechnik, mimo czerwonego wina frankovka jest oszczędny w słowach. Gdybym nie wiedział wcześniej, że odwieźli go do szpitala, na pewno sam by o tym nie powiedział.

– To była najpotworniejsza rzecz w moim życiu, ta likwidacja, choć potem też miałem trudne zadania. Ale nie ma sensu do tego wracać – mówi. – Tyle bólu…

Nie wracamy.

Jednak tydzień później w mało znanej powieści pod tytułem *Kawiarnia Slavia* trafiam na opis wybuchu. Napisał ją Ota Filip, pisarz zmuszony w 1960 roku przez władze do zostania górnikiem.

Dzwonię do strzelmistrza. Mówię, że znalazłem coś o jego eksplozji.

Następnego dnia rano żona pana Příhody już w przedpokoju oznajmia, że ta noc to było piekło. „Kto i co mógł napisać?” – powtarzał i cały się trząsł.

– Ale jest rok 2003 – mówię.

– A jakie to ma znaczenie? – pyta żona.

Czytam na głos: „Następnej nocy wyszedł księżyc w pełni. Wełtawa przypominała srebrnego węża, który położył się spać pod mostami. I wtedy nadeszło trzęsienie ziemi”.

– No, no… – mówi pan Příhoda i łapie się za serce.

„Szara chmura pyłu zasłoniła Stalina aż po szyję. Nagle zaświeciła wszystkimi kolorami tęczy. Jego głowa jeszcze wystawała w tym dziwnym świetle, ale przechylił się do przodu, a jakaś straszliwa siła złamała mu kark. Kamienie bębniły po dachach i spadały na matową już Wełtawę. Echo

wybuchu wróciło do miasta i przebiło chmurę pyłu, wiszącą jak szary dzwon nad śródmieściem”.

– Przecież detonacje były w dzień! – burzy się Příhoda.

„Potem zapadła cisza. Tylko Helena von Molwitzová krzyknęła i upadła na ziemię. Znaleźli ją dopiero przed południem – leżała na trawniku…”.

– Dobry Boże, co pan czyta?!

„Nieśli ją na noszach do budynku ambasady. Miała zakrwawioną twarz”.

Jiří Příhoda nie może się otrząsnąć:

– Przy likwidacji zginął tylko jeden człowiek, i to przed wybuchem. Był z komisji. Wszedł pod pomnik do komnat, źle stanął na jakiejś desce, przewrócił się i już nigdy nie wstał. Po co wymyślać inne ofiary?

– Bo Stalin wymaga ofiar, Jirko – wyjaśnia żona.

– Kiedyś napisali, że jego głowa odpadła i potoczyła się mostem na rynek. A potem wszystko jest na mnie!

– Zaraz po Stalinie dostał zawału – opowiada pani Příhodová. – Od tamtego czasu, gdy przed wybuchem nie zmrużył oka dwa tygodnie, to będzie już czterdziesty pierwszy rok, jak mąż nie śpi.

– Zasnę, jak dziś w nocy, na pięć minut. I coś mi się śni, sam nie wiem co, wiem tylko, że zaciskam zęby i mówię: „Nie pozwalam!”.

„Lidové noviny” w weekendowym wydaniu zamieszczają ogłoszenie i fotografię modeli, którzy pozowali Švecowi. Trafiłem na nią w praskim Muzeum Komunizmu, ale nigdzie nie znalazłem ich nazwisk.

Piszę, że szukam tych ludzi lub ich krewnych.

Przychodzi pięć listów. Wszystkie mniej więcej o tym, że ktoś czuje promieniowanie z księżyca albo ma bardzo uciążliwych sąsiadów i pyta, czy mógłbym z tym coś zrobić.

W 2002 roku czeska telewizja pokazała zdjęcia śmiałka, który nielegalnie, amatorską kamerą, nakręcił wybuch. Przypomniano, że państwo totalitarne bało się kamery tak samo jak broni palnej.

Jest nim pan M., w tym samym wieku co wszyscy – koło osiemdziesiątki. Ma na sobie marynarkę w szkocką kratę i apaszkę pod szyją. Pokazuje czasopismo, w którym zajmuje się morawskimi winami.

– Eksplozję kręciliśmy na zmianę z kolegą. On miał kamerę ósemkę, ukryliśmy się w krzakach na przeciwległym wzgórzu. Jeden kręcił, drugi pilnował. Kolega był moim brygadzistą, bo razem pracowaliśmy przy budowie tunelu jako robotnicy, zaraz tam obok Stalina.

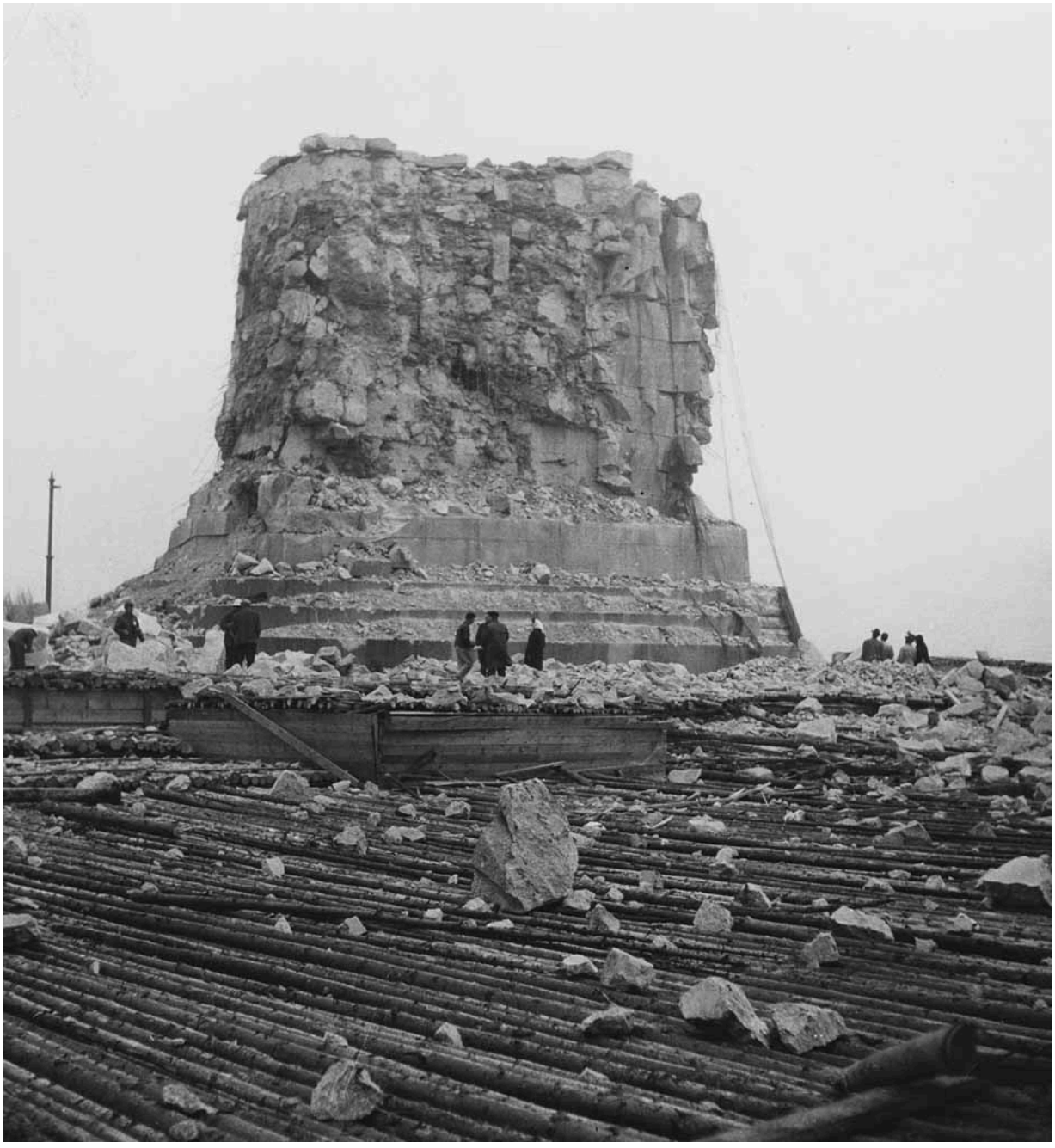

1962. Pomnik Stalina po pierwszych detonacjach (Josef Klimeš)

– Jak to robotnicy? – pytam i spoglądam na apaszkę i pismo o winie.

– Bo byłem robotnikiem drogowym.

– Z kamerą?

– To znaczy robotnikiem byłem rano, a wieczorem pisałem nawet scenariusze programów rozrywkowych do telewizji, pod pseudonimem rzecz jasna. Już jako człowiek w średnim wieku skończyłem dziennikarstwo. Ale nie chcę tego w ogóle wspominać.

– Ale już pan zaczął.

– No to skończę: musiałem być robotnikiem i proszę mnie o to nie nagabywać.

– Dlaczego?

– To nie są rzeczy do wspominania – mówi i ścisza głos, jakby naprawdę ktoś niepowołany mógł to usłyszeć. Rozmawiamy w kawiarni Arco, gdzie przesiadywał Kafka, a potem Ministerstwo Spraw Wewnętrznych miało swoją stołówkę.

Pan M. wyciąga z teczki zdjęcie radzieckiej strony pomnika.

– Widzi pan, tak ustawiałem aparat, aby jak najlepiej uchwycić gest, gdy partyzantka łapie żołnierza – pokazuje. – Niektórzy byli poinformowani, że Švec zabił się z powodu tego rozporka.

– A kto o tym informował?

– Chyba z piętnastu taksówkarzy w Pradze mówiło, oczywiście w największym zaufaniu, że wiozło go wtedy pod pomnik.

Rzeźbiarz Olbram Zoubek jest energiczny, ma siedemdziesiąt siedem lat i nie ma lęków nieuprzedmiotowionych.

Był studentem, gdy Švec pracował nad Stalinem.

Mówi, że skoro on po samospaleniu Jana Palacha w 1969 roku dostał się do kostnicy i zrobił dwie pośmiertne maski narodowemu bohaterowi, pilnowanemu przez stada tajnej policji, to mnie też uda się dowiedzieć czegoś o Švecu.

Zna rzeźbiarza, który współpracował z Otakarem Švecem przy Stalinie, nazywa się Josef Vajce. To jedyny, który go znał osobiście i żyje.

Fantastycznie!

Abym starszego człowieka nie przestraszył, Zoubek sam telefonuje do niego do domu.

– Słuchaj, Honza – mówi. – Za godzinę zadzwoni do ciebie chłopak z Polski… (– Spotka się – mruga znad słuchawki).

Wychodzę od Zoubka, za godzinę telefon odbiera mężczyzna o głosie staruszka.

– Niestety, pan Vajce od tygodnia jest na Ukrainie i naprawdę nie wiem, kiedy wróci.

Znalazłem listę nazwisk sprawozdawców i techników radiowych, którzy pracowali nad bezpośrednią transmisją z uroczystości odsłonięcia.

Większości nie ma w książce telefonicznej, ale kilkoro ciągle jest.

„Przecież znamy cię, śmiała partyzantko, która podnosisz głowę na naszym pomniku…” – mówiła redaktor Sylvie Moravcová.

– Ja pana bardzo źle słyszę – mówi dziś. – Bo ogłuchłam, nie ma pan po co do mnie przychodzić, nic nie pamiętam, chyba że kompotu chce się pan napić!

„Powoli szpalery ludzi wstępują na schody, oddają cześć wielkiemu Stalinowi i składają przysięgę, że wolność, którą nam przynieśli radzieccy żołnierze, obronimy, a z naszej ojczyzny stworzymy ziemski raj” – mówił redaktor Vladimír Brunát.

– Mam już osiemdziesiąt pięć lat i jestem niewidomy, w dodatku na wózku, ale chętnie pomogę – mówi dziś. – Projektant? Robiłem reportaż z odsłonięcia, ale na pewno nie znałem nazwiska rzeźbiarza. Nie słyszało się o żadnym samobójstwie. No, co pan powie? Tego się w ogóle wtedy nie wiedziało.

Obserwacje językowe w Czechach naprowadzają na pewien trop. Otóż w sytuacji, gdy ktoś powinien powiedzieć: „Bałem się o tym mówić”, „Nie miałem odwagi o to spytać”, „Nie miałem o tym pojęcia”, stwierdza:

„O tym SIĘ NIE MÓWIŁO”,

„Tego SIĘ NIE WIEDZIAŁO”,

„O to SIĘ NIE PYTAŁO”.

Bezosobową formę słyszę często, gdy trzeba mówić o komunizmie. Jakby ludzie nie mieli na nic wpływu i nie chcieli za nic wziąć osobistej odpowiedzialności. Jakby przypominali, że są tylko częścią większej całości, która też ma na sumieniu jakiś grzech zaniechania.

Koledze, który od lat pisze o katach i ofiarach stalinizmu, opowiadam o ich niechęci do pamiętania.

– To ze strachu – mówi Piotr Lipiński.

– Po pięćdziesięciu latach? Dziś, gdy nie powinni się niczego bać?

– Wszyscy, których spotkałeś, mają koło osiemdziesiątki. Ostatnie piętnaście wolnych lat to w ich życiu epizod. Zbyt krótki, aby nabrać pewności, że to już stan trwały i niezmienny.

Pomnik Stalina w Pradze istnieje.

Ofiara miłości

Latem 2006 roku – tydzień przed oddaniem tej książki do druku – dostaję e-mail od pracownika archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Republiki Czeskiej. Pisze, że udało mu się wreszcie znaleźć teczkę z napisem „Samobójstwo artysty Šveca”.

Nie doczekałem się jej, gdy pisałem *Dowód miłości*, doczekałem się w dwa i pół roku po publikacji tego reportażu w „Dużym Formacie”.

Kiedy śledczy i funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa wyważyli (zamknięte na dwa zamki, z kluczami od wewnątrz) drzwi do mieszkania Šveca, rzeźbiarz leżał na tym samym tapczanie, na którym leżała żona, kiedy się otruła (a więc nie znalazł jej martwej w wannie, jak głosiła pogłoska).

Rolety były zasunięte. W powietrzu wyczuli gaz.

Na stole zostawił list do notariusza, doktora Dvořáka.

List zaczynał się od zdania: „Odchodzę za moją żoną Vlastą, a cały mój majątek, włącznie z ostatnią ratą za pomnik Stalina, przekazuję szeregowym żołnierzom, którzy stracili wzrok na wojnie”. Prosił, aby kremacji dokonać za pieniądze zostawione w domu, a samochód sprzedać.

Nie napisał nic o tym, co zmusiło go do samobójstwa.

Śledczy dotarli do owego notariusza. Okazał się znajomym Šveca. „Vlasta dobrze zrobiła, że się otruła – miał powiedzieć notariuszowi rzeźbiarz. – Przynajmniej się nie starzeje. Po co mam odsłaniać pomnik, gdy jej tu nie ma?”.

Miał się skarżyć notariuszowi. Marzył, że zostanie mianowany profesorem, nie został. Oczekiwał, że dostanie Nagrodę Państwową, nie dostał.

Rzeźbiarz, który pracował ze Švecem przy pomniku, powiedział śledczym, że „bez wątpienia na tę śmierć wpłynęły aluzje specjalistów

dotyczące jego dzieła”. Do tego Švec słyszał od ludzi, że jest zbyt kosztownym twórcą, a za pieniądze przeznaczone na jego pomnik można zbudować dwa osiedla dla robotników.

Rzeźbiarz powiedział też, że Švec przejmował się tym, że góra pod Stalinem jest zbyt słaba, że trzeba ją wzmacniać betonowymi wkładami i że może runąć pod kolosem, który zaprojektował.

Sprzątaczka, która zajmowała się jego mieszkaniem, zaobserwowała „u mistrza” nerwowość. Miał jej mówić, że minister Kopecký w ostatnim czasie „jakoś go znienawidził i nie poświęca mu już tyle uwagi, co wcześniej, i że Vlasta pokazała mu drogę”.

Prowadzący śledztwo podporucznik Kraus przekazał zwierzchnikom oficjalny powód: „Do samobójstwa Otakara Šveca doprowadziły śmierć żony, samotność i krytyczne uwagi o dziele, które mieli niektórzy fachowcy”.

Między dokumentami znaleziono recepty na leki antydepresyjne i „fotografie kilku wysoko postawionych ludzi z USA”.

Do mieszkania rzeźbiarza milicja włamała się 21 kwietnia 1955 roku (na dziewięć dni przed odsłonięciem pomnika). Samobójstwo popełnił 3 marca – tak datowany był list i taki był wynik dochodzenia. (Potem – z niejasnych dla mnie powodów – słowniki i encyklopedie podawały datę śmierci 4 kwietnia).

Otakar Švec leżał w swoim mieszkaniu pięćdziesiąt dni. Tyle czasu ulatniał się gaz.

A więc przez pięćdziesiąt dni, na chwilę przed odsłonięciem największego Stalina na kuli ziemskiej, nikt skutecznie nie zainteresował się tym, gdzie jest jego twórca.

Pani Nieimitacja

2004.

Jesteśmy głośni, swobodnie ubrani. Przyjechaliśmy z Zachodu i przemierzamy ulice z wyraźnym nienasyceniem.

Mamy już kubki do herbaty z Kafką.

Mamy koszulki z Kafką.

Mamy zapałki.

Pod pachami niesiemy komiksy z jego życiem i streszczeniem wszystkich dzieł na stu siedemdziesięciu siedmiu stronach. Włóczymy się po dzielnicy żydowskiej, która głównie udaje samą siebie.

Ponad sto lat temu wyburzono tu wszystkie domy, a dziury w ziemi oblano środkiem dezynfekującym. Żydów usunięto, zaś w to miejsce niemieccy i czescy mieszczanie postawili swoje okazałe kamienice. Teraz przystanęliśmy pod domem, w którym się urodził, choć to nie ten sam dom, tylko inny, który go udaje.

Studiujemy – wystawioną przed wejściem – kartę dań, które proponuje Restauracja Franza Kafki. Choć to lokal założony w roku 2003 i tylko wygląda jak jakaś restauracja sprzed stu lat.

Potem przenosimy się kilkaset metrów dalej, na ulicę Široką. Do kawiarni Franz Kafka, która, choć założona w roku 2000, pozuje na kawiarnię sprzed stu lat w sposób doskonały. Na ścianie wisi zdjęcie, jakie mógłby tu z roztargnienia zostawić: on i jego ulubiona siostra Ottla. Ta, która – jak uważał – jest od niego bogatsza w zdrowie i zaufanie do własnego ja.

2014. Věra Saudková z portretem swojej matki Ottli, siostry Franza Kafki (Nguyen Phuong Thao / Magazine Reflex)

Teraz już mamy saszetki cukru z Kafką (!) i wreszcie możemy poczuć się zaspokojeni. Nawet gdyby wszystko okazało się imitacją.

Najbardziej wyrafinowani z nas przyjeżdżają tu wiosną lub jesienią. Może czytali gdzieś, że „Praga mgły wymaga” i że wtedy jest szansa na połyskujące wilgocią ulice, przytłumione mgłą światło latarń i na taką tajemniczość, jakiej pożądamy, myśląc o Kafce w Pradze. Lato, słońce i upał odbierają temu miastu metafizykę.

Nie mamy pojęcia, że pięć pięter nad nami wciąż żyje jego siostrzenica.

Věra Saudková, córka Ottli.

Ma osiemdziesiąt cztery lata i nie jest imitacją.

Ze swojego okna przez osiem lat widziała „największy na świecie pomnik Stalina”; jej dom stał naprzeciwko za rzeką. Teraz widzi hotel Intercontinental. A gdyby dziś zeszła na dół, zorientowałaby się, że na parterze jej domu wiszą na wystawie damskie kurteczki dżinsowe, przecenione właśnie na dwieście euro.

W tej chwili siedzi w domu w czerwonym dresie.

Ma białe włosy i lekko śniadą, szczupłą twarz, która teraz, kiedy starość zmieniła jej rysy, przypomina twarz mężczyzny. Mężczyzna w niej wygląda tak jak na zdjęciach, które znamy z okładek jego książek.

Nigdy nie udzieliła żadnego wywiadu. Odmawia konsekwentnie; nawet amerykańska telewizja nie była w stanie kupić jej wyznań.

A mogłaby opowiedzieć ciekawe rzeczy.

Niekoniecznie o Kafce, którego może nie pamiętać, bo zmarł, kiedy miała trzy lata, ale na przykład o matce – Ottli. Matka rozwiodła się z mężem, kiedy w Protektoracie zaczęły się prześladowania Żydów. Zrobiła to przede wszystkim dla córek, które miały być kojarzone z ojcem katolikiem, a nie z matką Żydowką. W ten sposób je uratowała. Sama w 1942 roku została wywieziona do obozu w Terezínie, a stamtąd jako

opiekunka 1196 żydowskich dzieci z Białegostoku przyjechała do Auschwitz, gdzie wszyscy zostali natychmiast skierowani do gazu.

Mąż Věry S. był wybitnym tłumaczem Szekspira, utonął w morzu podczas wakacji w Bułgarii. Ona sama była redaktorką w wydawnictwie i tłumaczką z niemieckiego.

Czasem Věra S. wypożyczała swoje nazwisko.

Pożyczali je od niej koledzy tłumacze, którzy popadli w niełaskę i nie mieli prawa publikować. W Czechosłowacji ten sposób koleżeńskiej przysługi nazywano *kryciem. Pokrývač* to dekarz, pokrywający dachy, ale i twórca z niezakazanym nazwiskiem, który użycza je twórcy z zakazanym. Dzieło podpisane przez *pokrývača* nie dawało jednak obu stronom pełnej satysfakcji. W przypadku sukcesu i właściciel nazwiska, i prawdziwy autor nie mogli przeżyć go w pełni. Pierwszy udawał radość z nie swojego dzieła, drugi nie mógł przyjąć uznania.

Obok Věry S. siedzi sąsiadka i stoi gość z Polski.

(Zmylenie przeciwnika nie zadziałało. Otóż jeśli ktoś zadzwoni pod numer pani S. z książki telefonicznej i ma szczęście, że po trzydziestym czwartym razie ktoś odbierze, okaże się, że to telefon wnuka. Wnuk poda inny, pod którym nikt nigdy nie odbiera telefonu. Jeśli po roku uda się znów do wnuka dodzwonić, ten bardzo przeprasza, ale pomylił dwie cyfry numeru babci, nie wiadomo właściwie dlaczego. Co z tego, że podał nowy? Numer z właściwymi cyframi też jest głuchy. Kolega, który właśnie wysłał mnie do siostrzenicy Kafki, bo pisze książkę o ludziach z jego kręgu[7], rozmawiał z synem innej siostry Kafki. Syn mieszka w Wielkiej Brytanii, kazał napisać do siebie e-mail, ale podał zły adres i list parę razy wracał. Metodą prób i błędów kolega doszedł do adresu właściwego. Wysłał mu różne pytania, na co siostrzeniec Kafki odpisał: „Proszę oczekiwać odpowiedzi w terminie najbliższych czternastu dni”. I urwał korespondencję.

Jedyna więc rada na siostrzenicę z Pragi: gość osobiście musi stanąć pod bramą jej domu.

Tylko że pod „Saudková” nigdy nikogo nie ma.

Potrzebne jest szczęście, a więc naciśnięcie dzwonka do sąsiadów niżej, żeby rozpytać. I oto niespodziewanie w nie swoim [?] domofonie odezwie się właśnie ona: – W tej sytuacji nie będę już udawała, że to nie ja).

Věra S. siedzi więc w obszernym przedpokoju. Przy okrągłym drewnianym stole bez obrusa, między pustymi białymi ścianami.

– Proszę wyjaśnić pani Saudkovej, co pana sprowadza – zaczyna sąsiadka.

– Mój kolega bardzo chciałby przeprowadzić z panią rozmowę, jestem jego wysłannikiem. Dzwoni do pani bezskutecznie od dwóch lat.

Teraz Věra S. odzywa się łagodnym głosem:

– Bardzo proszę, żeby kolega w tej sprawie przysłał do mnie list z pytaniami. Odpowiem w stosownym terminie.

Przestępuję z nogi na nogę.

– Czy jeszcze coś mogę dla pana zrobić?

– Szkoda, że ja sam nie mogę pani o nic spytać – wyznaję z żalem.

– A jakie miałby pan do mnie pytanie?

– Choćby jak się pani czuje w XXI wieku?

– Bardzo proszę w tej sprawie przysłać do mnie list. Odpowiem w stosownym terminie.

Kochaneczek

Coraz trudniej pochować człowieka. Nagle nastąpiła nieprawdopodobna wręcz komplikacja pochówków.

Niektórzy w ogóle nie mieli prawa być pochowani. Urnę Josefa S. rodzina trzymała w domu. Próbowano ją pochować kilka razy, ale nigdy się nie udawało. Ktoś wpadł na pomysł, by zrobić to za granicą, lecz urnę zdemaskowano w pociągu ekspresowym do Wiednia. Była źle ukryta w ubikacji między muszlą a umywalką.

Ci, którzy mogli być pogrzebani, mieli również prawo do nekrologu, z jednym wyjątkiem: nie podawano w nim godziny ceremonii.

Ci, którzy mieli prawo do godziny, tylko pozornie byli lepsi. Tak naprawdę komplikowali życie swoim żywym znajomym i przyjaciołom. Przejrzyście wytłumaczył to żyjący w Czechosłowacji Niemiec, poeta Reiner Kunze:

Umarł A. Pogrzeb odbędzie się o siedemnastej, krematorium Motol. Ci, którzy mieszkają na Motolu, wybierają się w drogę już o szesnastej. Wiedzą, że jeśli zmarł ktoś taki jak A., to nie jest wskazane, aby wszyscy o tej samej porze wyszli na ulicę. Dla mieszkających dalej jest jasne, że spóźnią się, o którejkolwiek by wyszli. Zamyka się bowiem ulice i kieruje samochody żałobników na objazdy przez przedmieścia i okoliczne wioski.

Oczywiście o pogrzebie wiedzą tylko ci, których zdążono zawiadomić. Zaraz bowiem po śmierci przestają działać telefony u rodziny zmarłego. Najbliżsi korzystają z budek telefonicznych. Budki wokół ich domów są jednak popsute i rodzina jeździ do budek w innych dzielnicach. W praktyce zawiadamianie sprowadza się do tego, że anonimowy informator szepcze do słuchawki: „Pogrzeb dzisiaj o siedemnastej!”.

Chociaż nie, nie wszystkie pogrzeby odbywały się w tak atrakcyjnych godzinach. O spaleniu pewnego biologa, członka Akademii Nauk, zawiadamiano nie dość, że w ostatniej chwili, to jeszcze z okrutną

satysfakcją, że stanie się to o szóstej trzydzieści. Znanego filozofa kremowano o siódmej i nie było żadnych możliwości zmiany godziny.

Sporo pogrzebów wyznaczano na wieczór. Kiedy ludzie wychodzili z krematorium, nic nie widzieli. Oświetlenie cmentarza było wyłączane. Reiner Kunze zauważył jednak prawidłowość, że jeśli zapadł zmrok, a droga biegnie zboczem i co jakiś czas są stopnie, to każdy, stanąwszy na stopniu, mówi: uwaga, stopień. I nikt nie upada.

Pan Výborný

Cmentarz w dzielnicy Motol jest jak wiejski cmentarzyk: mały i przytulny. Leży na górze, wśród drzew i gdy obrócić się tyłem do niewielkiej kaplicy, można łatwo zapomnieć, że w dole rozpościera się półtoramilionowe miasto.

Kierownik cmentarza i grabarz w jednej osobie jadł właśnie kolację, gdy do jego domku, niewiele większego od grobowca, zapukały trzy kobiety i mężczyzna. Było ciemno. Musiał być zaskoczony: kto przychodzi szukać miejsca na grób o tej porze?

– Jeżdżę po całym mieście i nigdzie nie mogę pochować męża – odezwała się starsza z kobiet.

Wyglądali na zmęczonych. Od rana odwiedzali wszystkie cmentarze i wszędzie dowiadywali się, że miasto nie przyjmuje już nowych zmarłych.

Grabarz spojrzał na nich podejrzliwie:

– Jak to jeździcie po całym mieście?

Nic nie odpowiedzieli.

Pies zaczął warczeć, jakby wyczuł napięcie.

– A na co on wam właściwie umarł? – spytał grabarz, zaskoczony ich milczeniem. (– Milczeliśmy jak dzieci, które coś zbroiły – wspomina dziś młodsza).

Mężczyzna, który był z kobietami, wyciągnął z kieszeni papier. Grabarz spojrzał na kartkę. Odczytał diagnozę, wiek pacjenta (czterdzieści dwa lata) i przeniósł wzrok na drukowane litery nazwiska, i już wiedział. Z sykiem wciągał powietrze do ust.

– Jest mi naprawdę przykro. – Oddał papier. – Mój cmentarz jest wypełniony po brzegi…

– Boże, to już ósmy cmentarz… – jęknęła jedna z kobiet.

Spojrzał na nią: – …ale mam tu jeden grób. Dla siebie.

Wziął do ręki latarkę i zagwizdał na psa.

– Chodźmy. Pokażę wam, jak piękne jest moje miejsce. Pod drzewem. Wokół leżą bardzo przyzwoici ludzie. Ja się nazywam Výborný, więc nie mogłem wybrać sobie czegoś brzydkiego.

Starsza kobieta wyraźnie się ucieszyła, chciała uprzedzić jego pytania:

– Oczywiście obiecuję, że nie pochowamy go w dzień. A w nocy nikomu taki pogrzeb nie będzie przeszkadzał.

Doszli do miejsca na grób pana Výbornego.

– Prawda, że piękne? – zapytał z dumą. – Lepszej parceli nawet sam mąż nie mógłby sobie wybrać – zwrócił się do starszej. – Chcecie?

– Bardzo chętnie – odpowiedziała. – Ale co… co pan potem zrobi?

– Ja już sobie jakoś poradzę. Dla grabarza musi się miejsce znaleźć. To jedyna przyjemność w tym smutnym rzemiośle.

– Pisanie to też niezbyt wesołe rzemiosło – zauważył mężczyzna.

Diagnoza

Diagnozą był rak jelita grubego. Zmarły nie podejrzewał u siebie nowotworu, co więcej – był pewny, że go nie ma.

Całe życie najbardziej bał się raka, więc kiedy zoperowano mu woreczek żółciowy, poprosił lekarzy, aby przebadali całe ciało, czy na pewno nie ma zmian nowotworowych.

Zbadali, nie miał. Był w najlepszej klinice w kraju, nie mogli się mylić – uważa rodzina. Choroba przyszła miesiąc później.

Chodził podekscytowany po domu i mówił: – Nie mam raka!

Dokładnie na jedenaście miesięcy przed śmiercią, 21 marca 1970 roku, był bardzo zadowolony. Przeczytał w gazecie, że wieczorem telewizja nada o nim program. Dzwonił do znajomych i mówił: „Dziś będzie mój benefis”. Nie zadał sobie tylko pytania: kto program przygotował i dlaczego on sam

o tym dotąd nie wiedział? Ale spodobała mu się myśl, że może to niespodzianka na jubileusz jego pracy twórczej. Był przecież uwielbiany. W jego kraju funkcjonuje powiedzenie „kochaneczek ludu”. I wiedział, że właśnie on jest takim kochaneczkiem.

W programie telewizyjnym widniał tylko tytuł: *Świadectwa znad Sekwany – o pisarzu i scenarzyście Janie Procházce*.

Szampan

Kupili szampana, żona przygotowała efektowne kanapki. „Butelka już się chłodzi”– mówił rozradowany do słuchawki znajomemu. „W ogóle jest bardzo przyjemnie, a na dodatek, wyobraź sobie, nie mam raka” – żartował. Usadowili się z żoną i trzema córkami przed odbiornikiem. Był to czas największej oglądalności.

Po godzinie program się skończył.

Nienaruszony szampan stał w ciepłej wodzie.

Nie zjedli ani jednej kanapki, rano córka wyrzuciła je do śmieci.

Jan Procházka siedział niemo przed telewizorem i patrzył w zgaszony ekran. Ktoś podsłuchał jego prywatne rozmowy z przyjacielem, nagrał i wyemitował w telewizji.

Nikt w pokoju się nie odzywał, tylko pisarz zdezorientowany zaczął powtarzać jedno zdanie:

– To był mój głos… no przecież to był mój głos, ale… ale ja tego nie mówiłem.

Zadzwonił pierwszy telefon, odebrała żona. Jakiś człowiek chciał pilnie rozmawiać z panem Procházką.

– Ty obrzydliwa świnio – zaczął. – Wreszcie wiemy, kim jesteś naprawdę.

– Okropną bezwstydną kurwą, która ma dwie twarze. Inną na pokaz, inną w domu – dowiedział się pisarz z następnego telefonu.

Pewnie wtedy – jak mówi córka – jego złamana dusza wysłała do ciała sygnał i rozpoczął się nieodwracalny proces.

Młodsza, Iva, myślała, że to najgorszy dzień w życiu rodziny, ale myliła się.

Następnego dnia radio zaczęło nadawać potajemnie nagrane, prywatne rozmowy Jana Procházki, w siedmiu odcinkach przez czternaście dni.

Z jednodniowym opóźnieniem przedrukowywała je największa gazeta.

Szczęście pisarza

Kochaneczkiem ludu został na wiosnę.

Była to wiosna przygotowywana już latem poprzedniego roku. W czerwcu 1967 roku zebrał się zjazd związku pisarzy. Na wstępie przemówił sekretarz partii rządzącej, odpowiedzialny za kulturę:

– W takiej oto chwili – powiedział – powinniśmy zacieśnić nasz sojusz ze Związkiem Radzieckim.

Wyraził też oczekiwania:

– Partia oczekuje, że sformułujecie kryteria dla literatury socjalistycznej.

Pisarze, mimo że Stalin od dawna już nie żył, po raz kolejny mieli publicznie potwierdzić, że sztuka to nie miłość, ale walka klasowa.

Chyba nikt nie spodziewał się tego, co rozegrało się potem.

Zaraz na początku głos zabrał autor powieści i socrealistycznych wierszy, które pisał nawet po śmierci Stalina, a do partii wstąpił jeszcze jako gimnazjalista.

Nagle, jakby wbrew zdrowemu rozsądkowi, odczytał słowa z listu Woltera do Helwecjusza: „Nie zgadzam się z tym, co pan mówi, ale aż do śmierci będę bronił prawa, aby mógł pan to swobodnie mówić”. – To wspaniałe zdanie – powiedział partyjny pisarz kolegom – jest podstawową zasadą etyczną nowoczesnej kultury. Kto chce wrócić do czasów sprzed tej zasady, cofa się do średniowiecza. (Był to Milan Kundera).

Sala – jak wspominają świadkowie – oniemiała, a łysy sekretarz, który żądał sojuszu literatury z ZSRR, mocno zacisnął wargi.

Na zdjęciach ze zjazdu ponad czterystu pisarzy siedzi wzdłuż stołów w samych koszulach. Pościągali marynarki i gestykulują.

Na sam koniec, trzeciego dnia, przemówił syn chłopa z Moraw, rolnik z wykształcenia, wybitny scenarzysta, członek komisji ideologicznej Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji Jan Procházka. Tak wierzył w komunizm, że rodzice, przerażeni jego poglądami, nie przyjechali nawet na jego ślub. Dużo pisał, ale pierwsze scenariusze krytyka oceniała jako pozbawione polotu. Od ośmiu lat był etatowym scenarzystą Studia Filmowego Barrandov. Tam przeszedł twórczą przemianę. Dowiedział się, że nie każdy scenariusz musi być pedagogiczny i że zabójcą twórczości jest schemat. Przez dziesięć lat co rok powstawał jeden film na podstawie jego scenariusza, czasem dwa. Najczęściej reżyserował je Karel Kachyňa, jeden z twórców czeskiej nowej fali w kinie, profesor Agnieszki Holland w praskiej szkole filmowej.

– W tej samej sekundzie – powiedział Procházka – pisarz jest szczęśliwy ze szczęśliwymi i zrozpaczony ze zrozpaczonymi.

Po sali przeszedł szmer.

Inni członkowie Komitetu Centralnego, nawet jeśli zajmowali się literaturą, nie byli tak błyskotliwi.

– Jesteśmy braćmi wszystkich kochających, bo naszą bronią jest przede wszystkim serce – dodał.

Historycy piszą, że sekretarz partii wyszedł ze zjazdu, sycząc: „Wszystko przegracie…”. Obecni na sali twierdzą jednak, że sekretarz wyraził się podobnie, lecz inaczej:

„Wszystko przesracie”.

Wiosna – ciąg dalszy

Tak rozpoczął się ferment, którego finałem była wspomniana wiosna. Zjazd pisarzy i poetów przeciwstawił się partii. Wewnątrz systemu wyrośli jego grabarze.

– W czechosłowackiej partii było mnóstwo porządnych ludzi, przerażonych tym, do czego przyłożyli rękę – powiedział po trzydziestu latach ten sam mężczyzna, który wyjaśnił panu Výbornemu na cmentarzu, że pisanie jest tak samo smutne jak grzebanie zmarłych.

(Był to Pavel Kohout. Pewnie myślał też o sobie. Ostatnie wiersze sławiące reżim napisał już po śmierci Stalina: „On nie umarł! On tylko drzemie/ Na zawsze został w tobie i we mnie”).

Europa nie wierzyła oczom i uszom: oto partia komunistyczna, która nie musi stosować przemocy, żeby znów uzyskać poparcie znacznej części społeczeństwa.

Pół roku po zjeździe pisarzy usunięto ze stanowiska pierwszego sekretarza partii, który był też prezydentem państwa. To Antonín Novotný – ponury, poważny mężczyzna. W jego przekonaniu nic, co nie mieściło się w modelu radzieckim, nie było socjalizmem. W styczniu 1968 roku w partii zastąpił go Alexander Dubček. Pozwalał mówić swobodnie i sfotografował się w samych kąpielówkach na basenie.

Ludzie przestali się wzajemnie bać, a społeczeństwo podziwiało samo siebie.

Rodzaj cudu.

Gazety i telewizja straciły swoją bezbarwność. Z teatru i kina znikła nuda. Wyszły zakazane książki. Zniesiono cenzurę.

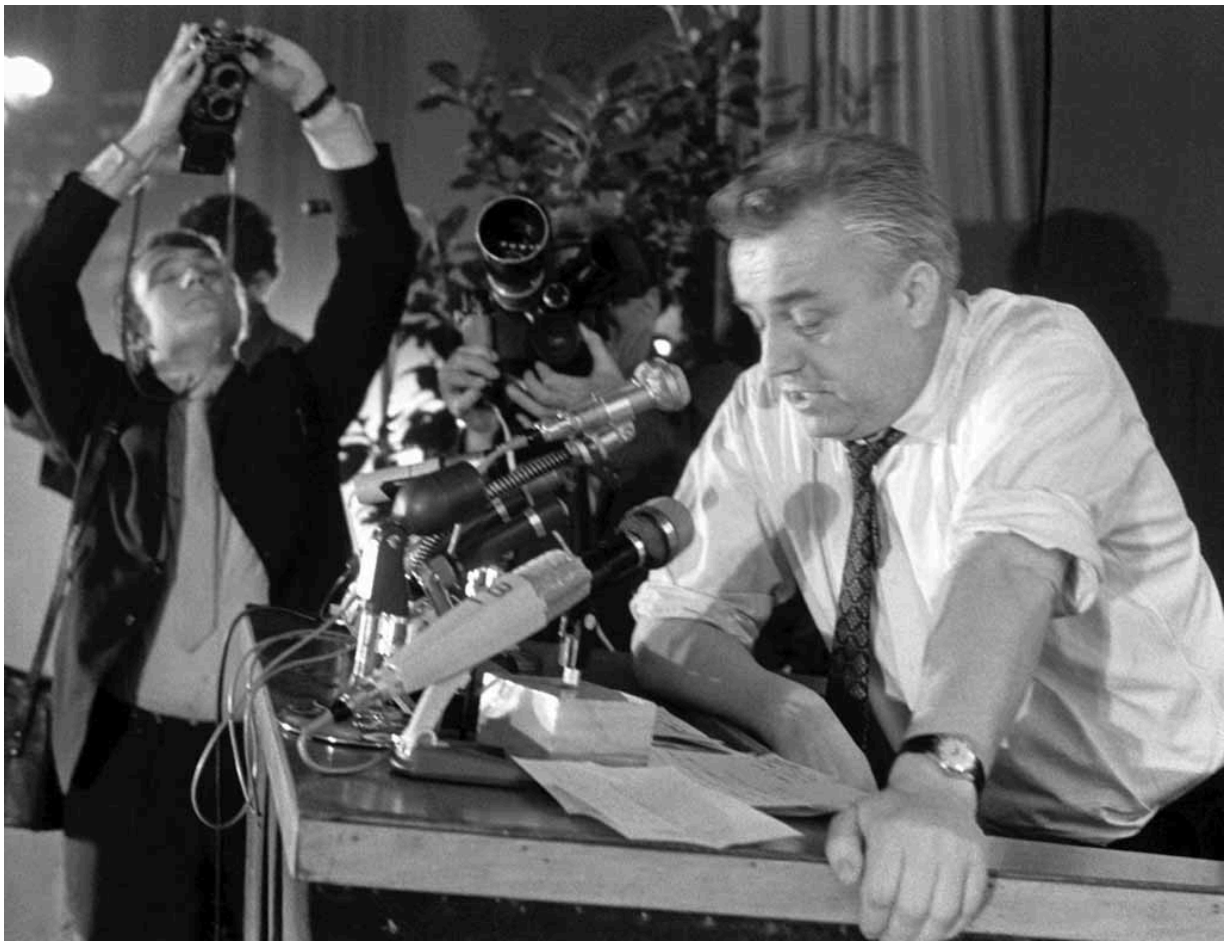

Marzec 1968. Jan Procházka na mitingu „Młodzież wobec przyszłości Czechosłowacji” (Josef Nosek / ČTK / PAP)

Na rysunku w dotąd reżimowym „Rudym právie” jeden gość mówi do drugiego przy kawiarnianym stoliku: „Nie ma o czym rozmawiać. Wszystko jest w gazetach”.

Na innym rysunku zakochana para stoi pod drzewem. Chłopak wycina na korze wielkie serce, a w jego środku słowo „DUBČEK”.

Nawet u nas na murach ludzie malowali hasła: „Cała Polska czeka na swego Dubczeka”.

Hurrra!

Trzydziestodziewięcioletni Procházka pisał felietony, scenariusze i codziennie spotykał się z młodzieżą. Mityngi odbywały się wtedy nawet w miejskich parkach.

„Nie każdy może być filozofem, ale każdy w swoim własnym interesie powinien pół godziny tygodniowo myśleć” – radził w książce *Polityka dla każdego*. Natychmiast stała się bestsellerem. Dostawał po pięćdziesiąt listów dziennie, bo umiał wyjaśniać problemy:

„Czy dziś w ogóle można być szczęśliwym?” – pytali czytelnicy. Albo: „Dlaczego recenzenci porównują czeski film *Starcy na chmielu* do *West Side Story*, a zwyczajny obywatel ciągle nie ma prawa tego amerykańskiego filmu zobaczyć, chociaż minęło sześć lat od jego premiery? Czy potwierdza pan, że towarzysze z KC oglądają potajemnie amerykańskie filmy?”.

„Obwiniają nas – mówił do młodzieży – że atakujemy socjalizm. A te oskarżenia wysuwają ci, którzy socjalizm uczynili ponurym więzieniem dla rozumu”. (– On był jak pierwsi chrześcijanie – dodaje córka. – Wierzył, że socjalizm jest najlepszy. Mój syn do dzisiaj sądzi, że to, co wtedy dziadek proponował, mogło się udać. Ale ja zawsze powtarzam, że musieliby to przeprowadzić aniołowie).

W marcu 1968 roku na spotkaniu w Domu Słowiańskim w Pradze wypowiedział słynne zdanie o cenzurze: „Nie po to człowiek tak długo uczył się mówić, żeby potem nie miał prawa mówić”.

„Hurrra!” – krzyknął na to tłum studentów.

„Niektórzy historycy do dziś wierzą, że naczelnym celem radzieckiej inwazji było zlikwidowanie u nas wolności słowa” – napisał w 1990 roku Dubček.

„Przestajemy się bać straszydeł – oznajmiał Procházka. – Powrót do demokracji nie musi wcale oznaczać powrotu do kapitalizmu”.

I jeszcze: „Nie uczmy wołów latać w powietrzu; jeśli już, to uczmy konie. Są dwa i pół razy inteligentniejsze”.

Dłonie

Wróćmy do wieczoru 21 marca 1970 roku.

Najpierw telewidzowie zobaczyli, jak na lotnisku ląduje samolot pasażerski z napisem AIR FRANCE.

Potem budynek terminalu z napisem PARIS.

„Paryż to piękne miasto, pełne zabytków kultury. Ale nie wszyscy z nas jeżdżą tam po to, by je podziwiać” – mówił zdecydowany kobiecy głos.

Po napisie PARIS wszyscy ujrzeli wnętrze samochodu i dwie dłonie. Białe mankiety koszuli wystawały spod rękawów płaszcza. Obie ręce kierowały mercedesem. Prawa czasem trzymała papierosa i strzepywała popiół do popielniczki na desce rozdzielczej.

W tym filmie grały tylko dwie ręce.

Samochód jechał. Przez przednią szybę widać było drogę. Miała to być, według kobiecego głosu, szosa z lotniska do Paryża, ale przypominała szosę z Pragi do Karlowych Warów.

Niewidoczny właściciel rąk rozmawiał z drugą – także niewidoczną – osobą.

Pewne jest, że właścicielem męskiego głosu w samochodzie był pisarz Jan Procházka. Mówił tak: „W sobotę miałem spotkanie z niektórymi ludźmi z rządu. Oni są kretynami. A Dubček nie jest ani trochę mądrzejszy”.

„Mhm” – powiedział drugi głos.

„Ten człowiek ma dobre zamiary, ale oczywiste ograniczenia… To zupełnie nie jest ktoś, kto byłby zdolny do czegoś innego niż ciągłe przystosowywanie się do sytuacji”.

„Tak, ale…” – dodał głos.

„W takim razie powinien pożegnać się z kierowniczym stanowiskiem w partii. Bo to idiotyzm”.

„Mhm”.

„Oni muszą znaleźć klucz do rozwiązania! Sposoby na te głupie sprzątaczki czy kucharki, które pojawiają się tam na górze z pomocą tak samo głupich sekretarzy”.

„No tak” – potwierdził głos.

Głos

„Mhm” i inne potakiwania należały do znanego profesora literatury, z którym pisarz spotkał się dwa lata wcześniej. Rozmawiali cztery godziny,

wypili butelkę wódki. Nagranie pochodziło z tej właśnie rozmowy.

Nigdy nie byli razem w Paryżu. Nigdy nie jechali razem samochodem. Mercedes nie należał ani do profesora, ani do pisarza. Procházka nie miał samochodu ani prawa jazdy. Mimo że do głosu obu mężczyzn dodano warkot silnika, słychać pogłos, którego w samochodach nie ma. Łatwo się zorientować, że rozmawiali gdzie indziej, w miejscu, w którym na ścianach była na przykład glazura.

Rzeczywiście pogłos powstawał w wykafelkowanej kuchni profesora.

„Po co to pokazujemy? – spytała lektorka. – Abyście sami wyrobili sobie zdanie, jak w demokratycznym duchu rozmawiają ci, którym tak wierzycie”.

Gdy po emisji filmu *Świadectwa znad Sekwany* do domu pisarza zadzwonili „wkurwieni górnicy z Ostrawy”, wyjaśniał im długo, że to są jego słowa, ale nie jego zdania. (Wiemy to, bo w archiwach Służby Bezpieczeństwa leżą instrukcje, odtajnione w marcu 2001 roku, kto miał do Procházki dzwonić i co mówić. Wiemy, jak zadania te zostały wykonane; przestudiowała je niedawno córka).

Żona wyciągnęła wtyczkę z gniazdka telefonu.

„Jakiś ty blady – powiedziała do Śledzonej Osoby. Ś.O. nic nie odpowiedziała”.

Hak

Nie mogli spać.

Nagle, o czwartej nad ranem, usłyszeli brzęk tłuczonego szkła.

Wbiegli do salonu.

Ze ściany spadło wielkie lustro i roztrzaskało się o podłogę.

Wysoko pod sufitem został tylko hak.

Pisarz spojrzał na hak, potem na żonę i spytał, co to może znaczyć. Nie odpowiedziała.

Córka Lenka mówi, że lustro nie wytrzymało napięcia w mieszkaniu, w którym sześć osób nie może zasnąć i cierpi.

Balkon

Długo nie mógł uwierzyć, że aż tak można manipulować nagraniem.

– Był scenarzystą, jego filmy dostawały nagrody. Rozumiem, że ich nie montował, ale musiał wiedzieć, co można wyczyniać z taśmą – zastanawiam się na głos.

– Nie, nie mógł tego pojąć. Tak naprawdę pozostał wciąż tym naiwnym chłopcem ze wsi – mówi żona, Mahulena.

Przestał wychodzić z domu.

Naród uwierzył telewizji.

Kundera napisał, że ludzi, którzy sami obgadują przyjaciół przy każdej okazji, bardziej gorszył ukochany Procházka niż metody tajnej policji.

Dwa tygodnie spacerował po balkonie.

Jeśli szeptał tam coś do siebie, słuchało go – o czym nie wiedział – dziewięć mikrofonów.

Czterdziestostopniowej gorączki dostał czternastego dnia od nadania programu.

Siedział i pisał. Przepisywał na maszynie setki listów wyjaśniających. Do redakcji gazet, do radia i telewizji. Nigdy żadnego nie opublikowano. Wysłał więc wyjaśnienia do swojego fryzjera oraz do kierownika ulubionej chińskiej restauracji.

Na uczelni nikt się do Lenki nie odzywał, była córką zdrajcy Wiosny. Zaniosła więc list ojca w dwudziestu egzemplarzach, aby koledzy przeczytali jego wyjaśnienia. Młodsza Iva też wzięła kopie do gimnazjum.

Ale koledzy prosili: – Nie dawaj nam tego listu.

Nie niszcz ludzi.

Po co w ogóle tych kartek dotykać?

Naiwność

Reżyser i dokumentalista telewizyjny Jordi Niubó przesłuchał dokładnie w słuchawkach (mówi, że o połowę lepsza słyszalność) ścieżkę dźwiękową *Świadectw znad Sekwany* i dziś, po trzydziestu latach, jest przeświadczony, że Procházce nie poprzestawiano słów.

– On naprawdę mówił, że Dubček był naiwny i tak dalej. A nie był? Dziś każdy powie, że był. Tylko wtedy zakrawało to w Czechosłowacji na prawdziwe świętokradztwo.

Sam Dubček po latach szczerze przyznał, że zawiodła go wyobraźnia: „Mój problem polegał na tym, że nie miałem szklanej kuli, która pozwoliłaby mi przewidzieć inwazję".

20 sierpnia 1968 roku o dwudziestej trzeciej Rosjanie napadli na Pragę z powietrza. Samoloty wyrzuciły z siebie czołgi i działa na praskim lotnisku (Polacy weszli drogą lądową przez Hradec Králové). Zanim o świcie Sowieci porwali Dubčeka i pięć innych osób z kierownictwa, siedmiu radzieckich spadochroniarzy wkroczyło do gabinetu Dubčeka. „Natychmiast – wspomina – ustawili się przy oknach i drzwiach wewnętrznych. Wyglądało to jak napad rabunkowy z bronią w ręku. Odruchowo sięgnąłem po telefon, ale jeden z żołnierzy wymierzył we mnie pistolet maszynowy, chwycił telefon i wyrwał kabel ze ściany".

Posadzili Dubčeka razem z innymi przy dużym stole. Obok sekretarza siedział jego przyjaciel, przewodniczący parlamentu Josef Smrkovský (ten, którego urna pięć lat później została zdemaskowana w ekspresie do Wiednia). „Zaiste – pisze Dubček – byliśmy nieźle chronieni, siedząc dookoła stołu – każdy z nas z lufą pistoletu maszynowego wycelowaną w potylicę". Kiedy wychodzili, zauważył kierownika swojej kancelarii, Sojáka. „Szepnąłem mu, żeby pilnował mojej aktówki, w której znajdowały się urzędowe dokumenty: nie chciałem, aby dostały się w ręce Rosjan. W owej chwili nie wiedziałem, że Soják był jednym z radzieckich pomagierów".

Porwany i więziony przez Rosjan („Na Kremlu nie było mi dane zmyć z siebie kurzu i brudu trzech poprzednich dni"), wiedział, że jego kraj najechała gigantyczna machina militarna i nie ma na świecie siły, która byłaby w stanie ją przepędzić. Mimo to wspomina, że dopiero siedząc przed Breżniewem, gdy już był przekonany, że musi podpisać – narzucony siłą – akt kapitulacji, uzmysłowił sobie najważniejsze: „Że w tym domu wariatów nic nie ma sensu – żadne ideały, do których byłem przywiązany i sądziłem, że obie strony je podzielały".

Nie był naiwny?

Aż do tego momentu wierzył, że tamci mają jakiekolwiek ideały!

Paczki

Gdy rodzina Procházków z radością czekała przed telewizorem na benefis, Aleksander Dubček już nie był pierwszym sekretarzem, ale ambasadorem w Turcji. (Trzy miesiące później został pracownikiem Lasów Państwowych na Słowacji). Pierwszym sekretarzem partii był teraz Gustav Husák.

Profesor, do którego w *Świadectwach znad Sekwany* należały „mhm" i inne potakiwania, to historyk literatury Václav Černý. Miał dwadzieścia sześć lat, gdy w 1931 roku został docentem na Uniwersytecie Genewskim. Odkrył nieznane dramaty Pedra Calderona, szybko został uznany za jednego z najwybitniejszych przedstawicieli czeskiej kultury duchowej XX wieku. Niereformowalny przeciwnik komunizmu. Był celem propagandowych kampanii od czasów stalinowskich aż do swojej śmierci w 1987 roku. Jeśli profesor zajmował się średniowieczem, atakowano go, że lubuje się w czasach ciemnoty; jeśli barokiem – że robi to z podziwu dla jezuitów; jeśli romantyzmem – że ma same cechy indywidualisty, co dyskwalifikuje obywatela socjalistycznego. Zaś iberystyką interesuje się wyłącznie z uwielbienia dla generała Franco. Po Praskiej Wiośnie dostał przymusową emeryturę i drukował tylko w wydawnictwach emigracyjnych.

Autorzy telewizyjnej prowokacji celowo nie ujawniali zbyt wielu jego słów. Reszta nagranych słów potrzebna była do seriali radiowych.

Bo i radio nadało cykl audycji *O profesorze Černym i innych*. Inni –to podsłuchani u Černego w domu Procházka, Havel oraz Kohout.

Młyn zaczął się kręcić – głosił tytuł pierwszego serialu.

Ogłoszono, jak taśmy z rozmowami trafiły do mediów: „Historia zna mnóstwo niewiarygodnych opowieści o tym, jak na bożym świecie nieoczekiwanie objawiło się to, co na zawsze miało zostać ukryte".

I dalej: „W naszym przypadku tak samo niespodziewanie na stołach kierowników w środkach masowego przekazu pojawiły się paczki. Nadawca był nieznany, ale pieczątka wskazywała, że jest to miasto nad

Sekwaną. Paczki nie zawierały butelek koniaku, choć z tego ten kraj jest sławny, lecz taśmy magnetofonowe. Usłyszeliśmy znajome głosy, tak często słyszane podczas Praskiej Wiosny”.

Podsłuchany Václav Havel mówił o możliwościach stworzenia socjaldemokracji podobnej do szwedzkiej. Widziałby w niej właśnie profesora Černego.

Profesor powiedział Procházce w cztery oczy, że się nie zarzeka, „ale Dubček musi najpierw wygrać. Dla siebie, nie dla mnie. Dla siebie! Jak już będzie sam wygranym, ja się objawię. Jeśli będzie potrzeba, nawet przeciw Dubčekowi”.

„Dreszcz przechodzi po plecach – napisał komentator – gdy słyszymy, jak cynicznie, bez zażenowania i bez wstydu handlowali losem państwa i jego ludu”. I zakończył: „Jesteśmy świadomi, jak złożone konstrukcje retoryczne będą tworzyć teraz wokół naszego serialu burżuazyjne środki przekazu, znamy już ten histeryczny krzyk. Ale taśmy nie mogły zostać ukryte. Głosy te mówiły kiedyś rzeczy, które były miodem na ludzkie serca. Między sobą nie ukrywały nienawiści do naszego świata”.

(Co do burżuazyjnych mediów, to „Süddeutsche Zeitung” napisała na przykład, że w Pradze już w 1970 mają „Rok 1984”).

Dom starców

Reżyser Niubó usiłował niedawno sprawdzić, gdzie są dziś ludzie podpisani pod tamtymi produkcjami. Dokumentacja *Świadectw znad Sekwany* zaginęła, w telewizyjnej kartotece zostały tylko druty.

Z osób wymienionych w napisach końcowych programu – wszystkie albo nie żyją, albo nikt nic o nich nie wie. Szef praskiej telewizji z 1970 roku przestał w niej pracować w połowie lat osiemdziesiątych i nie można ustalić jego adresu. „Rudé právo” twierdziło, że czerpią zapis z audycji radiowych niejakiego Karela Janíka. Chwaliło dobrą robotę redaktora. Nikt taki nie istniał. Karel Janík to tajna policja.

Minister spraw wewnętrznych z tamtych czasów żyje. Reżyser zobaczył jego zgarbione plecy w domu starców.

– Może pomylić pana ze swoją matką – uprzedziła pielęgniarka.

Ucho

Jest koniec lat pięćdziesiątych.

Ludwik, sekretarz pewnego ministra, razem z żoną Anną wraca z przyjęcia. Pod bramą okazuje się, że zgubili klucze, włamują się więc do własnego domu.

Klucze są. Tkwią w zamku, ale od wewnątrz. A przecież zamykali nimi dom, Ludwik miał je w kieszeni.

Ktoś odłączył prąd. Anna jest pijana, zarzuca mężowi, że nawet korków nie umie naprawić; sprzeczają się o głupstwa, szarpią i nagle w kuchni upada im widelec. Spada między dwie szafki, Anna upiera się, żeby go stamtąd wyciągnąć. W szparze między szafkami znajduje ucho.

Ludwik wpada w panikę i zaczyna palić kompromitujące go dokumenty. Wrzuca je do muszli i usiłuje spłukać. Łazienka zapełnia się gryzącym dymem, jednak boją się otworzyć okno. Zauważyli, że dwóch mężczyzn w samochodzie obserwuje ich posesję.

Drugie ucho znajdują w łazience pod brudną bielizną.

Następne – wysoko pod sufitem, na parapecie łazienkowego okienka.

(Procházka napisał powiastkę o uchu już po sowieckim najeździe. Została szybko nakręcona jako film *Ucho* przez jego przyjaciela.

Ucho to miniaturowa kostka z antenką długości kociego wąsa. Nadajnik).

Ludwik orientuje się, że jego minister, który mieszka po drugiej stronie ulicy, został internowany we własnym domu. Co mogą oznaczać brak prądu w willi Ludwika i trzy znalezione podsłuchy? Na pewno przyjdą i po niego. Anna przygotowuje męża do aresztowania, szykuje mu piżamę i skarpety.

Gdy bohater już ujawni przed widzami strach, brak charakteru i tchórzostwo, rano nie zostaje aresztowany, lecz mianowany ministrem.

Tabu

Ucho natychmiast obrosło legendą i zostało przeznaczone do skasowania. Film miał tylko jedną kopię, mówiło się, że jest to „aresztowane dzieło numer jeden”. Pisano, że to jeden z najlepszych czeskich filmów w historii, a już na pewno najlepszy film reżysera Karela Kachyni.

Areszt filmu trwał dwadzieścia lat.

Ucho – uosobienie niewidzialnej istoty. Dopełnienie pomysłów Kafki. Wszyscy wiedzą, że ono ciągle słucha, ale o nim nie można rozmawiać nawet szeptem. Tylko Anna – przez swoją głupotę i złość na męża – pozwala sobie krzyczeć po całym domu: „Ucho… Zasrane ucho…!”. W noweli Procházki ucho jest symbolem typu sakralnego. „Staje się jakimś bogiem, którego imienia nikt nie ośmiela się wymówić” – napisał recenzent.

Procházka nie podejrzewał, że jego samego podsłuchują i nagrywają już w pierwszych dniach Praskiej Wiosny i po dojściu Dubčeka do władzy. Sądził, że zaczęli to robić dopiero po najeździe Sowietów.

Sam Dubček natomiast dostał w prezencie nowinkę techniczną: prototyp czechosłowackiego telewizora kolorowego. Do przetestowania w domu. Kiedy zorientował się, że w odbiorniku jest podsłuch, przestał go używać, wyniósł do piwnicy i specjalnie nikomu o tym nie powiedział. Za dwa tygodnie człowiek, który dał mu telewizor, sam go zagadnął: „A co to, nie oglądacie już, towarzyszu, koloru?”.

Miłość

Lenka w 1968 roku miała siedemnaście lat. Od tego czasu zakochiwała się wiele razy. W styczniu 2001 roku, gdy odtajniono kolejne akta Służby Bezpieczeństwa, dowiedziała się, że trzech jej chłopaków, zwerbowanych przez bezpiekę, regularnie zdawało sprawozdania z przebiegu ich relacji.

– Czy czuje pani do nich nienawiść?

– Przeżyłam szok, przyznaję. Ale nie będę sobie psuć wspomnień o miłości jakąś nową informacją. Bo co to jest prawda, proszę pana?

Prawda to jest to, co my przeżyliśmy, a nie to, co nam ktoś po latach na ten temat powie.

Mnie szkoda tych chłopaków. Stali się częścią mojego życia. Gdybym zablokowała swoje uczucia, gdybym nie uśmiechnęła się do jednego z nich w metrze, gdyby nie weszli w moje życie, nie mieliby problemów, a SB nie dostarczyłaby im pokus.

Tak, nie mieli odwagi. Ale mieli inne zalety.

Nie można mierzyć wszystkich swoją miarą.

Na ludzi, których kochałam, mam miarę inną.

Blondynka

Kiedy dzieci były małe, Lenka wybrała się na basen. Spotkała tam miłą dziewczynę. Blondynka, ciągle uśmiechnięta. Zaprzyjaźniły się. Blondynka kilka lat zajmowała się jej dziećmi, gotowała, zostawała na noc.

– Całe życie byłam przekonana, że to ja sama wyłowiłam ją z tłumu, ja zagadnęłam, ja zaproponowałam kawę – mówi. – No i teraz z akt dowiedziałam się, że była podstawioną na basenie współpracownicą tajnej policji. Kopiowała wszystkie listy, które znalazła w moim mieszkaniu.

Przyjaciel

Każdy, kto pamięta tę historię, instruuje: – Tylko niech pan nie zapomni napisać, że kiedy Procházka umierał, Kachyňa zrobił mu największe świństwo: udzielił jeszcze przed jego śmiercią wywiadu, że żałuje wszystkiego, co razem nakręcili.

Reżyser *Ucha* Karel Kachyňa był przyjacielem Procházki. Na przesłuchaniu esbecy zażądali od niego, aby zdystansował się od filmów, które razem stworzyli. Zwłaszcza od *Ucha*. To jest warunek, który stawia przed nim państwo. Musi wyprzeć się Procházki, wtedy będzie mógł nadal pracować.

Wywiad, o którym mowa, ukazał się w filmowym czasopiśmie „Zaběr”, a tego samego dnia „Rudé právo” drukowało jego fragmenty ze swoim komentarzem. Nie stało się to jednak za życia Jana, ale dwa miesiące po

jego śmierci, o czym nikt nie pamięta. Komu by się chciało wertować gazety sprzed trzydziestu lat.

W obu tekstach ani razu nie pojawia się nazwisko Procházki. Kachyňa opowiada głównie o nowym filmie. Co do rozrachunków, mówi tylko: „Żaden człowiek nie jest nieomylny. A ja tym bardziej nie jestem, gdyż pracuję w materii emocjonalnej”.

Dziennikarz nalega: „Ale chyba mógłby pan jeszcze coś do tego dodać?”.

Reżyser: „Byłoby łatwo tutaj, na papierze, wyprzeć się wszystkiego, co wczorajsze, zaś płomiennie dopisać się do wszystkiego, co dzisiejsze”.

I to prawie wszystko. Jeszcze jedno zdanie o socjalizmie i obietnica, że w przyszłości nakręci film o Leninie.

„Trzeba szczerze powitać słowa Karela Kachyni, gdyż dają do zrozumienia, że ich autor idzie już właściwą drogą samoświadomości” – napisał komentator „Rudego práva”.

Zaraz potem Kachyňa tworzył filmy dla dzieci, o Leninie nigdy nic nie nakręcił.

Kostnica

Dziś Karel Kachyňa mieszka[8] przy praskim Zamku, w przyjemnym domku z ogródkiem. Ma siedemdziesiąt sześć lat. Kiedy idę do niego w lutowe słoneczne przedpołudnie, myślę o fatum. W ciągu kilkunastu lat zmarło czterech jego scenarzystów i pomysłodawców scenariuszy. Najpierw Procházka, dwa lata później pisarz Ota Pavel – dziennikarz sportowy, który ujrzał Diabła, przez co znalazł się w szpitalu i w ramach terapii zaczął pisać. Kachyňa przeniósł na ekran jego *Śmierć pięknych saren*. Potem zmarło dwóch następnych.

– Mój dom to zaadaptowana na mieszkanie stara kostnica – informuje w progu niski, szczupły, pomarszczony mężczyzna. – Ale nie ma tu duchów, bo gdyby były, to psy nie chciałyby mieszkać – uspokaja.

Wspominamy wywiad.

– Musiałem go udzielić, bo przez dwadzieścia lat nie mógłbym już nic nakręcić, a ja jestem urodzonym filmowcem – wyjaśnia. – Więc ten kawałeczek tekstu przygotowywaliśmy z dziennikarzem przez miesiąc. Widzi pan to zdanie o socjalizmie, o, tutaj?

– Widzę.

– Żeby nie powiedzieć, że ja będę popierał socjalizm, wymyśliliśmy z tym redaktorem taką formułę: „Jestem przekonany, że większość artystów, którzy żyją w tym kraju, chce służyć idei socjalizmu, chce być wiernym zwierciadłem współczesności i wrażliwym detektorem przyszłości”.

Nie mówiłem przecież, że ja „jestem za socjalizmem”, mówiłem tylko, że inni „są za”. Teraz pan widzi, że to, co się dziś „ludziom wydaje”, jest silniejsze od tego, „jak naprawdę było”. To komentarz „Rudego práva” zrobił na ludziach wrażenie, a dziś wszystko im się nałożyło, moje wyważone słowa i komunistyczna propaganda – mówi reżyser i patrzy przed siebie.

Wydaje mi się, że wyczuwam dobry moment.

– Porozmawiajmy o Procházce – proponuję.

– Nie mogę – odpowiada. – Kiedy tylko mam o nim rozmawiać, wpadam w okropną depresję. Dlatego staram się mówić o Janie jak najrzadziej.

Nasza rozmowa już się nie klei.

Starszy pan, aby jakoś zrekompensować kłopotliwe milczenie, wyciąga nagle z szuflady scenariusz *Ucha*.

Pyta, czy nie chcę go sobie potrzymać. Mówi, że to oryginalny reżyserski egzemplarz z ręcznymi poprawkami. Biorę do ręki gruby maszynopis w kolorze niebieskim.

Gorączka

Ziemia Kafki. „W sądowej sprawie politycznej już samo urodzenie się oskarżonego jest przestępstwem”[9].

To zdanie, które w swoim pamiętniku napisał profesor Černý. W przeciwieństwie do Jana był jak głaz, mówili jego przyjaciele.

Pisarz zaś leżał w szpitalu już dziesiąty miesiąc. Przygotowywano mu proces sądowy, tajniacy interesowali się jego chorobą.

(„4.02.1971 r. Ś.O. miała 39 st. gorączki").

Kiedy odwiedził go kolega, pani Procházková poprosiła, aby gość nie dał po sobie poznać zaskoczenia. – Jan wygląda strasznie – powiedziała. – Oczekujemy końca w każdej chwili.

– I jeszcze jedno – dodała – on nie wie, że ma raka.

– Z gorączką trzeba umieć walczyć – zaczął, gdy tylko w drzwiach zobaczył kolegę. Mówił pół godziny bez przerwy. – Ja już ją poznaję, jak na mnie lezie. Gdybym się poddał i po obiedzie usnął, budzę się za godzinkę i mam gorączkę szaloną. Ponieważ ona jakby tylko czekała, aż się położę i omdleję. A ja nie! Ja sobie chodzę, stoję, siedzę, idę do łazienki, patrzę z okna, czekam na właściwą chwilę, kiedy będę miał zażyć to czy owo, potem przyjdzie lekarz, potem żona, ona mi gotuje i później to przynosi, dlatego że ja muszę jeść, bo nie mam prawa stracić sił z powodu tych rzeczy, które jeszcze będą musiały nastąpić. I tak przychodzi wieczór. I ta wieczorna gorączka, której dostaję, już nie jest aż tak wysoka. Potem znowu śpię tylko dwie godziny, wstaję, chodzę, stoję, siedzę, spoglądam przez okno, nawet wiele razy, i zasypiam nad ranem. Zaraz przychodzi dzień i wszystko się powtarza. Muszę być ciągle w ofensywie, nie ustąpić!

Ofensywa trwała jeszcze trzynaście dni.

Lekarze zdecydowali się na kolejną operację jelita.

Podczas operacji na czterdzieści pięć minut elektrownia odcięła światło. Operowali go więc przy latarkach i świecach.

Baranek

W 2000 roku wyszła w Czechach poczytna powieść Lenki Procházkovej o życiu Jezusa – *Baranek*. Jak to w apokryfie, autorka musiała stworzyć sceny, które wypełniłyby luki w konstrukcji, jaką są Ewangelie. Musiała

wymyślić dialogi. Jakiś czas później uświadomiła sobie, skąd wzięła słowa, które Maria wypowiada do Jezusa zdjętego z krzyża.

To słowa, którymi mama pożegnała tatę na szpitalnym łóżku.

„Wszystko złe już się stało. Wiem, jak bardzo Cię skrzywdzili. Ale Ciebie już to nie boli. Boli tylko mnie".

Uchylone drzwi

Szef czechosłowackiej kinematografii złożył samokrytykę w programie telewizyjnym: za bardzo zbliżył się z Janem Procházką.

Zaczął płakać przed kamerami i powiedział, że pisarz go zawiódł.

Potem przyszedł do Ivy, Lenki i Mahuleny.

– Przesłuchiwali mnie na komisariacie – opowiadał. – I ja go słyszałem. Słyszałem zza uchylonych drzwi waszego Jana! A przecież wiedziałem, że umiera w szpitalu. I pomyślałem wtedy: „Boże, oni przesłuchują nawet umierających ludzi". I przestraszyłem się, co będzie ze mną.

Nawet przez myśl mi nie przeszło, że z drugiego pokoju puszczają mi głos z taśmy.

Życie – ciąg dalszy

Pavel Kohout, który trzy dni wcześniej wskazał panu Výbornemu podobieństwo między pracą pisarza a grabarza, przemawiał nad trumną.

Mówi dziś, że ten pogrzeb był symbolicznym końcem Praskiej Wiosny i początkiem zimy. Większość dawnych przyjaciół Procházki nie przyszła. Tym samym czeska elita podzieliła się na ogromną większość, która się poddała, i na mikroskopijną mniejszość, która siedem lat później stała się grupą „samozwańców i rozbitków z Karty 77".

Mówi też, że wielu artystów poczuło ulgę, kiedy dzień po dniu dowiadywali się o sprawie Procházki. Dzięki tym parszywym serialom mogli powiedzieć: „My z takimi ludźmi jak on nie będziemy się zadawać". I ta historia utwierdzała ich w przekonaniu, że należy jednak iść pod rękę z reżimem, co ułatwiało życie.

Kohout wyemigrował później do Austrii, gdzie napisał powieść o dziewczynce, która nie zdała do liceum teatralnego, więc zaczęła uczyć się na kacicę. W szkole dla katów nauczono ją, że powiesić człowieka może prawie każdy, ale sztuką jest powiesić go tak, aby w tym akcie zawrzeć całą historię cywilizacyjną ludzkości aż po rewolucję naukowo-techniczną. I żeby widzowie egzekucji nigdy nie pomyśleli, że mogliby znaleźć się na jego miejscu. I żeby sam skazany nie zdążył sobie uświadomić, że za chwilę zostanie zamordowany, i umierał z błogim uśmiechem na ustach.

Gdy jesienią 1979 roku Kohout chciał wrócić do Pragi, został na granicy czechosłowackiej wysadzony siłą z samochodu i wydalony do Austrii. Zaraz potem władze pozbawiły go czechosłowackiego obywatelstwa.

Grabarz Výborný umarł dziesięć lat po Procházce. Nie znalazł sobie równie pięknego miejsca. Pochowany został bliżej muru, z boku. Dołożono go do grobu wieloosobowego, gdzie leży razem z obcymi ludźmi.

Lenka została wyrzucona ze studiów i przez dwanaście lat pracowała jako sprzątaczka.

Iva, która zdała maturę, nie otrzymała od władz prawa do studiów wyższych. Przyjęto ją do pracy na lotnisku. Pakowała zestawy obiadowe dla pasażerów do plastikowych przegródek na tackach.

Z obiegu wycofano wszystkie książki ich ojca. Kohout napisał, że Procházka, jak wielu, miał zostać „zamilczany na śmierć”.

Spokój

W dziewięćdziesiąt dni po pogrzebie, w maju 1971 roku, odbył się Zjazd Komunistycznej Partii Czechosłowacji, który zaczął się od słów: „Pokonaliśmy chaos”.

To przemawiał prezydent republiki.

– Przez ostatnie dwa lata – powiedział – Komitet Centralny pod przewodnictwem towarzysza Husáka wykonał dzieło godne szacunku.

W imieniu artystów odetchnęła na mównicy aktorka Jiřina Švorcová, ekspedientka w serialu *Kobieta za ladą*: – Nareszcie!

– Wrogowie socjalizmu – mówiła dalej – rozpętali w 1968 roku problem tak zwanej absolutnej swobody twórczości artystycznej. Popierani aplauzem Zachodu, zaczęli w końcu wzbudzać w ludziach niewiarę w socjalizm jako podstawową zasadę życia.

Świstek

Kiedy trzymam przed sobą gruby scenariusz *Ucha*, a reżyser Kachyňa zachęca, abym go sobie przekartkował, ze środka wypada świstek.

– O, to pismo Procházki. Niech pan zobaczy, coś tam chyba napisał o *Uchu* – mówi.

Tak, napisał.

„Ta historia jest zmyślona. Rzeczy, które wydarzyły się naprawdę, były o wiele straszniejsze”.

Koncern ludu

Dziennikarze najlepiej sprzedającej się w postkomunistycznych Czechach gazety „Blesk” (Błyskawica) w 2000 roku opisali szczękę piosenkarki Heleny Vondráčkovej z zaznaczeniem, które zęby ma sztuczne.

W 2003 podali nawet numer sali sądowej, w której otrzymała rozwód.

W 2004 sfotografowali i opisali każdy śmieć z jej śmietnika.

W 2005 ogłosili listę operacji plastycznych, którym powinna się – ich zdaniem – bezzwłocznie poddać.

Między tym wszystkim donieśli:

„Prawda o moim dziecku” Vondráčková – Nareszcie ujawniamy!

Praga (*rep*) *– Tę straszną tajemnicę Helena Vondráčková* (*56*) *dusi w sobie całe lata. Wreszcie wyszła na jaw. Gdyby nie doszło do nieudolnego przerwania ciąży, do którego zmusił ją ówczesny niemiecki kochanek, Helena miałaby dziś dorosłą córkę lub syna! Minęły dziesiątki lat, a tej rany czas do dziś nie zagoił. Wciąż boli! Zawsze, gdy w wózeczku widzi maleństwo, ściska ją w gardle.*

Gdy ta straszna rzecz się zdarzyła, świat Heleny runął. Tekściarz Zdeněk Borovec napisał dla niej piosenkę Nie ma już dwóch małych skrzydełek *(czeską wersję amerykańskiego hitu* Killing Me Softly with His Song*):*

Przeszukaj wszystkie kąty w domu
Znajdziesz tylko cień
Nie ma już dwóch małych skrzydełek
Niemal tu były
Dokąd zbłądziły i gdzie są
Gniazdo jest puste
Łono ciche

[…] *Tak, ta piosenka jest o niej! To wiersz o tragicznym losie.* […]

O Helenie od lat krążą plotki. Że nigdy nie zależało jej na dzieciach, że zamiast być matką, wolała karierę i wyśpiewane miliony, że nie chciała, żeby ciąża zmieniła jej doskonałą figurę. Same bla, bla, bla! Tylko ona znała prawdę. I całe lata milczała. […]

Stało się nieszczęście!

Była wtedy na wycieczce w Ameryce, gdzie miała zaśpiewać dla rodaków. Pewnego dnia zrobiło jej się niedobrze i lekarz oznajmił: – Miss Vondráčková, będzie pani matką! – Cała się rozpromieniła. Wreszcie! Złapała za telefon, aby tę wiadomość przekazać swemu kochankowi Helmutowi Sickelowi, który został potem jej pierwszym mężem. Ale czekał ją zimny prysznic. – Dziecko? Teraz? Zwariowałaś! – ostro ostudził ją Helmut. – Heleno, bądź rozsądna! Mieszkam w Niemczech, ty w Pradze, byłyby problemy. To dziecko trzeba usunąć! – Reszty już nie słuchała. Ze łzami odłożyła słuchawkę. Rozpacz, żal, zamęt w duszy. Tylko Helmuta tak kochała! Bardziej niż siebie, bardziej niż swoje marzenia. I posłuchała.

I tylko lekarz napisał krótką
Notatkę urzędową
O kimś pierwsza wzmianka
Wzmianka ostatnia
Już nie jesteś dziewczyno matką
Już ptaszek nie śpiewa

– Aby nie narazić się na pomówienia i skazujące wyroki, nie poszła do szpitala. Niestety, wpadła w złe ręce i o odmiennym stanie nie było już więcej mowy – twierdzi jeden z najbliższych przyjaciół Heleny. […]

Pytaliśmy i w Slatiňanach, skąd Helena pochodzi, co o przypadku wiedzą starzy mieszkańcy. – To jest wielka tajemnica – mówią miejscowi. Ale więcej ani słowa. Nie chcą jątrzyć starych ran, zbyt swoją Helenkę kochają…

(Tekstu nie podpisał żaden dziennikarz).

Numer z „prawdą o Helenie” sprzedał się w rekordowym nakładzie. Mimo sprawy w sądzie, którą zainteresowana wygrała z „Bleskiem” mającym zapłacić jej odszkodowanie, redakcja wciąż uważa, że

Vondráčková jest kochaneczką ludu, w związku z tym „Blesk” ma prawo do demaskowania jej życia osobistego.

– Czym to się różni od praktyk komunistycznej Służby Bezpieczeństwa? – pytam.

– Wszystkim! – mówi jeden z dziennikarzy. – Po pierwsze w przeciwieństwie do SB wychodzimy naprzeciw społecznym oczekiwaniom. Po drugie przecież nasze wydawnictwo nie ma nic wspólnego z komunizmem, bo jesteśmy kapitalistycznym koncernem szwajcarskim.

Życie jest mężczyzną

Do reżyserki weszła w kożuchu.

Był 14 listopada 1989 roku, dość zimno. Komunizm miał się skończyć za miesiąc. Zza okularów, ciepłej chustki i futrzanego kołnierza nie wyłaniała się żadna znajoma twarz.

Rozebrała się, weszła do studia. Reżyser dźwięku poprosił ją o próbę głosu.

Zbladł i spojrzał na reżysera filmu: „Fero, oszalałeś!”.

Zaczęła się rozśpiewywać.

Przez dwadzieścia lat jej głos stał się szorstki, grubszy, ale nadal była w nim ona. – I, niestety, po tym głosie ją poznali – mówi Fero Fenič.

Asystent reżysera dźwięku chwycił reklamówkę z kanapkami, redaktor nagrania teczkę. Sprzątaczka złapała beret: „Dziecko mi zachorowało!”.

– Uciekali jak przed dżumą – opowiada reżyser. – Pan nie ma pojęcia, jaki straszny strach mieli w oczach. Czy po polsku też się mówi „straszny strach”? Uciekali ze studia jak szczury – dodaje.

Film *Zvláštní bytosti* opowiada o ostatniej nocy komunizmu. Tę noc Fenič wywróżył, bo zaczął kręcić w lutym 1989 roku, ale – jak mówi – ze strachu żaden z czeskich aktorów nie chciał zagrać głównej roli. Zagrali Polacy[10].

Ona zaśpiewała piosenkę pod napisy końcowe.

Marta Kubišová – do 1970 roku gwiazda piosenki. Śpiewa w trio z Heleną Vondráčkovą i Václavem Neckářem. Po 1970 – postać, na której widok ludzie przechodzą na drugą stronę ulicy.

Na zdjęciach z targów muzycznych MIDEM w Cannes w 1969 roku jest jeszcze szczęśliwa. Neckář mocno chwyta ją i Vondráčkovą w pasie, widać, że obie wydzierają się wniebogłosy.

1968. Zespół Golden Kids - Helena Vondráčková, Václav Neckář, Marta Kubišová (Otto Dlabola)

Na zdjęciu dwadzieścia jeden lat później jest przestraszona. Wygląda jak urzędniczka (listonoszka? sprzedawczyni?), której ktoś kazał stanąć na scenie. Spogląda jakby z obawą w obiektyw i ma za dużo siwych włosów.

Ale wróćmy do zdjęć z Cannes.

Rok, najdalej dwa po tym, jak Neckář chwyta ją i Helenę w pasie, wystąpiłaby na festiwalu w Sopocie. We trójkę zrobiliby furorę, Sopot ’70 oszalałby z radości. „Vondráčková, Kubišová i Neckář – słynne czeskie trio Golden Kids, które podbiło paryską Olimpię!” – zapowiadałby Lucjan Kydryński. Od tego momentu Marta byłaby u nas tak znana jak Helena.

Tak się jednak nie stało.

3 lutego 1970 roku Neckáře wezwano do dyrekcji Pragokoncertu. Dyrektor František Hrabal położył przed nim na biurku trzy zdjęcia wyrwane z duńskiego magazynu pornograficznego i poprosił, żeby potwierdził, że to jego koleżanka. „Pan się temu dobrze przyjrzy, panie Neckář. Jedna z tych dziewczyn to jest Kubišová. Sam pan rozumie, że

z taką artystką Pragokoncert nie może już współpracować. Jeśli chcecie jechać na tournée, pojedziecie z Vondráčkovą sami”.

„Pan wybaczy, panie dyrektorze. Pracuję z Kubišovą siedem lat, ale w takiej pozycji jeszcze nigdy jej nie widziałem. Może gdyby zadzwonić do jej męża…”.

„My was znamy! Dobrze wiemy, jak wy, artyści, się prowadzicie… Ja panu wyświetlę film porno, który Kubišová za tysiąc zachodnioniemieckich marek nagrała w jednej willi w Pradze! I wtedy na pewno pan ją rozpozna”.

Nie wyświetlił.

Zespół Golden Kids przestał istnieć. „Rudé právo” napisało, że Marta Kubišová wzięła udział w zdjęciach pornograficznych i nie może już być artystką socjalistyczną.

W czasach, kiedy w czechosłowackich albumach drukowano czarno-białe reprodukcje van Gogha, SB potrafiła doskonale podrobić duńską gazetkę porno: zdjęcia w tych samych kolorach, na takim samym papierze, tylko że z twarzą Marty.

Jeszcze rok wcześniej recenzenci w Paryżu pisali: „Marta, Helena i Vašek to socjalizm z ludzką twarzą”. Chwaliła ich Josephine Baker. Niestety, dwudziestoośmioletnia piosenkarka rozwścieczyła system.

Kiedy radzieckie czołgi wjechały na ulice Pragi, Kubišovą poproszono właśnie na nagranie ostatniej piosenki do serialu telewizyjnego *Piosenki dla Rudolfa III*. Program opowiadał o królestwie, w którym po śmierci króla panuje chaos, ale przybywa rycerz, wypędza zdrajców i poślubia królewnę. Królewna niskim głosem Marty Kubišovej śpiewa:

> Niech pokój zostanie z tą ziemią,
> Złość, zawiść, zazdrość, kłótnie i strach
> Niech przeminą, niech już przeminą.

Bajkowy program wyemitowano dwa razy. Piosenka do słów Petra Rady stała się hymnem. Radio, które jeszcze było opanowane przez ekipę Praskiej Wiosny, nadawało ją jako *Modlitwę dla Marty*. Ludzie zaczęli piosenkę śpiewać na ulicy, pomiędzy radzieckimi czołgami.

– Do dziś – opowiada Lenka Procházková – niektórzy, gdy słyszą *Modlitwę*, płaczą. Tak jak ja.

Nowy dyrektor radia zarządził, żeby nadawać tylko jeden utwór Kubišovej dziennie. Należało osłabić jej pozycję w nadchodzącym plebiscycie Złoty Słowik.

1968. Marta Kubišová (Otto Dlabola)

Wygrała go w 1968 roku. Złoty Słowik był najważniejszą nagrodą, którą piosenkarz mógł otrzymać od publiczności. W kategorii męskiej wygrywa go zawsze tenor, Karel Gott.

Zliczono głosy, Złotego Słowika ’69 w kategorii wokalistek, mimo osłabiania jej pozycji, i tak wygrała Marta.

Wtedy biuro konkursu odwiedził kierownik urzędu cenzury Edvard Švach, dawniej stalinowski prokurator, i pouczył, jak plebiscyt ma wyglądać. Należy połączyć kategorie damską i męską, wtedy Gott będzie miał przewagę także nad piosenkarkami. Jeśli i w tym przypadku Kubišová trafi zbyt wysoko, trzeba zniszczyć kartki pocztowe z głosami na nią, a podwoić głosy piosenkarki Pilarovej.

Połączono, podwojono. Gott był pierwszy, Marta zajęła miejsce siódme.

Słowiki zawsze wręczano uroczyście. W telewizji występowali zdobywcy pierwszych dziesięciu miejsc.

Cenzor poinstruował: Kubišovej nagrodę wręczy się w biurze, zaś na koncercie wystąpią wykonawcy do miejsca szóstego.

Pornofotki rozesłano do biur koncertowych, gazet, radia i telewizji. Neckář opowiada, że wysyłano je także wybranym osobom. Tym, które podejrzewano o wrogość do socjalizmu. Kiedy dyrektor prowincjonalnego domu kultury dostał kopertę bez nadawcy, z nagą Kubišovą w środku, od razu miał poczucie, że ktoś czuwa. Że i o nim coś wiedzą. I ostrzegają: jak będziesz niegrzeczny, możemy ci zrobić coś równie obrzydliwego.

Zniknęła.

Przez dwadzieścia lat radio i telewizja nie nadały ani jednej piosenki w jej wykonaniu. Szukała jakiejkolwiek pracy, ale Służba Bezpieczeństwa zadbała, żeby nie mogła znaleźć nic.

Wyjechali z mężem na wieś, do domu po jego rodzinie. Wieś nazywa się Slapy.

Słowo „Slapy” nie zawsze miało prawo pojawić się w mediach.

Dziennikarz Jiří Černý przeprowadził dla pisma „Melodie” wywiad z jazzową wokalistką, Evą Olmerovą, która wspomniała, że zatrzymała się

niedawno u znajomych w Slapach. Redaktor naczelny „Melodii” osobiście zamienił sformułowanie „w Slapach” na „nieopodal Štěchovic”. „Na Boga – mówił – uważajmy, żeby się nikt niczego nie doszukał. Štěchovice to miejscowość sąsiednia, a pozwoli nam spokojnie spać”.

Do Pragi Marta jeździła na rozprawy sądowe – pozwała dyrektora Pragokoncertu o zniesławienie. Sąd przyznał: rzeczywiście nie ma pewności, że na zdjęciach jest Kubišová. „Czy powódka nie chciałaby sfotografować się w identycznych pozycjach? Dla porównania fotografii i wydania ekspertyzy”. Jej mąż uważał, że oni tylko czekają na te zdjęcia, aby mieć prawdziwy dowód: tak, brała udział w sesji porno. Nie zgodziła się. Sąd orzekł przeprosiny, dyrektor wyraził żal i sprawę zamknięto.

Zorientowali się z mężem, że nie mają już żadnych oszczędności. – Boże, minęło kilka tygodni i nie było co jeść – mówi Marta.

Mąż, Jan Němec, reżyser filmowy, dowiadywał się w Slapach o pracę. Mieliby dla niego zajęcie traktorzysty. Dla niej byłaby praca w przetwórni przy ćwiartowaniu kur na kawałki.

Jak wiadomo, nie od razu po inwazji kraj zamienił się w getto.

Poniżony przez Rosjan szef partii, Dubček, odszedł ze stanowiska dopiero na wiosnę 1969 roku, a zanim zastąpił go Gustav Husák, zanim jego ekipa, narzucona przez Moskwę, zdławiła bezlitośnie wszystko to, czego sama nie wymyśliła, trwał okres przejściowy. Przez kilkanaście miesięcy jeszcze wiele było można.

Po najeździe Marta zdobyła Złotego Słowika ’68. Nagrała dla radia *Tajga blues ’69* – przejmującą piosenkę o „czułej tajdze” na cześć ośmiorga pracowników Uniwersytetu Moskiewskiego, którzy 25 sierpnia 1968 roku na placu Czerwonym protestowali przeciw najazdowi na Czechosłowację. Sześcioro na cztery lata zesłano do łagrów, dwoje zamknięto w szpitalu psychiatrycznym.

Pół roku po wkroczeniu bratnich wojsk wydała solową płytę. Dwa miesiące później Golden Kids zagrały premierę w praskim teatrze Rokoko. Rok po inwazji Marta zdobyła jeszcze nagrodę na festiwalu piosenki w Jugosławii.

Kiedy pod koniec 1969 roku zaczęła się „normalizacja”, emigracyjny poeta i śpiewak Karel Kryl zdefiniował ją tak: „Towarzysze Husák i Biľak wydali wyrok śmierci na czeską kulturę i zrobili z niej gulasz”. Niepotrzebny już był okupant. „A w mordę waliło nas gustapo” – mówił Kryl. „Gustapo” to słynna, wymyślona przez niego zbitka słowna na cześć Husáka.

Z jego powodu (*husák* znaczy „gąsior”) zmieniono nawet nazwę teatru w Brnie. Z *Husa na provázku* (Gęś na sznurku) na *Divadlo na provázku* (Teatr na sznurku).

Do Marty zaczęły nadchodzić anonimy: „Pani Kubišová, śpiewa Pani kurewskie pieśni, które niszczą moralność ludzi”.

Śpiewała piosenki Boba Dylana czy Arethy Franklin z czeskimi tekstami.

„Zachodni przemysł rozrywkowy wpływa na rewizjonistyczne postawy w Czechosłowacji. Przeciwnik może swoją ideologiczną dywersję systematycznie stopniować właśnie za pomocą hitów. Używając zachodnich szlagierów, doprowadzić do postaw apolitycznych, by dalej demoralizować młodzież, a tym samym stworzyć hołotę, która potem poprowadziłaby akcję przeciw socjalistycznej władzy” – analizowała rolę Marty Kubišovej NRD-owska gazeta „Neues Deutschland”.

Ludzie najczęściej uciekają przed zmartwieniami w przyszłość. Wyobrażają sobie na drodze czasu linię, poza którą ich dzisiejsze zmartwienie przestaje istnieć. Teresa, żona doktora Tomasza, bohaterka *Nieznośnej lekkości bytu* Kundery, nie widziała przed sobą żadnej takiej linii. Pocieszyć ją mogło tylko spojrzenie wstecz.

– Ze mną było źle – wspomina Marta. – Bo nie pocieszało mnie nic, ani przyszłość, ani przeszłość.

Zupełnie nic.

Zaszła w ciążę. Zbyt denerwowała się w sądzie. Poroniła w ósmym miesiącu, lekarze uratowali ją podczas śmierci klinicznej.

– Pani dziecko zabił stres – powiedzieli, gdy otworzyła oczy.

– Jakie dziecko? Jaki stres?, pomyślałam. Pamiętałam tylko jedną rzecz: coca-cola stoi na parapecie za oknem i chcę się jej napić. Coś wyczyściło mi mózg. Potem, gdy miałam mówić o przeszłości, robiłam uniki, bo nie pamiętałam nic i wypadałam niewiarygodnie. Trauma powoli mijała, ale i dziś trzeba mi wszystko powtarzać dwa razy, bo nie pamiętam. Oprócz tekstów piosenek.

Wracała do Pragi. Chodziła po mieście bez celu. – Gdy się chodzi szybko, myśli nie są tak natrętne – wyjaśnia. W tym samym czasie tramwajem numer siedemnaście tam i z powrotem jeździł po Pradze Bohumil Hrabal. Po przesłuchaniach w urzędzie bezpieczeństwa nie chciał być w domu, aby znów nie mogli go zastać. W tramwaju obmyślał, jak odejść ze świata.

Ona włóczyła się po Pradze z przeczuciem: – Coś na mnie spadnie, jakiś balkon, gzyms albo chociaż doniczka. Jakiś czas temu gzyms zabił kobietę.

W Pradze jest dużo starych domów – mówiłam sobie. – Balkony powinny czasem spadać. Ale szczęście we wszystkim mnie omijało[11].

Szczęście nie omijało Heleny.

Wygrała festiwale w Splicie, Bratysławie, Stambule, Knokke, Bukareszcie. Ukoronowaniem było Grand Prix Sopot ’77 za *Malovaný džbánku*. Piosenkę skomponował Jindřich Brabec, autor *Modlitwy dla Marty*.

3 listopada 1994 roku historyk Timothy Garton Ash siedział w sali koncertowej Pałacu Lucerna. Napisał później:

„Dziś gwiazdami wieczoru są Golden Kids, grupa pop z lat sześćdziesiątych, która nie występowała razem od niemal dwudziestu pięciu lat. Gdy śpiewają *Suzanne*, panuje całkowita cisza. Cisza pełna napięcia i żalu. Tego wieczoru na scenie gra się coś jeszcze – historię Marty i Heleny. Marta Kubišová powróciła na estradę podczas aksamitnej rewolucji – była to chwila pełna entuzjazmu i smutku. Wzruszona wyszeptała do mikrofonu słowa Dylana: »Časy se mění«. »The Times They Are A-Changin’«”.

Ash dalej: „Helena Vondráčková poszła po 1969 roku całkiem inną drogą. Nadal występowała i można ją było oglądać w telewizji. Kolaborowała z reżimem. Teraz ich drogi znów się spotkały. Czy cnota zostanie nagrodzona? Czy to już nie ma żadnego znaczenia?

Helena, wysoka blondynka, nadal często występująca, wydaje się mieć przewagę. Jest młodsza, bardziej profesjonalna i publiczność zna ją z telewizji. Może też czuje się z nią bardziej swojsko, gdyż większość również kolaborowała, a przynajmniej szła na kompromisy, by zachować pracę. Marta, starsza, niższa, czarnowłosa, jest odrobinę powolniejsza, a w jej głosie wyczuwa się nerwowość. Dostaje kwiaty. A ludzie klaszczą głośno i długo, i wszyscy wiedzą, że nie dziękują jej za śpiewanie, tylko za dwadzieścia lat milczenia”.

Dla Heleny 1994 to był piękny rok. Piękny, bo po tylu latach wystąpiła znów z Martą. I piękny, bo znów sama zaczęła nagrywać.

Gdy w Czechach rozpoczęto dekomunizację, przed Heleną rozwarła się pustka.

– Do wytwórni płytowych i rozgłośni przyszli nowi, młodzi ludzie. Mówili mi: pani Vondráčková, musi pani przynieść taśmę demo. Posłuchamy, jak pani śpiewa, i może coś zaproponujemy. Nie mogłam tego robić z szacunku dla siebie – mówi i milknie.

Przez cztery lata nie wydała nic.

Po chwili pyta:

– Czy w Polsce o Maryli Rodowicz też pisali, że kolaborowała z reżimem?

– Nigdy.

– Czego się boisz najbardziej? – pyta.

– Nie wiem – mówię. – Może chorób.

– Bo mnie w ostatnim czasie w zły stan psychiczny wprawiają ludzie, którzy za pieniądze są gotowi zrobić wszystko. Budzą mój strach.

Przez lata Helenę łączono z komunistycznym premierem Lubomírem Štrougalem. Plotka mówiła, że mieli wieloletni romans.

Inna, że Štrougal kupił Vondráčkovej kożuch, a kiedy dowiedziała się o tym jego żona, butelką od szampana wybiła Helenie wszystkie zęby. Od tego czasu ma je podobno z drogiej porcelany, zapłacił za nie – rzecz jasna – Štrougal.

Po 1989 roku dostała pocztą pierwszy anonim, zaczynający się od „Štrougalko…".

„Sporo anonimów – napisała Helena w swojej ostatniej książce – częstuje mnie przezwiskiem *Štrougalka, Štrougalova milenka* albo *stará Štrougalová"*.

„ŠTROUGALKO, TERAZ KOLEJ NA CIEBIE!"

– Byłaś jego kochanką? – pytam.

– Nawet go nie poznałam. Znałam tylko z dziennika telewizyjnego. Długo myślałam, skąd wzięła się ta plotka, i nagle oświecił mnie list. Napisało do mnie pewne małżeństwo z miejscowości Příbram. Sugerowali, abym zwróciła uwagę na córkę Štrougala, Evę Janouškovą. Ona była bardzo do mnie podobna: wysoka, nosiła się tak jak ja, miała identyczną fryzurę, a nawet jeździła takim samym samochodem w identycznym kolorze. Zielonym sportowym fiatem. Była bardzo związana z ojcem, chodziła z nim na przyjęcia, a na pożegnanie w publicznych miejscach całowali się w policzek. Poznałam ją po latach i przywitała mnie słowami: „Witam mojego sobowtóra". Oto cała tajemnica.

Ludvík Švábenský, muzyk jazzowy i dawny narzeczony Heleny (siedem lat), wspomina, że gdy chodził z nią na koncerty i bankiety, czuł się strasznie. Nie wiedział, kim właściwie jest. Narzeczonym, ochroniarzem… W oczach tych wszystkich partyjniaków – nikim, bo traktowali go jak powietrze. – Bardzo chcieli błyszczeć przy Helenie, oblegali ją do granic przyzwoitości, a ona szeptała: „Ludku, ratuj!".

Do baru hotelu Praha przyszła już jako mężatka, wszyscy znali Helmuta Sickla, wiedzieli, że jest w tym niemieckim muzyku bardzo zakochana, a mimo to sekretarz od kultury Komunistycznej Partii Czechosłowacji Müller zaczął kłaść się na fortepianie, przechylać w stronę Heleny tak, by ją objąć, i głośno sapał. Towarzysz miał jedno marzenie: rozmawiać z Heleną.

A ona była tylko miła.

Wszyscy widzieli, że się uśmiecha.

Helena uśmiecha się zawsze.

Ojciec Marty, kardiolog, kierował szpitalem. Maturę zdała w Poděbradach, marzyła o medycynie albo filozofii. Szkoła wręczyła jej pisemne polecenie, że „ma obowiązek zapoznać się z zawodami robotniczymi”. Na uczelnię wyższą oddeleguje ją zakład pracy, jeśli zdobędzie pozytywną opinię. Był 1959 rok, rozpoczęła pracę w hucie szkła. Najpierw biegała do knajpy po piwo dla hutników, potem wyszukiwała szklanki i butelki, które nie trzymały norm. Przez trzy lata upominała się o studia.

– Usłyszałam od dyrektora – opowiada – że studia wyższe są dla klasy robotniczej, a ja przecież nie mam z tą klasą nic wspólnego. Uciekałam więc w śpiewanie.

Zgłaszała się na konkursy muzyczne i wygrywała. Została miejscową gwiazdą, najpierw śpiewała w kawiarni.

Gdy ojciec został ordynatorem, mieszkali w szpitalu. Kiedy skończył pięćdziesiąt lat, odszedł do innej kobiety. Kubišom zaproponowano mieszkanie wdowy po podpułkowniku Mašínie. Rozstrzelali go hitlerowcy, jego dwaj synowie przed śmiercią Stalina uciekli z kraju i wstąpili do amerykańskiej armii. Wdowę postanowiono ukarać wyrzuceniem z mieszkania. Mama Marty oznajmiła w komitecie partii, że nie wprowadzi się po pani Mašínovej. Sama znalazła wolne mieszkanie naprzeciwko - wdowy, na tym samym piętrze, i zaprzyjaźniła się z pułkownikową.

– Tak, mama ma siłę charakteru – przyznaje Marta. – Ale to przypadek, że właśnie ja zaśpiewałam *Modlitwę*. Jak ktoś mi dziś mówi, że jestem jakimś tam symbolem, to uciekam. Przecież *Modlitwę* mogła nagrać jakakolwiek piosenkarka. Dziś też politycznie zaangażowana nie jestem. Mam tylko przeżycia. Wiedziałam, co jest czarne, co białe, i tym się zawsze kierowałam.

Marta:

– Jan chciał wyjechać. Wyłącznie do Ameryki. Wszystko go tu rozczarowało. „Dobrze śpiewasz jazz”, mówił. A ja nie chciałam śpiewać

w amerykańskiej knajpie, wierzyłam, że tutaj szybko wrócę na estradę, bo Ruscy za dwa lata pójdą do domu.

I czekałam dziesięć razy dłużej, niż myślałam.

Zostałam. Havel został, tylu zostało.

Zażądałam rozwodu.

Rozwód wlókł się długo, miałam poczucie, że powinno mnie nie być.

Ja już się bałam nawet czekać na tramwaj. Czułam, że wysiądzie z niego maszynista i powie: „Pani Kubišová, nie ma pani prawa wsiadać! Ten tramwaj nie jest dla pani”.

Raz siedziałam sama w domu. Pomyślałam: „Odkręcę gaz”.

Przecież nie mogę urodzić dziecka.

Nie mogę śpiewać.

Rozwieść się nawet normalnie nie mogę!

Jestem nieporozumieniem.

I wtedy zadziałała siła. Ona pochodzi od zwierząt. Spojrzałam na moje psy. „Boże – pomyślałam. A one?” – i ocknęłam się.

Kiedy Hrabal tak jeździł siedemnastką po Pradze, też czerpał siłę ze zwierząt. Czytałam, że z łabędzi. Bo siedemnastka jeździ wzdłuż Wełtawy.

Znalazła uspokajającą pracę. Miała rozgrzane żelazko ze specjalnym nożem i rolkę igelitu. Kroiła według wzoru, powstawały figurki. Składała misie z plastiku. Osobno leżały rączki lewe, osobno prawe. Nóżki leżały na jednym stosie, bo nie były ani prawe, ani lewe. Musiała je mocno wciskać w ciało misia i bolały ją od tego palce.

– Sześć lat kroiłam albo wciskałam. A spółdzielnia lalkarska, która zechciała mi dać pracę, nazywała się „Kierunek”.

Pracowała sama w domu. Zerkała w mały telewizor. Praca nie była upokarzająca.

Córka Jana Procházki Lenka dwanaście lat sprzątała teatr. Zmuszono ją, aby zawiesiła studia dziennikarskie na wydziale radiowym. Aktorzy, których Lenka znała z warsztatów dykcji, omijali ją zakłopotani, gdy trzymała ścierkę z wiadrem. I Lenka mówi, że jest im za to wdzięczna. A dla Marty, na stołku w kuchni, nikt nie musiał zmieniać trasy.

Kardynał Miloslav Vlk w ramach normalizacji osiem lat mył wystawy sklepowe.

Filozof Jiří Němec pięć lat był nocnym stróżem.

Pisarz Karel Pecka sześć lat pracował w kanałach miejskich.

Krytyk Milan Jungmann dziesięć lat czyścił okna.

Dziennikarz radiowy Jiří Dienstbier trzy lata był palaczem w kotłowni.

Dziennikarz Karel Lánský dwadzieścia lat kładł glazurę.

Członek Akademii Nauk, historyk Jaroslav Valenta został korektorem w drukarni.

Legendarny olimpijczyk Emil Zátopek, najlepszy lekkoatleta przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych, za publiczną wypowiedź przeciwko sowieckiej okupacji został zmuszony do pracy w kopalni uranu.

Dziennikarka Eda Kriseová trafiła na listę autorów, którzy nie mają prawa publikować, ale dzięki protekcji została bibliotekarką. Pracowała sama, żeby nikt nie był zmuszony z nią rozmawiać. Popołudniami chodziła więc mówić do chorych w szpitalu psychiatrycznym.

– Dwie siostry obsługiwały siedemdziesięcioro pacjentów i nie dawały rady. Nikt z tymi ludźmi nie rozmawiał, pomyślałam: „Są bardziej zrozpaczeni niż ja, pomogę im”. Ale to oni pomogli mnie. Otworzyli przede mną świat opowieści. Dzięki chorym napisałam potem dwa zbiory opowiadań. Uświadomiłam sobie, że szpital dla psychicznie chorych jest w Czechosłowacji jedynym normalnym miejscem, bo wszyscy mogą tam bezkarnie mówić, co naprawdę myślą.

Marta, tak jak Eda, nie czuje żalu.

A żal za możliwościami, które już się nigdy nie powtórzą?

To, co robiła przymusowo, nie było stratą.

– Człowiek jest mądrzejszy – mówi Marta. – Nie dlatego, że myje okna, ale dlatego, że żyje życiem, którego by nie dotknął, gdyby był tylko artystą.

– Doczekałam się dziecka – dodaje. – A gdybym została przy śpiewaniu, pewnie nigdy bym go nie miała.

Wyszła drugi raz za mąż. Też za reżysera, też za Jana. Oszczędzała się jak trzeba. Uważała na stresy. Urodziła córkę. Mąż był szczęśliwy, zaczął

malutką Katarzynę nazywać Kačenką.

– Córeczka miała już półtora roku – opowiada Marta – gdy w Wielką Sobotę mąż zadzwonił do domu, że nie wróci na noc. „Kačence urodziła się siostrzyczka”, powiedział. Tak więc od dwudziestu dwóch lat jestem szczęśliwie rozwiedziona.

Może Marta ma rację. Może *Modlitwę* mogła zaśpiewać każda inna piosenkarka.

Jednak tylko ona z piosenkarzem Jaroslavem Hutką dziesięć lat po *Modlitwie* bez strachu napisała list do Johnny’ego Casha.

Miał występować w Lucernie tego dnia, kiedy odbywał się proces niesłusznie aresztowanego Ivana Jirousa, zwanego Świrusem, guru zespołu The Plastic People of the Universe. Był to najbardziej prześladowany, najbardziej sprośny, najbardziej legendarny i najbardziej niezłomny zespół rockowy w historii środkowej Europy. Kubišovej i koledze chodziło o to, żeby Cash powiedział to Zachodowi.

Z gwiazd tylko ona podpisała Kartę 77.

Karta powstała z inicjatywy Václava Havla po procesie muzyków Plastic People.

Legenda głosiła, że na scenie uprawiają seks. W rzeczywistości uprawiali rock psychodeliczny. Na jednym z koncertów rozwiesili na sznurkach dziesiątki wędzonych śledzi, z których na ludzi kapał olej.

W epoce neostalinizmu ich teksty w stylu: „Wczoraj rano przy niedzieli strasznie jajca mnie swędzieli” nabierały specjalnej wagi[12].

Traktowali publiczność jak nikt dotąd.

Hitem piosenki niezależnej była jednowersowa *Zácpa* (Zatwardzenie).

Powstali w Pradze, w październiku 1968 roku, dwa miesiące po inwazji. Zaśpiewali: „Nikt nigdy donikąd nie doszedł…” – i z każdym występem coraz bardziej rozwścieczali władzę. Zarzucono im brak szacunku dla ludu pracującego i przygotowano serię prześladowań.

Oddziały specjalne likwidowały nawet budynki, w których wystąpili. W Rudolfovie koło Czeskich Budziejowic, gdzie w 1974 roku dali koncert, zmotoryzowany oddział milicji pędził przed sobą jak stado setkę widzów,

na których milicjanci najeżdżali samochodami. Zespołowi i fanom zarzucano chuligaństwo. Przychylny prawnik uświadomił im, że chuligaństwo – według prawa – musi zaistnieć w miejscu publicznym. Wielbiciele Plastikowych rozpoczęli więc falę zakupów prywatnych posiadłości. Były to stare wiejskie chałupy i stodoły, w których można było występować. Najważniejszą płytę nagrali w stodole wiejskiego domu Václava Havla.

Dom nieopodal Czeskiej Lipy Służba Bezpieczeństwa spaliła trzy tygodnie po ich występie. Dom w Rychnovie, gdzie poza koncertami mieszkała rodzina Princów, przez dwa lata władza usiłowała oficjalnie przejąć. Kiedy tylko to się udało, natychmiast do gospodarstwa wkroczył oddział specjalny. – Jeszcze wynosiliśmy rzeczy – opowiadała pani Princová – a oni już wiercili dziury w ścianach, żeby włożyć tam ładunki wybuchowe. Zanim zdążyliśmy wyjechać za róg, dom wyleciał w powietrze.

Jednak w swojej postawie wobec reżimu Plastikowi od razu stali się zaprzeczeniem postawy Szwejka.

Świrus ogłaszał w drugoobiegowych tekstach, że twórcy oficjalnej kultury to przestępcy: „Grać Bacha dla turystów z RFN, a nie protestować przeciwko temu, że Plastikowi nie mają prawa zagrać *Zácpy*, to przestępstwo. Wystawiać Szekspira, gdy nie ma się prawa wystawiać Havla, to przestępstwo”.

Byli sądzeni jako pasożyty.

Bronili prawa do śpiewania tego, co chcą.

Prokurator zalecił, żeby ich nie strzyc i nie golić, i takich zapuszczonych – jako publicznego wroga – pokazać w telewizji. W drugim dniu rozprawy Václav Havel poruszony wyszedł z sądu i nie mógł myśleć o niczym innym. Na Malej Stranie spotkał znanego czeskiego reżysera, który spytał, skąd wraca. „Z procesu undergroundu” – odparł. Reżyser spytał, czy chodziło o narkotyki. Havel usiłował mu objaśnić istotę rzeczy. Reżyser pokiwał głową i powiedział: „A co nowego poza tym?”. „Może jestem dla niego niesprawiedliwy – napisał po latach prezydent – ale wtedy

ogarnęło mnie gwałtowne uczucie, że ten gatunek ludzi należy do świata, z którym nie chcę mieć już nigdy nic wspólnego”.

Jednak: „W różnych środowiskach od razu zrozumiano, że w wolności tych ludzi zagrożona jest wolność wszystkich” – powiedział potem Havel.

Odważna inteligencka publiczność, która zaczęła przychodzić na rozprawy Plastikowych, była zwiastunem Karty 77. Intelektualiści, odrzuceni przez system, pozbawieni możliwości rozwoju, a nawet dostępu do bibliotek, stworzyli opozycyjne środowisko. Kartę najpierw, w grudniu 1976 i styczniu 1977 roku, podpisały dwieście czterdzieści dwie osoby, ostatecznie w ciągu następnych lat – prawie dwa tysiące.

Karta była manifestem. Brała w obronę ludzi pozbawianych przez komunistów pracy i zmuszanych do wykonywania poniżających dla nich zawodów.

Była dowodem na siłę bezsilnych.

Autorzy tekstu nadali rzeczom właściwe nazwy. „Ofiarami apartheidu” nazwali tysiące osób, którym odmawia się pracy w ich zawodach. „Setkom tysięcy obywateli odmawia się wolności od strachu, gdyż zmuszeni są żyć w ciągłym niebezpieczeństwie, że jeśli wyrażą własne poglądy, utracą możliwości pracy”.

Przez wszystkie lata co kilka dni wysyłali władzom w kraju i za granicą listy, protesty i petycje. W 1978 roku powołali Komitet Obrony Niesprawiedliwie Prześladowanych (VONS).

Pierwszymi rzecznikami Karty 77, którzy reprezentowali ją na zewnątrz, gwarantowali prawdziwość tekstów, które były publikowane jako teksty Karty, byli filozof Jan Patočka, Václav Havel oraz profesor Jiří Hájek, podczas Praskiej Wiosny minister spraw zagranicznych.

Marta potem także została rzeczniczką Karty 77.

Havel został ojcem chrzestnym Kačenki.

Wiedziała, że najważniejsze jest dziecko. Musi zapewnić córce normalne życie. Był początek lat osiemdziesiątych, gdy wróciła ze wsi do Pragi. – Zupełnie niespodziewanie dla siebie znalazłam dobrą pracę – mówi. Została referentką w Wydziale Rozbudowy Stołecznego Miasta Pragi. Na dziesięć

lat. Mama sprzedała trochę pamiątek rodzinnych, brat przysyłał jakieś sumy z Kanady, dokąd wyjechał w 1968 roku.

Pod domem najczęściej parkowały dwa samochody z ludźmi w środku. Łatwo było się zorientować, gdzie mieszkają najbardziej znani działacze opozycji, bo ich domów pilnowały zawsze dwa samochody. W Pradze opowiadano, że profesor Hájek biegał każdego ranka w parku między drzewami, gdzie samochód nie mógł już się wcisnąć. SB zakazała więc profesorowi ćwiczeń fizycznych na świeżym powietrzu.

Ona zawsze zabierała z domu do pracy szczoteczkę i pastę do zębów. Gdyby na komisariacie musiała zostać na noc.

– Zatrzymywali mnie często około czternastej, bo o piętnastej Kačenka wychodziła z lekcji, a szkołę zamykano. „O! Właśnie teraz pani córeczka kończy lekcje”, stwierdzał zadowolony esbek. Nieraz specjalnie trzymali mnie do osiemnastej i ta biedna nauczycielka chodziła z dzieckiem trzy godziny wokół szkoły.

Marcie błyszczą oczy.

– Jezu! – mówi. – Byłam zawsze ostatnią matką w szkole. Stałam się już na pół szalona. Gdy nie mogłam tego znieść, mówiłam do Havla: „Ty im powiedz! Powiedz im, że ja już od dawna żadnych protestów nie podpisuję. Że chcę mieć spokój”.

Zaciąga się osiemnastym dziś papierosem.

– Zna pan moją piosenkę *Życie jest mężczyzną*?

Za Vondráčkovą i Neckářem od trzydziestu lat wlecze się pretensja: występowali, gdy ich przyjaciółka była artystką w likwidacji.

Helena: – Oburzano się, że pracujemy. Trzeba mieć wyobraźnię: ja miałam osiemnaście lat, Vašek dwadzieścia trzy, a Marta skończone dwadzieścia siedem i męża. Przecież nie mogłam w wieku osiemnastu lat usiąść na chodniku i żebrać. Ja tak marzyłam o śpiewaniu!

Václav: – Mówią, że nic nie zrobiliśmy w jej sprawie. Nieprawda. Byliśmy we wszystkich możliwych urzędach. Dotarliśmy z Heleną nawet do kancelarii prezydenta Svobody. Pracowała tam jego córka (była żoną

ministra kultury) i powiedziała, że nic się nie da zrobić, bo karty są rozdane tak, jak są rozdane.

Helena: – Czy mieliśmy przez cały komunizm i po nim przed każdym naszym występem wyciągać z kieszeni kartkę i pokazywać publiczności: „Oto nasze prawo do życia?!”.

– Kartkę?

– List – mówi Neckář. – Marta napisała do nas list. Chciała nam umożliwić życie. Czarno na białym.

„Moje Drogie Dzieci, Helenko i Vašku! Wybaczcie mi, że wszystko, co chciałabym Wam powiedzieć, piszę, ale jest to lepsze, bo ktoś kiedyś mógłby Wam zarzucać, że nie byliście ze mną solidarni. Zachowaliście się wobec mnie fantastycznie, mało kto by się z takiej strony pokazał. Róbcie własny program beze mnie. Będę teraz stawała w sądach, na wyjaśnieniach, i niemożliwe, abym występowała, jakby się nic nie stało. Skoro możecie pracować, pracujcie. Dzieci Moje, możliwe, że będziemy kiedyś mogli to wszystko powtórzyć, ale na razie sen o »niezwyciężonej trójce« musimy odłożyć na później.

Wasza Marta.

W Pradze, 25 marca 1970 roku”.

Aby osłabić siłę Karty 77, władza zorganizowała kontrakcję. Nazwano ją potem Antykartą. Dokument ten potępiał dysydentów i miał odstraszyć zwyczajnych ludzi od jakiejkolwiek ochoty na kontakty z „wrogami socjalizmu”.

Do Teatru Narodowego w Pradze zwoływano intelektualistów, artystów i pisarzy z całego kraju. Każdego dnia „Rudé právo” ogłaszało nazwiska setek osób podpisujących się pod deklaracją lojalności. Piosenkarzy i piosenkarki wezwano do Teatru Muzycznego na piątek, aby w sobotę, 5 lutego 1977 roku, w wydaniu o największym nakładzie, wszyscy mogli o nich przeczytać. Nazwisko wybitnego tłumacza czy architekta nie miało takiej siły jak nazwisko piosenkarza.

Przemówił Karel Gott.

Czeski Presley i Pavarotti zarazem.

Uwielbiany w Niemczech. Za płytę z niemiecką wersją piosenki o Pszczółce Mai Karel Gott dostał od firmy Polydor pięć Złotych Płyt (1 250 000 sprzedanych egzemplarzy).

W Czechach nie tylko wygrał trzydzieści socjalistycznych Złotych Słowików i wszystkie kapitalistyczne. Także przez cały kapitalizm zdobywał pierwsze miejsce w najpopularniejszej ankiecie muzycznej kraju[13]. Lata dziewięćdziesiąte zaczął triumfalnym tournée, co – jak złośliwie zauważają prawicowe pisma – wymyka się rozumowi.

Wtedy, w 1977 roku, powiedział, że ci, którzy tu przyszli „chętniej śpiewają, niż mówią, są jednak sytuacje, gdy śpiewać to za mało".

Podziękował władzy za „przestrzeń do pracy artystycznej". Wykonawcy podpisali deklarację: „Jako artyści tego kraju chcemy zrobić wszystko, aby jeszcze piękniejszymi melodiami przyczyniać się do tego marszu ku szczęśliwemu życiu w naszej ojczyźnie".

„W imieniu socjalizmu" Antykartę podpisało siedemdziesięciu sześciu artystów narodowych, trzystu sześćdziesięciu zasłużonych i siedem tysięcy zwyczajnych.

Po latach mówią, że żadnemu z nich Karty 77 nie dano do przeczytania. Protestowali przeciwko czemuś, o czym nie mieli żadnego pojęcia.

Dziś dla mediów podpisanie Antykarty jest pociągającym tematem. Wciąż nie dają artystom ani na chwilę zapomnieć o przeszłości. Renáta Kalenská, autorka czeskich *Rozmów na koniec wieku* (drukowanych w „Lidovych novinach"), rozmawiała z piosenkarzem Jiřím Kornem:

„– Podpisał pan kiedyś jakąś petycję?

– Podpisałem.

– Jaką?

– Kartę.

– Naprawdę? Miał pan z tego powodu problemy?

– Nie. Żadnych problemów. Właśnie odwrotnie. Po prostu… Gdy teraz pani mówi o tych petycjach, oni raz jedną taką zrobili…

– Myśli pan o Antykarcie?

– No, no, no. Tak, ją podpisałem.

– A więc nie Kartę, tylko Antykartę?

– Tak, Antykartę.

– A dlaczego?

– Dlatego, że nic innego mi nie zostawało, jeśli chciałem pracować”.

Wypowiedź Korna tłumaczono jego nie tylko artystycznym, lecz także typowo szwejkowskim – a więc świadomym – roztargnieniem. Postawa Szwejka nakazuje bowiem przeżyć. Pierwsze w lutym 2002 roku weekendowe wydanie popularnego czeskiego dziennika „Mladá fronta dnes” rozpoczyna dyskusję, dlaczego Czesi nie znoszą bohaterów. „Przed wiekami był to naród uważany za bandę uzbrojonych radykałów. Dlaczego dziś naszym narodowym symbolem jest Szwejk?” – pyta redakcja i odpowiada: „Bo wiemy, że heroizm jest możliwy, ale w filmach. A nikt nie żyje w próżni”.

Przy tej okazji przypomniano eseje Josefa Jedlički (nieżyjącego filozofa i redaktora Radia Wolna Europa) o czeskich typach literackich: „Szwejk niczego nie szanuje, oprócz samego życia. Ewentualnie jeszcze oprócz tego, co życie czyni wygodniejszym, przyjemniejszym i bezpiecznym”. Istotą tej postawy jest całkowity brak szacunku dla ludzkich poczynań czy instytucji. Taki człowiek zupełnie nie dba o to, jak wypadnie przed innymi. „Dlatego dla Szwejka żadna cena, jakiej od niego zażądają za możliwość przeżycia, nie będzie zbyt wielka” – dodaje Jedlička.

Myśliciele się upierają: „On nie jest bezwiednym klownem”.

Szwejk – filozof przebiegłej uległości.

Jednocześnie – wzorzec przystosowania.

– Szanowny Panie Husák, dlaczego ludzie zachowują się tak, jak się zachowują? – spytał Havel pierwszego sekretarza Komitetu Centralnego w 1975 roku. Wysłał mu list. Pisał go dwa tygodnie, powstał esej o moralnym upadku społeczeństwa.

Sam odpowiedział w nim na swoje pytanie: „Pcha ich do tego strach”.

Jednak nie strach w rozumieniu potocznym: „Większość ludzi, których zdarza się nam widywać, nie trzęsie się ze strachu jak osika – sprawiają raczej wrażenie zadowolonych i pewnych siebie”.

Havlowi chodziło o strach w sensie głębszym. „O bardziej lub mniej świadomy udział w zbiorowej świadomości trwałego i wszechobecnego zagrożenia”; „o powolne przyzwyczajanie się do tego zagrożenia”; „o coraz bardziej uważane za oczywistość opanowywanie różnych form dopasowywania się, jako jedynego skutecznego sposobu samoobrony”.

Kiedy latem 1968 roku Havel był w Stanach, spotkał się tam z czeskim pisarzem Egonem Hostovskim, który wyemigrował zaraz po komunistycznym puczu w 1948 roku. Hostovský powiedział mu, że wyemigrował sam przed sobą.

Tak strasznie się bał tego, co mógłby zrobić, gdyby został.

Artystom, których nazwiska widniały na łamach „Rudego práva”, redakcja „Lidovych novin” zadała pytanie: Czy myśli pani/pan, że podpis złożony pod Antykartą jakoś naznacza pani/pana osobę w życiu publicznym?

Muzyk Petr Janda odparł: „Nie sądzę. Wydaje mi się, że nie miałem w życiu być żadnym bohaterem”.

Słowacki komik i aktor Július Satinský: „Zupełnie nie naznacza. Cieszę się, że było nas wielu i że nie wiedzieliśmy, o co chodzi”.

Oscarowy reżyser Jiří Menzel (*Pociągi pod specjalnym nadzorem*): „Nie mam takiego wrażenia. Ale jeśli chciałby mnie osądzić na przykład pan Havel, będę się czuł naznaczony”[14]. Oczywiście, kryje się w tej odpowiedzi retoryczny chwyt. Wiadomo powszechnie, że Havel jest daleki od potępiania kogokolwiek.

Weźmy Gotta.

Na podobne pytania odpowiada: „Ale przecież naród nie ma mi za złe, że byłem jednym z największych dostarczycieli dewiz w tym kraju. Porównują mnie z kilkoma fabrykami”.

Mówi, że był wtedy zmuszony wystąpić w teatrze, ale nie wiedział, o co dokładnie chodzi. Dopiero potem zobaczył w telewizji, jak całe wydarzenie zostało skomentowane, zmontowane i nabrało nowego znaczenia.

„Nie padło tam jednak – broni się Gott – ani razu określenie »partia komunistyczna«”.

Dlaczego jednak poszedł?

„Oczywiście nie trzymali mi noża na gardle – wyjaśnia dalej. – Tak między wierszami zrozumiałem, że muszę iść, bo inaczej….

– …inaczej już pan nie zaśpiewa… – dodała dziennikarka.

– Ale to jest tak, jak dziś – odparł Gott – gdy się nie idzie pod rękę z tym, co jest jedynie słuszne. Przecież i w innych reżimach, jeśli nie dotrzyma się kroku temu, co jest jedynie słuszne, też można źle skończyć. Przyczyn śmierci Monroe, Lennona, Morrisona i innych w kraju największej wolności możemy tylko się domyślać”.

Złoty Słowik zna kulisy. Jakiś czas temu oznajmił, że Kartę 77 sponsorował Izrael. W ogóle wie dużo, ale nie może tego ogłosić, bo „jak to napiszę, przejedzie mnie samochód”.

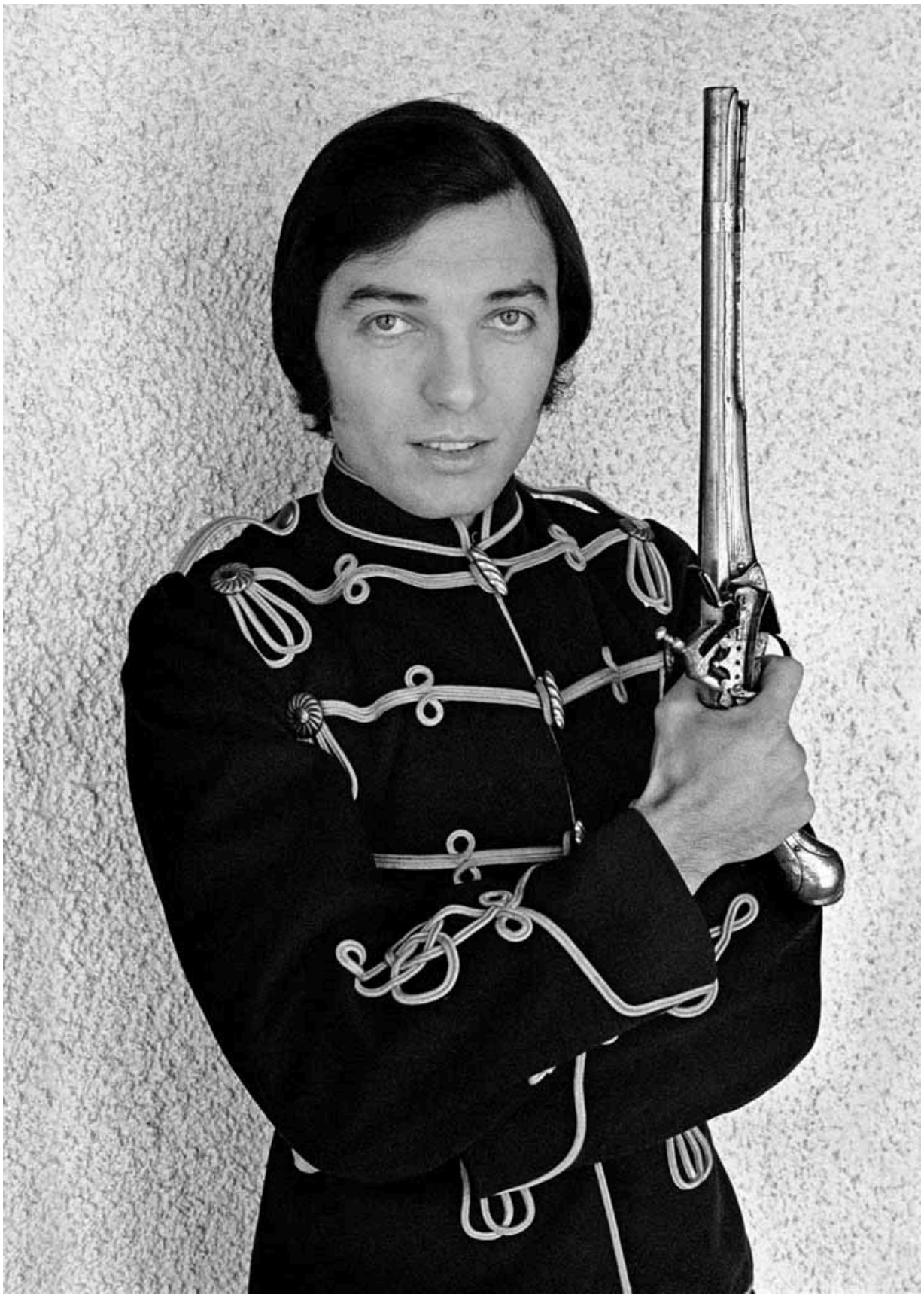

1970. Karel Gott (Otto Dlabola)

Miesiąc później wyjaśnił w prasie, że nie jest antysemitą. Chodziło mu tylko o to, że sygnatariuszy Karty 77 popierały finansowo zachodnie mocarstwa. „– Przecież oni nie mogli normalnie pracować, zatrudniani byli tylko w kotłowniach, myli okna. Myśli pani, że wyżyliby z tego, co zarabiali?

– Po prostu – mówi dziennikarka – znalazło się parę osób z Zachodu, które im pomogły.

– No i ja się z tego bardzo cieszę” – podsumowuje Gott.

Ma pretensje: ci, którzy go atakują, nie zauważają, że nigdy nie zaśpiewał ani jednego wersu, który by sławił komunistyczny reżim. Tylko od dziesięciu lat ciągle wałkują Kartę, Antykartę, Husáka, Gotta i partię. „Dlaczego atakujący – pyta – którzy dzisiaj są takimi bohaterami, dwadzieścia lat temu tego wszystkiego nie pisali?

– Musiałby pan przeczytać te rzeczy w podziemnych wydawnictwach, bo w cenzurowanej prasie by nie przeszły – nadmienia kolejna dziennikarka.

– Nie przeszły, nie przeszły… – przedrzeźnia piosenkarz. – No to dlaczego nie powiedzieli tego w radiu, w transmisji na żywo?”.

Wróćmy do Heleny.

Twierdzi, że nigdy Antykarty nie podpisała. Miała wtedy tournée po Polsce:

– Dopisali mnie bez mojej wiedzy.

Sprawa Heleny jest dziwna. Była na tyle wielką gwiazdą, że jej nazwisko (jeśli złożyła podpis) powinno – z powodów propagandowych – widnieć na pierwszej stronie „Rudego práva”. Jednak pojawiła się sześć dni po koleżankach i kolegach, jako ostatnia na liście, i to w środku numeru.

– Zapomnieli, że nie ma jej w kraju, a jak sobie przypomnieli, to ją dopisali w ostatniej chwili. Wiadomo było, że jej sprostowania nie wydrukują – tłumaczy jeden z jej kolegów. – Tak naprawdę wszyscy byliśmy wtedy młodzi i głupi.

Josef Škvorecký, który założył w Kanadzie największe czeskie wydawnictwo emigracyjne, napisał: „A czy my byliśmy wtedy starzy i mądrzy? My także byliśmy młodzi i głupi, ale nasza głupota mogła, przy odrobinie pecha, zniszczyć życie tylko nam samym”.

W czeskiej prasie rozpętała się na temat Heleny cała debata. (Większość rozgłośni – jak policzono – emituje jej piosenki co godzinę).

W listach od czytelników, którzy bronią gwiazdy, pojawia się ten sam logiczny argument: powszechnie uważa się, że komunistyczne „Rudé právo” kłamało. Nie pisało przecież prawdy o sowieckiej interwencji w 1968 roku ani prawdy o życiu w czasach normalizacji. Skoro zgadzamy się, że kłamało niemal we wszystkim, to dlaczego miało nie kłamać na temat Heleny Vondráčkovej?

Debatę zakończyła sama Helena.

Powiedziała prasie, że jakikolwiek protest w tamtych czasach oznaczał samobójstwo.

– Przecież gdybym podczas masowego podpisywania Antykarty była w kraju i gdyby komuniści z tym do mnie przyszli, tobym im podpisała.

Dziennikarze od kilku lat usiłują dociec, co naprawdę Marta Kubišová myśli o Helenie, Vašku i Karelu. Najatrakcyjniejsze byłyby cierpkie uwagi.

A Marta milczy, nie osądza.

O Gotcie mówi jako o wokalnym fenomenie.

– A co z tymi, którzy na pani widok przechodzili na drugą stronę ulicy? Można im wybaczyć?

– Tylko że ja nie wiem, komu miałabym wybaczać. Zawsze słabo widziałam i nie rozpoznawałam ludzi na więcej niż dwa metry. Dopiero dwa lata temu zrobiłam sobie operację laserową i wreszcie dobrze widzę. Więc Bogu dzięki, wtedy miałam silną krótkowzroczność.

Wracając do Gotta.

Marta mówi, że to człowiek o duszy bez skazy.

To właśnie on był w 1996 roku ojcem chrzestnym nowej płyty Marty Kubišovej z czeskimi bluesami.

Otworzył szampana i skropił nim pierwszy kompakt.

Powiedział, że ten krążek jest małą spłatą dwudziestoletniego długu, którego nie da się spłacić.

Dostał brawa.

Karel świetnie przemawia.

W lipcu 2006 roku w Jevanach pod Pragą otwarto jego muzeum. Z neonem *Gottland* nad wejściem.

Żaden żyjący artysta – przynajmniej w Czechach – nie miał własnego muzeum, z zatrudnionymi na etatach przewodnikami, którzy oprowadzają w trzech językach.

Karel Gott to sacrum w zdesakralizowanej rzeczywistości.

Świat bez Boga jest niemożliwy, więc w najbardziej zateizowanym kraju świata, jakim są Czechy, sześćdziesięciosiedmioletni gwiazdor pełni odpowiedzialną rolę.

Rolę *mein Gott*.

W dodatku ostatnimi laty można z nim obcować bardzo blisko. Wszystkie książki o jego życiu erotycznym zostały bestsellerami: *Kiedy kochanki płaczą* (1999); *Marika, czyli jak młoda dziewczyna znalazła szczęście – trzy lata z idolem* (1999); *Z Gottem w łóżku. Przewodnik po miłosnym życiu Złotego Słowika* (2000); *Z tajnego dzienniczka Mariki S., czyli Karel Gott jest tylko jeden* (2001); *Kompozytorka pachnącej bielizny* (2002).

Muzeum Gottland to willa, którą Gott kupił kiedyś jako swój letni dom. Na parkingu, mimo że dzień jest powszedni – autokary z całego kraju. Na schodach – tłoczą się starsi ludzie. Zdenerwowani, bo wpuszcza się tylko po dwadzieścia osób, co dwadzieścia minut. Przeważają osoby po sześćdziesiątce. Opierają się wzajemnie o siebie, niewielu chce odejść na bok, żeby usiąść na tarasie w kawiarni. Stoją i nerwowo poruszają biletami w zniszczonych pracą dłoniach. Mam wrażenie, że pragną natychmiast wejść do środka. Jakby już, zaraz, chcieli się utwierdzić, że ich życie było w porządku.

Kochali Gotta i razem z nim przetrwali w komunizmie.

Jeśli on „musiał dotrzymywać kroku temu, co jedynie słuszne”, to co dopiero my?

Znaleźć się w Gottlandzie to jakby zdobyć imprimatur: przeszłość jest OK.

Przechodzimy przez kuchnię „Mistrza” (tak wyrażają się przewodnicy).

– Tutaj gotował wielokrotnie, najczęściej potrawy rybne – mówią. – W pierwszej szufladzie znajdują się oryginalne sztućce, których używał już jako znany piosenkarz.

Wszyscy zaglądamy do pierwszej szuflady.

Wróćmy do Marty.

Na tyłach praskiego kościoła Marii Panny przed Tynem, blisko Staromiejskiego Rynku, działa w piwnicy jeden z najstarszych teatrów w Europie. Nazywa się Divadlo Ungelt. Od XIV wieku był teatrzykiem dla celników, obok mieli swój urząd i dom noclegowy. *Ungelt* znaczyło „cło”, „myto”. Sala ma trzydzieści miejsc i wygląda także na najmniejszy teatr w Europie.

Marta Kubišová daje tu recitale. Właściciel Milan Hein uwielbia jej mocny alt, który nikomu nie pragnie się przypodobać. Marta niechętnie śpiewa *slaďáky*. Słodkości nie są w jej stylu. Swój wieczór zaczyna bluesem do słów Pavla Vrby:

Życie jest mężczyzną
Dla którego wariuje każda
A ja mu ufam, choć jest zakłamany
Jak winogrono poplątany
Jednak mu wierzę
Bo z nieba jest zesłany
Choć niebo bywa czasem zachmurzone
Życie to facet, który nie jest mi obcy
To nie jest dobry gość
Czemu więc go kocham
Gdy przeraża mnie jego głos
Który nagle powie „dość”
I zniknie
Boję się ujrzeć jego plecy…

O dwudziestej drugiej tłumek z Teatru Ungelt wychodzi na Malą Štupartską i zderza się z falą zapachu marihuany. Naprzeciwko działa nocny bar. Sprzedawcy narkotyków o śniadych cerach stoją, siedzą na jezdni, uśmiechają się. W oknach baru, w czerwonym świetle – *drag queens*. Ruszają ustami do playbacków znanych piosenkarek.

W trzech oknach – trzy Heleny Vondráčkove.

Lepszy PR

2002.

Do redakcji tygodnika „Respekt” napisał czytelnik, który w 1977 roku miał cztery lata.

Uważa, że każda grupa, która chce się dobrze sprzedać, musi się do tego przyłożyć. On, gdy odwiedza księgarnie, o Karcie 77 nie może znaleźć nic. Młody czytelnik czuje, że to wyuczona ostrożność i konspiracyjne nawyki twórców powodują, że „grupa Karta 77” ma tak słabe *public relations*.

„Grupa Antykarta – stwierdza – ma znacznie lepszy PR”.

Rysunek Vladímíra Perglera (© by Lia Judita Perglerová)

Wesołych świąt!

1968.

W Czechach lubię chodzić do antykwariatów i wyszukiwać stare roczniki czasopism.

„Dikobraz” numer 51 z 17 grudnia 1968 roku.

Mimo czterech miesięcy sowieckiej okupacji kraju nie sparaliżował jeszcze całkowicie strach. W satyrycznym tygodniku „Dikobraz”– odważny świąteczny rysunek:

Za kilka dni Boże Narodzenie 1968 roku, a dwóch panów składa sobie życzenia „Szczęśliwych i wesołych świąt Bożego Narodzenia w 1989 roku”.

A więc szczęśliwe święta mają zdarzyć się dopiero za dwadzieścia lat.

Jak udało się autorowi tak precyzyjnie zobaczyć przyszłość?

Co pomyślał o swoim rysunku, kiedy dwadzieścia lat beznadziei skończyło się dokładnie wtedy, kiedy przewidział? Przecież komunizm w Czechosłowacji upadł na miesiąc przed Bożym Narodzeniem 1989 roku. A co myślał w chwili, gdy trzy dni po tych świętach Václav Havel został zaprzysiężony na prezydenta?

Dlaczego przyszedł mu do głowy właśnie ten rok?

Czy zdarzały mu się też inne proroctwa?

Czy ten obrazek miał dla niego potem jakieś znaczenie?

Uważam, że cokolwiek rysownik na ten temat powie – będzie dobre.

Autorem jest niejaki Bape. Pseudonim okazuje się podpisem Vladimíra Perglera, etatowego rysownika „Dikobrazu”. Pismo nie istnieje od 1990 roku, ale Bape ma swoją stronę internetową, którą prowadzi jego córka, Šárka Loty Erbanová-Polcarová. Przez telefon mówi, że tata zmarł w 2001 roku. Miał sześćdziesiąt osiem lat.

Jego kolega Jiří Bartoš, który wymyślał razem z nim rysunki (skrót Bape wziął się od pierwszych liter ich nazwisk) też już nie żyje.

Odwiedzam córkę rysownika w Pradze. Na bramie do jej bloku – wizytówka NUMEROLOG.

Przyjmuje mnie ze swoją mamą, żoną Perglera. W ogóle nie pamiętają takiego rysunku, są zaskoczone.

– Przyznają panie – mówię – czyste proroctwo, jasnowidzenie albo lepiej: jasnorysowanie!

– Ja osobiście jestem numerologiem, wróżką i rzeczywiście używam pisma automatycznego – wyjaśnia córka.

– Pisma automatycznego?

– Tak, człowiek, proszę pana, w transie łączy się z energetycznym źródłem z Kosmosu i pisze. To jest duchowe połączenie graficzne. Medium notuje, ale słowa pojawiają się na papierze bez jego świadomego udziału. Po wyjściu z transu często jest bardzo zaskoczone przekazem, jaki mu podała wyższa energia.

– A kto może pisać automatycznie?

– Na przykład ktoś, kto jest materialistą, ma mniejsze szanse być pisarzem Kosmosu.

– To pani tata – mówię rozentuzjazmowany – musiał rysować ten świąteczny przekaz w transie.

– A może – wtrąca żona – tak odruchowo dwie ostatnie cyfry odwrócił? Przecież nasz świat stał wtedy na głowie, to i on postawił cyfry na głowie. Mówię panu, Vláďa na pewno nie wiedział, co rysuje.

Łowca tragedii

Eduard Kirchberger urodził się w Pradze w roku 1912.

W tym samym czasie i w tym samym mieście powstała pierwsza na świecie kubistyczna rzeźba ludzkiej głowy.

Te dwa fakty nie mają ze sobą nic wspólnego.

Część 1: Brak

Społeczeństwo trzeba zmusić do odwyku.

Władza zarządza, że zlikwiduje się to, co sprawia łatwą radość.

Powołuje komisje likwidujące. Mają one zewsząd jak najprędzej usunąć powieści przygodowe, kryminalne, miłosne, szpiegowskie, science fiction oraz horrory. Słowem – wszystko, co jest drugiego gatunku.

Komisje przeszukują księgarnie, drukarnie i wydawnictwa, a szczególną uwagę poświęcają antykwariatom. Rekwirują tam niezliczone ilości *Nieostrożnych panien* czy *Pożarów w Metropolu*. Aby ci, którzy wolą kłamliwe spojrzenie na świat wykreowane w tanich powieściach, nigdzie już nie znaleźli ratunku.

Śmierć tandety powinna w sposób naturalny nastąpić wraz ze śmiercią kapitalizmu, w lutym 1948 roku. Tak się jednak nie dzieje. W 1950 roku ogłasza się więc, że wydanie najmniejszej kieszonkowej powieści dla kucharek jest czynem przeciwko państwu.

Przed rokiem 1920. Kilkuletni Eduard Kirchberger (dzięki uprzejmości pani Věry Kurtovej)

Ponieważ komisje nie dają rady z selekcją, organizuje się publiczne zbiórki szmiry. Na przykład uczniowie szkoły podstawowej na osiedlu Hloubětín w Pradze rozdzierają książki na bardzo małe kawałki (od razu na miejscu zbiórki), aby mieć pewność, że egzemplarze nigdy nie wrócą do czytelniczego obiegu. Dzieci z zapałem drą *Jaśminy pod balkonem* i *Twarze z półświatka*.

Podczas akcji używa się określenia „literacki brak".

„Brak" znaczy w czeskim to samo, co w polskim – „bubel". Teraz jest epitetem, który niszczy ludziom życie. Protokoły likwidacyjne pełne są zapisów: „bezwartościowy brak", „pusty brak", „bezmyślny brak", „amerykański brak", „głupi brak", „sentymentalny brak" i tym podobne. Prasa tłumaczy ludności, że brak jest burżuazyjną maszyną do zysku. Kapitalizm podsuwa go robotnikom, aby ich otępiać.

Na drzwiach Biblioteki Miejskiej w Pradze wisi tablica:

„CZYTELNICY,
na pewno akceptujecie fakt,
że nie wypożyczamy już braku
(szmira, kryminały, powieści przygodowe).
Nie wypisujcie na nie rewersów i nie proście o nie".

Po przejęciu władzy przez komunistów w Czechosłowacji uda się przemielić na makulaturę prawie siedemdziesiąt procent szmiry.

„Operacja wykluczenia, operacja zastąpienia" – bo tak ją się nazywa – trwa w Czechosłowacji do 1958 roku. Zbadana i opisana zostanie dopiero po 2000 roku przez historyka literatury z Uniwersytetu Karola Pavla Janáčka.

Tandetę zastępuje tandeta socrealistyczna pisana przez nowych autorów.

Andy z *Historii czarnego boksera* (1950) przed trzema laty jeszcze by wyznał:

– Chcę cię prosić, abyś została moją żoną.

– Kochany, nawet nie wiesz, jak jesteś miły memu sercu. – Głos Ruth zmiękł.

Teraz rozmowa miłosna nie ma prawa służyć już tylko prywatnym celom. Ruth wobec tego dodaje: – Musimy zmagać się ze swoim życiem, jak wszyscy ludzie pracujący. Ale nigdy nie zwyciężysz sam. Jesteś częścią ogółu.

Pavel Janáček razem z Michalem Jarešem prześledzili też (w innej książce) życiorysy ponad stu autorów przedwojennych tanich powieści.

Prawie nikomu nie udaje się zaistnieć w nowym systemie.

Wielu pisarzy stara się zapomnieć o własnej przeszłości. „Gdy tylko moje książki usunięto z bibliotek jako bezwartościowy brak, zaraz zaniechałam pracy i teraz staram się swoje literackie grzechy wymazać z pamięci” – wyjaśnia Instytutowi Literackiemu w latach sześćdziesiątych Marie Kyzlinková, autorka *Wygłodniałego serca*. Po wymazaniu grzechów zajmie się wyłącznie – jako żona inspektora kolejowego – gospodarstwem domowym.

Wielu zostaje skreślonych raz na zawsze. Komuniści nie przyjmują ich obietnic, że chcą być lepszymi pisarzami. Jova Patočková zapewnia Ministerstwo Informacji na piśmie: „W mojej powieści *Oczarowany szuka cienia* zwycięży dziewczyna nieskalanego charakteru. Przecież jako socjalistka muszę wiedzieć, jak wygląda normalne życie. W książce przeciwstawię dziewczynę z pozytywnym stosunkiem do pracy kobiecie przeszłości: leniwej, rozpustnej, zalotnej”.

Ministerstwo nie wierzy Patočkovej i nie daje zgody na wydanie powieści, autorka zostaje wykluczona z publicznego życia.

Istnieje tylko jeden pisarz, który wyklucza i zastępuje samego siebie.

Najpierw nazywa się Eduard Kirchberger.

Potem – Karel Fabián.

Jest dwoma zupełnie różnymi autorami.

Udana przemiana zajmuje mu trzy lata. Socjalistyczne słowniki literackie nie odnotowują przeszłości Fabiána.

W nowym wcieleniu podpisuje się nawet innym charakterem pisma.

Pierwszy pisze o duchach, monstrach, czarownicach, rewolwerowcach i mordercach. Drugi pisze o robotnikach, partyzantach, komunistach i wrogach ludu.

U pierwszego straszą otwarte groby, w których leżą kobiety z wyrwanymi po śmierci sercami. U drugiego straszą wyzyskiwacze, którzy bogacą się na robotnikach.

Pierwszy wyolbrzymia upiory. Drugi – sukcesy produkcyjne.

Pierwszy uwielbia tajemnicze jaskinie, lochy, skalne świątynie i piwnice z demonami. Drugi – jeśli opowie o jakiejś piwnicy, to będzie ona centralą agentów imperializmu amerykańskiego.

– Byłem bardzo zaskoczony – mówi Pavel Janáček – kiedy zorientowałem się, że tych dwóch odmiennych stylistycznie pisarzy to jeden i ten sam człowiek. Jego przystosowanie do komunizmu było imponujące.

– To urodzony opowiadacz – dodaje. – Wymyślał historie z taką łatwością, jak inni oddychają. Gdyby żył w Stanach, za jeden horror kupowałby drogi samochód. Więc nie mógł sobie pozwolić na milczenie tylko dlatego, że komuniści doszli do władzy. Oto powód, dla którego zakończył życie Kirchbergera.

Część 2: Powód

Czy przemiana była dla niego bolesna?

Czy człowiek, który robi wszystko, aby przypodobać się totalitarnej władzy, jednocześnie stara się przypodobać każdemu?

Czy lubi się podlizywać?

Czy w ogóle umie w jakiejś sytuacji powiedzieć „nie”?

Czy nowy w nim stał się w rezultacie ważniejszy niż on sam?

Karela Fabiána pytają, co robił przed wojną. W oficjalnych życiorysach wspomina o „publikacjach”. „Nie przyznaję im żadnej wartości” – dodaje zaraz, choć opowiadania Kirchbergera cieszyły się powodzeniem.

System musi wiedzieć o jego metamorfozie. Dlaczego więc komuniści są wobec jego przemiany wyrozumiali, podczas gdy setkę autorów

wykluczyli z publicznego życia?

– I właśnie to jest najciekawsze. Może pan to zbada – zachęca Pavel Janáček.

Eduard Kirchberger/Karel Fabián zmarł w 1983 roku, minęły dwadzieścia dwa lata. Szukam znajomych, przeszukuję archiwa.

Jedną córkę odnajduję w Niemczech. Była dziennikarką w Bratysławie, wyemigrowała w 1980 roku. Udawali z mężem i synem, że jadą na wczasy do Szwecji.

– Całą podróż pilnowaliśmy się – mówi – żeby rozmawiać w samochodzie wyłącznie o banałach. Żeby reżim w niczym się nie zorientował, jeśli wsadzili nam podsłuch.

Wszystko zaczęło w niej pękać, gdy była świadkiem upadku samolotu pełnego ludzi do zbiornika wodnego koło Bratysławy. Samolot wbił się dziobem w dno, pasażerowie się udusili. Nikt nie wiedział, jak można ich stamtąd wyciągnąć. Na brzegu stał tłum, milicjanci wyciągali ludziom filmy z aparatów. Kiedy wróciła do redakcji, szef spytał, po jaką cholerę tam poszła i czy nikt jej nie legitymował. Powiedziała, że chce to opisać. „O tym zapomnij – usłyszała. – I zapamiętaj, że u nas samoloty nie spadają”.

– Na wieść o tym, że uciekłam z kraju – opowiada córka – nasz tata zaniemówił. On mnie przecież swoimi komunistycznymi poglądami wprost grzmocił po głowie. Dobrze, że był już wtedy emerytem i nie pisał, bo miałby przeze mnie duże kłopoty.

Drugą córkę, emerytowaną sekretarkę, odnajduję w Pradze. Nie wyjechała. Właśnie ogląda wypożyczony horror. Wnuczek przynosi i starają się zaliczyć jeden film dziennie.

Mieszkała całe lata z mamą. Niestety, żona Fabiána miesiąc temu zmarła.

– A wcześniej wszystkie jego notatki spaliła. Właściwie to sama jestem ciekawa jego życia. Przemianował się na tego Fabiána, żeby przeżyć?

W nowym ustroju K. F. używa talentu tak: „Nasze huty – pisze – to żołądek państwa. Węgiel to jego serce. Elektryczność, para i gaz to krew”.

Rok 1949 – w gospodarce zaczyna się plan pięcioletni, zwany pięciolatką. Zakłada się, że dzięki niemu wszyscy będą dobrze ubrani, najedzeni, będą pięknie mieszkać i nikt nie będzie miał żadnych egzystencjalnych kłopotów. K. F. zostaje reporterem tygodnika „Květen”[15] w Pradze. Debiutuje na ostatniej stronie, ale szybko jego reportaże otwierają niemal każdy numer. *Pięciolatka kontra stulecia* – tytułuje jeden z tekstów i zyskuje miłość redaktora naczelnego.

Czym jest elektryczna froterka, elektryczna pralka, elektryczna poduszka czy elektryczna butelka dla dziecka? – pyta w jednym z tekstów.

I sam odpowiada: „To służące Pięciolatki”.

W *Problemach z cegłą* podkreśla, że dziś fundamentem rodziny nie jest dziecko, lecz cegła. „Cegła to chleb. Cegła to dom. Cegła to raj na ziemi”.

Już w trzecim miesiącu planu w jego reportażu z fabryki tekstyliów referent personalny, zachwycony nowym ustrojem, stwierdza: „Żyjemy bajecznie”. „I wszyscy są dobrzy – dodaje referent płac. – Nie ma między nami złych i nieszczerych”.

K. F. powinien być najszczęśliwszym pisarzem roku 1949. Bo to on drukuje pierwszą w Czechosłowacji powieść socrealistyczną.

Ma tytuł *Szło o elektrownię* i ukazuje się w pierwszą rocznicę zwycięstwa czechosłowackiego komunizmu.

Tylko że E. K. jeszcze na dwa dni przed zwycięstwem jest antykomunistą.

1941. Ślub Eduarda Kirchbergera z Vlastą Herclíkovą (dzięki uprzejmości pani Věry Kurtovej)

Przed wojną drukuje w „Národnich listach” – organie Narodowej Demokracji, który przed 1918 rokiem był najważniejszym w monarchii pismem czeskiej burżuazji. W 1937 roku, po śmierci Tomáša Garrigue’a Masaryka, ojca Czechosłowacji, filozofa i prezydenta, którego komuniści będą systemowo zohydzać, drukuje wiersz, w którym obiecuje, że za demokrację i Masaryka przeleje krew i odda życie.

Po wojnie E. K. pojawia się w Libercu.

Uśmiecha się bez otwierania ust.

Pracuje w banku, a opowiadania drukuje w tygodniku socjaldemokratów „Stráž severu”. Czechosłowacja przez trzy lata po wojnie jest ostatnim demokratycznym państwem Europy Środkowej i Wschodniej. Komuniści mają tylko czterdzieści procent posłów w parlamencie, na drugim miejscu są narodowi socjaliści, a potem ludowcy i socjaldemokraci. Naczelnym w „Stráży severu” jest demokratyczny poseł, doktor Veverka.

Gdy 20 lutego 1948 roku dwunastu niekomunistycznych ministrów z koalicyjnego rządu tworzonego z komunistami, podaje się do dymisji (czym zapoczątkują całkowite przejęcie władzy w ciągu pięciu dni przez Komunistyczną Partię Czechosłowacji, nazywane potem Zwycięskim Lutym), E. K. pisze do swojego redaktora list:

„Drogi Pepíčku,

piszę do Ciebie, żebyś był jeszcze silniejszy. Po tym, co słyszałem, że dzieje się w Pradze, domyślam się, że lada chwila przyjdą Cię zamknąć. Teraz widzę wokół siebie słabeuszy, którzy kierują się w lewo tylko dlatego, że »podobno mają rodzinę«, ale na szczęście nie są to ludzie z naszych szeregów.

Dlatego chcę Ci napisać, Pepíčku, że na mnie możesz w pełni polegać, jak i na nas wszystkich, których tutaj, w Libercu, wychowałeś. Jesteśmy gotowi pójść do kryminału, bo wiemy, że komunizm to totalitaryzm, a przeciwko totalitaryzmowi w każdej formie walczyliśmy. Może komunizm będzie trwał nawet rok, ale wolność nadejdzie, bo takie są prawa natury.

Możesz wierzyć tym słowom, one wytrysnęły nagle w mym gabineciku, tak same z siebie”.

Wcześnie rano kładzie list na biurku redaktora Veverki, który nigdy go nie przeczyta. Godzinę później naczelnym „Stráży” zostaje komunista, który oddaje kopertę Służbie Bezpieczeństwa.

Ostatnie słowa listu brzmią: „Dlatego zakasujemy rękawy i idziemy pod prąd. Warta jest tego wolność moich dwóch córek. Twój E. K.”.

Tylko że niedługo po tym liście E. K. błaga partię, aby go do siebie przyjęła.

Zapewnia: „Po Zwycięskim Lutym po raz pierwszy rozmyślałem o komunizmie. Dla mnie komunizm jest ewangelią”.

Podkreśla: „Zaznaczam, że nic od KPCZ nie chcę i nie będę nigdy chciał. Mniemam na własny temat, że nie gra tu roli motyw strachu czy wyrachowania, który tak wielu do partii komunistycznej doprowadził. Ja doszedłem do swych wniosków samodzielnie. Nie wiem, jak osądzicie mój

przypadek, ale jeśli nie przyjmiecie mnie, wzgardzicie człowiekiem dobrej woli”.

Tłumaczy się z tamtego listu: „Powiedziano mi o Veverce i bardzo mu współczułem. W nocy, gdy ten fatalny list pisałem, pracowałem prawie do rana nad *Łowcami tragedii*, a po skończonej pracy, wskutek wypicia morza czarnej kawy, nie mogłem usnąć. Otworzyłem butelkę koniaku i wypiłem więcej, niż powinienem. Niestety, znalazłem się w smutnym, pełnym nieokreślonego współczucia stanie i byłem zmuszony poszukać dla swego współczucia obiektu. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności przypomniałem sobie Veverkę. Pomyślałem, że ma rodzinę, że pewnie chciał być ministrem i tak dalej. Usiadłem do maszyny i napisałem list, którego treść zaraz mi uleciała. Rozumiem, że rzecz wygląda niewiarygodnie, jednak u pisarzy zdarzają się w nocy rozmaite rzeczy”.

Daje partii rady: „Komunizmu trzeba uczyć z ambon, z Biblią w ręce, oczywiście nie w kościelnym tego słowa znaczeniu, lecz iść między ludzi i nauczać”.

Wyznaje: „Powinienem być jeszcze na tyle szczery i przyznać, że ja muszę latami studiować jakąś myśl, abym mógł dla niej z sukcesem pracować”.

(*Łowcy tragedii* nigdy nie powstają, najprawdopodobniej nie stworzył ani linijki).

E. K. wpisuje się w szerszy nurt.

Jeden z głównych ideologów KPCz, Václav Kopecký, jest zaskoczony, że niekomunistyczni posłowie głosują jak jeden mąż za komunistycznymi ustawami, a nawet za niedemokratyczną konstytucją z 9 maja 1948 roku. „Było to aż nieprzyjemne – napisze po latach – ponieważ taka jednomyślność robiła wrażenie przymuszania. Komuniści nawet prosili wprost niektórych posłów, żeby głosowali przeciw albo żeby chociaż się od głosu wstrzymali, dawali im gwarancje, że nic im się nie stanie – na próżno. Głosowali jednomyślnie za”.

E. K. w prośbie o przyjęcie do partii dodaje na koniec, że nie jest z rodziny burżujów, jego ojciec był służącym, a potem urzędnikiem, zaś dziadek – szewcem.

Tylko że zaraz po wybuchu miłości do komunizmu E. K. z socjalistycznego kraju ucieka.

Komuniści nie kryją, że rozprawią się, z kim trzeba. Służba Bezpieczeństwa zaczyna natychmiast inwigilować ministrów, którzy podali się do dymisji. Były minister sprawiedliwości (demokrata Prokop Drtina) usiłuje się zabić. Ministra spraw zagranicznych (Jana Masaryka, syna byłego prezydenta) znajdują na kamiennych płytach pod oknem, z roztrzaskaną głową. Jedni uważają, że skoczył sam, z powodu niezgody na nowy system. Drudzy, że to system polecił wyrzucić go z trzeciego piętra[16].

Nikt już nie może wyjechać.

Pewien komik występuje dla żołnierzy pogranicza i ucieka z rodziną do Niemiec podczas przerwy w występie. Akurat nikt nie pilnuje granicy, bo wszyscy czekają na drugą część programu. Lider młodzieży narodowosocjalistycznej ucieka wsunięty między sufit a dach wagonu restauracyjnego pociągu Praga–Paryż. Lider socjaldemokratów i jego żona wkładają stroje narciarskie i udając narciarzy, dostają się do Austrii. Były ambasador w Bułgarii ucieka ukryty w dużej skrzyni na książki, którą ambasador Meksyku zgłasza jako bagaż osobisty.

E. K. wciąż nie ma odpowiedzi, czy KPCz go przyjmie. Ktoś w banku mówi mu, że za list do Veverki może zostać aresztowany, ponieważ zaatakował w nim czechosłowacki lud. Zaczyna więc skupować w kioskach Liberca i Pragi kamienie do zapalniczek. Wie, że można nimi płacić w Niemczech. Do ucieczki namawia kolegę, urzędnika celnego, u którego chowa kamienie. Zwierza się mu, że jeśli nie ucieknie, popełni samobójstwo. Płacze.

Uciekają w dniu, gdy E. K. wraca z banku i widzi, że pod jego domem stoi milicyjny samochód.

W Berlinie mówi przesłuchującym, że w jego kraju panuje czerwony terror, a uczciwy człowiek nie jest w stanie żyć w komunistycznym piekle.

Tylko że po dwóch miesiącach wraca.

W prasie drukuje ostrzegawczą powieść w odcinkach. Podpisuje ją pseudonimem František Navrátil, co po czesku znaczy „powrócił”.

Opowieść można streścić tak. W nocy przepływają z kolegą Nysę koło Hrádku, na granicy z Niemcami, chcą przedostać się do Londynu. Czołgają się przez bagna, godzinami leżą w polu. Navrátil dostaje trzydziestodziewięciostopniowej gorączki, ale wszędzie odmawiają mu łyczka wody, dopóki nie pokaże dokumentów. „Może dlatego, że nie mam czym zapłacić. Ludzi na Zachodzie trzeba kupować”.

Dla każdego, kto to czyta, ma być od razu jasne, dlaczego Navrátil powrócił. Nie ma w Niemczech obozu dla uciekinierów, którego by bohaterowie tej opowieści nie odwiedzili. Znikąd pomocy ani kawałka chleba. „Pomagamy tylko tym, którzy są nam przydatni” – słyszą. „Kiedy z nimi mówisz o ideałach – zwierza się czytelnikom – zaczną uśmiechać się ze współczuciem. Nie mają ideałów, zamiast mózgiem myślą zawartością kieszeni”.

Mdlejąc z głodu, pieszo docierają do Hamburga. Na przedmieściach widzą przez okno, jak kłóci się małżeństwo. „Jak mogą kłócić się ludzie, którzy mają swój stół, swoją podłogę, swój sufit i swój język? Człowiek wciąż jest idiotą”.

Relacja w tygodniku „Květen” tak bardzo podoba się władzy, że Navrátil wygłasza ją jeszcze w postaci radiowych pogadanek. Potem opisze ucieczkę w nagłośnionej przez władze powieści *Uciekinier*.

– Myślę, że musiał to napisać – mówi dziś córka. – Wrócił do nas, bo mama sobie nie radziła, a bardzo bał się kary. Ta książka była wykupieniem się od męczarni, jakie mogły go spotkać.

Tylko że reżim (o czym córka może nie wiedzieć, była wtedy małą dziewczynką) ogłasza dla uciekinierów amnestię i nic im nie grozi. E. K. właśnie z niej korzysta.

Z Czechosłowacji uciekają nawet dzieci. Na przykład w ciągu miesiąca po Zwycięskim Lutym tylko tajna policja z Budziejowic łapie na granicy ośmiu chłopców. Jednak europejska prasa nagłaśnia ucieczki i władza musi wykonać spektakularny ruch. Przyszłe męczarnie E. K. są więc anulowane.

Tylko że mimo amnestii E. K. za łagodne potraktowanie chce się odwdzięczyć dodatkowo. Proponuje współpracę Służbie Bezpieczeństwa.

Najpierw opowiada o ucieczce koledze, ten donosi o tym MSW, które wzywa pisarza do majora Bedřicha Pokornego w Pradze. Głos Ameryki mówi o majorze „czerwony kat republiki", a sam kat o własnych metodach śledczych – „szpilki i śrubokręty". Major przyjaźni się z wielkim poetą lirycznym Halasem i potrafi dać wykład o wpływie francuskiego malarstwa na czeskie.

Pokorný ściąga do MSW dziesięciu dziennikarzy, którzy mają posłuchać E. K. Są pod wrażeniem opowieści.

– Wtedy uświadomiłem sobie swoją polityczną pomyłkę – wyzna później K. F. – Właśnie dlatego, że po moim powrocie ludowe organa z majorem Pokornym bardzo przyzwoicie się ze mną obchodziły.

To Pokorný, wiceszef wydziału do zadań specjalnych, proponuje mu opisanie ucieczki i powrotu.

Proponuje też, aby napisał oddzielną książkę o nim, majorze SB, i scenariusz filmu. Major ma już na własny temat gotowy tytuł: *Przyszedłem, żeby strzelać*.

E. K. widzi w nim swego opiekuna.

– Często wieczorami – powie potem – przysyłał po mnie auto i rozpatrywaliśmy kwestie marksizmu, przy czym pan major był mi wspaniałym nauczycielem.

(Służba Bezpieczeństwa niebawem aresztuje swojego majora. Za używanie gestapowskich metod podczas przesłuchań i tolerowanie wśród esbeków byłych kolaborantów gestapo. Kara: szesnaście lat więzienia).

Tymczasem Pokorný pozwala mu na przeniesienie się z rodziną do Pragi i umożliwia pracę w tygodniku „Květen". Właśnie tam E. K. / K. F. pisze o pięciolatce.

Wtedy E. K., mimo że już zobowiązał się do napisania książki o Pokornym, spontanicznie proponuje, że dodatkowo zwerbuje kilku informatorów w redakcjach.

Tylko że zaraz rozpowiada wszystkim wokół, że jest agentem i chce stworzyć sieć.

(Gdy go za to aresztują – zdrada tajemnicy państwowej – uprze się przy jednym wytłumaczeniu: – Otóż mówiłem, bo chciałem się poczuć kimś lepszym niż ci, którym to mówiłem).

Tylko że o jednym nie mówi wcale: miesiąc po powrocie z Niemiec donosi na kobietę, której łamie tym życie.

Na Žofię V., bogatą wdowę, właścicielkę kamienicy nad Wełtawą obok Teatru Narodowego, która przyjmowała u siebie wysokich funkcjonariuszy SS. Ponieważ krążą o nim pogłoski, że jest zachodnim agentem, kobieta sama go odnajduje i prosi o pomoc w ucieczce. Chciałaby zniknąć z Czechosłowacji najdalej w ciągu miesiąca. Uważa, że będzie sprytniejsza od Idy L. – opisanej właśnie w prasie – którą zatrzymano z ponad trzema kilogramami dwudziestodolarowych złotych monet przyklejonych do biustu plastrem opatrunkowym.

K. F. obiecuje jej pomóc i jedzie wyjawić to majorowi.

Pokorný aż podskakuje z radości, że opłacał mu się dobry uczynek wobec K. F., że chodzi o wielki przypadek, który przyniesie mu chwałę, i że rano Žofię V. zamkną.

Tylko że jeszcze tego samego wieczoru K. F. idzie ją ostrzec.

Spotykają się w kawiarni. „Miałem wyrzuty sumienia – wyzna później – i poradziłem jej, aby uciekła natychmiast, a nie za miesiąc. Powiedziała, że nie ma jeszcze dość uzbieranej biżuterii, i wyszła. Jakby w ogóle faktu, że jutro ją zamkną, nie przyjęła do wiadomości”.

Zostaje aresztowana o świcie. Tydzień później połyka w areszcie truciznę i umiera.

Eduard Kirchberger urodził się w Pradze w roku 1912.

W tym samym czasie i w tym samym mieście powstała pierwsza na świecie kubistyczna rzeźba ludzkiej głowy[17].

Te dwa fakty nie mają ze sobą nic wspólnego.

Niemniej E. K. / K. F. to osobowość kubistyczna. Jeśli w kubistycznym obrazie płaszczyzny są załamywane przez niezliczone krawędzie, to w jego życiu takimi krawędziami są kolejne „tylko że”.

Wszystko, co przez chwilę pewne, zaraz zmienia kierunek. Jego osobowość – jak przedmiot lub postać w kubizmie – jest w stanie wielokrotnego załamania.

Może by nie była, gdyby nie strach.

Cześć 3: Playback

Strach jest bardzo na miejscu.

Inteligenci z Pragi, wrogowie systemu, odsunięci za karę od swoich zawodów, budują most kolejowy na Wełtawie, który do dziś nazywany jest mostem Inteligencji.

Z początkiem 1951 roku KPCz zaczyna zamykać swoich partyjnych towarzyszy, jeszcze zanim się czegokolwiek złego dopuszczą. Major Pokorný mówi, że podejrzanym nie jest tylko ten, kto umarł. – Jeśli ktoś żyje, jest zawsze podejrzany. Bo może się z nim skontaktować obca agentura – tłumaczy podwładnym.

Pisarkę Lenkę Reinerovą na piętnaście miesięcy zamykają w pojedynczej celi, skąd nie wypuszczają nawet na spacerniak (a kiedy pyta, za co jest aresztowana, słyszy niezmiennie: „Wy sama wiecie najlepiej”). Zwalniają ją w końcu bez sądu, wywożąc do parku na peryferiach. Kiedy wraca do domu, okazuje się, że męża i córkę wyeksmitowano, tylko nie wiadomo dokąd, a jej mieszkanie zajmuje ktoś inny. Odnajduje ich w ruderze sto kilometrów od Pragi. (Gdy po kilku latach będzie chciała zaświadczenia, że była aresztowana, okaże się, że taki przypadek jak jej nie istniał. „Może to wszystko wam się, towarzyszko, wydawało” – mówią w MSW).

Partia dokonuje zemsty na samej sobie.

Kraj żyje wielkim procesem jedenastu wysokich funkcjonariuszy nazwanych grupą Slánskiego, oskarżonych o przygotowywanie spisku. Żona jednego z aresztowanych wysyła list otwarty do KPCz, w którym

prosi, aby sąd ukarał męża tak, jak na to sobie zasłużył. Syn innego oskarżonego w liście do gazet zdecydowanie żąda dla ojca kary śmierci. Zaś jeden z oskarżonych prosi, by sąd powiesił go jak najszybciej, bo „jedyny dobry uczynek, jaki mi pozostał, to być ostrzeżeniem dla innych”.

Jeszcze przed chwilą agent 62c/A widział K. F. tak: „Jest honorowy i patriotyczny. Jego słabą stroną jest jednak bezkrytyczna wdzięczność”.

K. F. nagle przestaje być dziennikarzem „Května” i nie ma prawa pisać o pięciolatce.

Zostaje odrzucony.

Wydział Prasy Komitetu Centralnego KPCz orientuje się, że coś z nim jest nie tak. Mylą mu się „przodownik”, „brygadzista” i „stachanowiec”, używa tych pojęć, jak mu wygodnie. Jest niewolniczo wierny optymistycznej wizji planu. Źle wylicza procenty przekroczenia planu przez fabryki. Czasem je zawyża.

W ostatnim reportażu, który drukuje mu „Květen”, pozwala sobie napisać: „Manewrowy Jaroslav Šmíd zwiększył produktywność o trzydzieści trzy procent. I tak byśmy mogli podawać cyfrę za cyfrą, tylko że cyfra to martwa rzecz. Żywi są ludzie i praca. To, co dziś piszemy, zwłaszcza cyfry, może się jutro zmienić”.

I on, i jego redaktor naczelny (ten, którego zachwycił *Pięciolatką kontra stulecia*) zostają pod koniec 1949 roku wyrzuceni z pracy, czeka ich seria nieprzyjemnych przesłuchań.

Co mieli na myśli?

Dlaczego cyfra jest „martwa”?

Dlaczego nie jest „tak samo ważna, jak ludzie i praca”?

Na czyje zlecenie mogło pojawić się takie zdanie?

Dlaczego zlekceważono akurat produktywność tego manewrowego?

Czy chodziło o ośmieszenie robotnika Šmída?

A może wyśmianie całej klasy robotniczej?!

Teraz to K. F. ma zostać robotnikiem. Będzie pracował w fabryce samochodów. Potem awansuje. W fabryce wyrobów ozdobnych – na kierownika wydziału tekstylnego. („Mimo to – powie po latach –

zajmowałem się nadal pisaniem do szuflady książek z socjalistyczną treścią”).

Aresztują go w tym samym czasie, kiedy wybucha afera Slánskiego. Wiosną 1952 roku za zdradę państwa, czyli rozpowiadanie, że współpracuje z SB, zostaje skazany na sześć lat. Wychodzi po dwóch, bo po śmierci Stalina rewiduje się część wyroków. Znów zostaje robotnikiem i do początku lat sześćdziesiątych odlewa metal w Odlewni Stalingrad II.

Męczy go talent.

Pisze kilkanaście popularnych powieści. *Zagadkę pięciu domków* – o grupie chłopców, która przypadkiem odkrywa szpiegów, *Psie komando* – o więźniu nazistowskiego obozu, który opiekuje się psami szkolonymi do zabijania, a kiedy ucieka z obozu, ulubiona suka ratuje mu życie. *Lecącego konia* – o wojnie w Korei Południowej…

Wraca do łask, zostaje scenarzystą w telewizji.

Nadal śmieje się, nie otwierając ust.

Wciąż nie należy do KPCz.

Dla dorosłych, niczym niezrażony, pięknie pisze o Służbie Bezpieczeństwa.

Dla dzieci drukuje w tygodnikach opowiadania fantastyczne.

Nigdy nie mówi o nikim źle (tak go zapamiętano). Dla wszystkich jest miły. Ma różowe policzki, czerwony nos i odstające uszy. Córki zabiera do gospody. Umie się znaleźć w towarzystwie. – W porównaniu z jakąkolwiek katedrą kobieta jest zawsze młoda – oznajmia zachwyconemu towarzystwu. Gdy dobiega siedemdziesiątki, koledzy pytają: – Karel, dlaczego twoi bohaterowie nigdy się nie pieprzą? Mówi: – Skoro ja nie mogę, to im też nie pozwolę.

– Nie przysyłajcie mi do domu honorarium – prosi w redakcjach – żeby Madame nie zobaczyła. (Żonę otoczenie nazywa Madame). Traci na tym, bo honorarium byłoby może jedyną okazją, żeby go do siebie przytuliła.

Córki zauważają, że tęskni za miłością.

Przyjaciel, że wciąż jest jedynakiem, który cały czas pragnie wszystkim się podobać, nie stracić uczucia ani taty, ani mamy.

Koledzy w pracy, że unika sprzeczek i kłótni. Zauważają też, że na oficjalnych uroczystościach jednocześnie śpiewa *Międzynarodówkę* i nie śpiewa. Pozostali wydają głos, a on rusza ustami.

Kolega: – Karel, zawsze playback.

Ale w jednej kwestii jest zasadniczy.

U córek nie znosi kłamstwa.

Za kłamstwo potrafi dać po buzi.

– Jeśli się przyznasz – powtarza – to ci odpuszczę!

Córka z Niemiec, kiedy będzie dorosła i uda jej się uciec, pisze do niego list: „Nasz wspólny problem, tato, był taki, że żądałeś ode mnie niemal bezgranicznego posłuszeństwa, ale nigdy mi nie wyjaśniłeś, dlaczego właściwie mam być posłuszna”.

Do partii udaje mu się zapisać dwadzieścia lat po pierwszej próbie, w sierpniu 1968 roku.

– To wtedy – podkreśla córka z Pragi – gdy przyzwoici ludzie się zapisywali.

Minęła właśnie jedyna przyzwoita chwila w dziejach KPCZ – Praska Wiosna.

Mimo że jest rodzajem cudu, zabija majora Pokornego.

Były esbek już od lat jest na wolności. Nie może zaakceptować stanu, że otwarta dyskusja z dopuszczeniem przeciwnego zdania nie jest już traktowana jako znieważenie państwa. Pokorný pisze pożegnalny list: „Komunista Wielkiego Lutego 1948 roku nie przeżyje tak strasznej porażki KPCZ. Porażka ta pozbawiła mnie duchowej i cielesnej równowagi” – i zakłada pętlę na szyję.

Iluzja, że komuniści sami z siebie są w stanie zdemokratyzować reżim, trwa tylko kilka miesięcy – do wkroczenia czołgów Armii Radzieckiej i czterech zaprzyjaźnionych. Gdy partia pod wodzą sekretarza Dubčeka wciąż moralnie przeciwstawia się radzieckim braciom, K. F., tydzień po najeździe, oznajmia w gazecie „Svoboda” (jeszcze przez chwilę wolnej), że wstępuje do KPCZ:

„Przecież to jest dziś bardzo proste, nie trzeba wielkich słów” – zaczyna swój list.

„Choćby dlatego – dodaje – że wczoraj na moich oczach nasi bracia zabili czternastoletniego chłopca. A także dlatego, że sytuacja jest bojowa i człowiek wstępujący do KPCz nie może oczekiwać korzyści. Raczej kulki. Myślę, że chyba zdradą jest stać z boku podczas walki. Karel Fabián, pisarz”.

Gazety drukują inne listy od ludzi, którzy w proteście przeciw najazdowi także postanowili poprzeć czechosłowackich komunistów przeciw radzieckim i wstąpić do partii.

Tylko że niektórzy zaraz występują.

Terror dokonywany rękami SB i normalizacja w wydaniu Husáka pozbawiają złudzeń.

Gdy Czechosłowacja znów jest w erze Stalina, K. F., niczym niezrażony, dalej pięknie pisze o Służbie Bezpieczeństwa.

W tygodniku „Květy”.

W ramach bezwzględnego niszczenia twórców Karty 77 władze dostarczają redakcji „Květów” do druku intymne zdjęcia jednego z liderów Karty, Ludvíka Vaculíka. Wyciągnięte przez esbeków z tajnej skrytki w jego biurku. Nago, z kochanką, w latrynie na działce. Jego żona dowiaduje się o zdjęciach i kochance z gazety. „Dziwimy się, że zachodni dziennikarze dosłownie spijają z ust każde jego słowo” – brzmi komentarz redakcji.

K. F. dostarcza „Květom” opowiadanie o chłopaku, który namawia młodą sprzedawczynię do kradzieży pieniędzy ze sklepu, a potem do wyjazdu na Zachód. Dusi ją poduszką, zanim jeszcze zdążą wyjechać. Służba Bezpieczeństwa bez kłopotu odnajduje mordercę w ciągu tygodnia. Miasto oddycha z ulgą.

Przy okazji autor pisze:

„– Milcz – pouczał często chłopaka przybrany ojciec. – Są ludzie, którzy w milczeniu zgadzają się ze wszystkim. I teraz radzę ci to jako starszy

przyjaciel – dodał kiedyś ojciec. – Ważny jest maszt – ciągnął. – Flaga może przecież łopotać w jakichkolwiek kolorach”.

Tajemnica uśmiechu bez otwierania ust nie jest w otoczeniu K. F. powszechnie znana.

A nikt, przez takt, nie pyta.

Zawsze rozmowny, nie mówi o tym, że to gestapo wybiło mu wszystkie zęby.

Nie opowiada też, że od lutego 1942 do maja 1945 roku był więziony w nazistowskiej twierdzy Straubing.

Że przeszedł dziewięćdziesiąt cztery przesłuchania, w tym czterdzieści dwa ciężkie.

Że był ukarany sześcioma tygodniami samotnego pobytu w karcerze, w całkowitym milczeniu. Zimą temperatura w celi wynosiła dwa stopnie.

Że innym razem był ukarany dwoma tygodniami bez jedzenia.

Że kiedy nie był karany i miał prawo jeść, było to osiemdziesiąt gramów chleba dziennie i nic więcej.

Że brał udział w akcji „Wyniszczenie przez pracę”.

Że gdy zaczynały się naloty bombowe, wszystkich więźniów celowo zaganiano na najwyższe piętro i zamykano po kilkudziesięciu w jednej celi. Wielu właśnie wtedy wpadało w szaleństwo.

Że kiedy więźniowie umierali, trupy specjalnie zostawiano wśród żywych na dłużej.

Że do Pragi wrócił z przetrąconą nogą i rozbitymi stawami w łokciach.

Zupełnie o tym nie wspomina.

To dziwne, bo kombatanci na ogół dzielą się swoimi przeżyciami. K. F. ma piękną kartę – w czasie okupacji należał do organizacji podziemnej. Rozprowadzał w Towarzystwie Ubezpieczeniowym Slavia w Pradze (gdzie pracował po zarwaniu studiów prawniczych) największe konspiracyjne pismo „V boj”. Pisali o zdrajcach narodu, drukowali patriotyczne wiersze.

Gestapo tylko w ciągu dwóch miesięcy zaaresztowało około stu kolporterów. Sądzony był w Berlinie, osadzony w Straubingu. Wyrok: za przygotowanie zdrady państwa – osiem lat twierdzy.

– Nie mów o tym przy ludziach i nie namawiaj mnie, żebym opowiadał – prosi kolegę z „Květów”. – Nie chcę z tego robić bohaterstwa.

Kolega: – Karel nie był żadnym cierpiętnikiem.

Tylko że:

„W 1942 roku, gdy byłem zatrzymany przez gestapo, przy straszliwych przesłuchaniach zdradziłem wszystkich trzynastu członków organizacji, którym przekazywałem czasopismo »V boj«. Wszyscy zostali uwięzieni, a dwaj z nich zamęczeni.

1943. Eduard Kirchberger po aresztowaniu i osadzeniu w twierdzy Straubing (dzięki uprzejmości pani Věry Kurtovej)

Swoją zdradą doprowadziłem do nieszczęścia czternaście rodzin, bo zdradziłem też moją pierwszą żonę i teściów.

Kiedy wróciłem ze Straubingu do swojego byłego miejsca pracy, napisałem błagalny list, aby mi moja wina została odpuszczona.

Od wyżej wymienionych otrzymałem prośbę, abym opuścił Pragę, jeśli nie chcę mieć kłopotów. Nie życzą sobie mnie spotykać.

Postanowiłem usunąć się i wyjechać do Liberca, gdzie zatrudniłem się w banku jako sekretarz. Potem zacząłem pisać do »Stráży severu«”.

Opowiada to na jednym z przesłuchań po wojnie.

Nie wiadomo, czy SB tej wiedzy przeciwko niemu używa.

Pod koniec lat czterdziestych nawet najpopularniejsi pisarze nie są medialnymi gwiazdami. Ich zdjęcia nie ukazują się w prasie. Jeśli wierzyć

temu wyznaniu, to E. K., zwabiony przez Pokornego możliwością życia i drukowania w Pradze, po powrocie z Liberca wymyśla sobie nowe imię i nazwisko, żeby starym nikogo nie kłuć w oczy. I to go najprawdopodobniej wystarczająco chroni przed rozpoznaniem.

Na „Operację wykluczenia, operację zastąpienia” rzecz nakłada się przy okazji.

W 1961 roku, kiedy wraca do łask po przymusowej robotniczej przeszłości, wydają mu powieść *Lecący koń*. O wojnie w Korei Południowej. Amerykański oficer przyjeżdża tam po latach, aby zobaczyć skutki zbiorowego mordu, w którym brał udział. Jedzie do wsi, gdzie przez niego zginęły kobiety i dzieci, i zostaje rozpoznany. Nagle dostaje wysokiej gorączki. Mówią mu, że nie życzą sobie na niego patrzeć, ale skoro jest chory, to nie odmówią pomocy. Jedzenie będą mu kłaść pod drzwiami, a potem wszystkie naczynia, których dotknie, rozbiją.

W malignie oficer dochodzi do wniosku, że powinien napisać książkę, w której byłaby tylko jedna prawda: jeśli człowiek zabija, nie ma potem prawa żyć. Może tylko egzystować. Bo myśl, że muszą zostać rozbite wszystkie naczynia, których dotknie, jest nie do zniesienia. (Należałoby przeczytać jeszcze raz niezliczoną ilość historii, jakie Fabián napisał po wojnie, żeby się przekonać, czy wszystkich negatywnych bohaterów obciąża swoim poczuciem winy).

Na obu etapach życia, kiedy składa podpis, musi użyć dużej litery „K”.

„K” pierwszego – jak mówi grafolog – jest wielkie, proste i szczere.

„K” drugiego jest też wielkie, ale podparte.

W różnych wersjach ma dodatkowe nogi, zawijasy, podpórki. Jakby samo nie było w stanie utrzymać się prosto i o własnych siłach.

Kafkárna

1985.

Do Pragi przyjeżdża Joy Buchanan, stypendystka, która chce poznać świat Kafki. Pisze o nim pracę. Mówi po czesku, chodzi po Starym Mieście i zadaje jedno pytanie: „Czy czytał/-a pan/pani Kafkę?”.

Ludzie nie odpowiadają. Jest rok 1985, od razu chcą wiedzieć, czy ma pisemne pozwolenie.

– Na co?

– Jakiś papier, że w ogóle ma pani prawo zadać takie pytanie.

Panna Buchananová (tak ją będą nazywać na Uniwersytecie Karola) zaczyna chodzić z czeską tłumaczką i magnetofonem. Ma to jej dodać wiarygodności. Kafki nikt nie czytał, ale przechodnie często uśmiechają się zagadkowo i mówią: „A tak, *kafkárna*!”, a tłumaczka nigdy tego słowa nie tłumaczy.

W końcu stypendystka pyta ją, co to jest *kafkárna*.

– Ach, głupstwo – mówi tłumaczka i milknie. Buchananová nie daje jej jednak spokoju. – No, tego słowa po prostu nie powinno się, a właściwie nie ma się prawa używać – wyjaśnia w końcu Czeszka.

– Macie słowa, których nie można używać?

– Nie, nie mamy żadnych słów zakazanych, co to, to nie. Po prostu takie słowo nigdzie nie figuruje.

– Ale ludzie je wypowiadają!

– Jednak gdyby pani szukała na piśmie, nie znajdzie pani. A u nas to, co nie jest napisane, właściwie nie istnieje. I powiem szczerze, że to jest wszystkim bardzo na rękę.

Kawiarnia to miejsce, gdzie parzy się kawę – myśli Amerykanka – *vodárna* to po czesku miejsce, gdzie oczyszcza się wodę, *octárna* – gdzie produkuje ocet. A więc istnieje miejsce, gdzie robi się coś z Kafką.

Joy Buchanan pyta na własną rękę. Jej opiekun z uniwersytetu mówi, że *kafkárna* to jest coś, o czym wszyscy wiedzą, ale wiedzą też, że nic się nie da z tym zrobić. Przede wszystkim nie trzeba się temu dziwić. Raczej trzeba to zaakceptować.

– Ale co?

– To jest coś podświadomego w myślach ludzi. Jak będzie pani tu trochę mieszkać, to na pewno samo się pani rozjaśni, nagle powie pani: „Aha, *kafkárna*!”.

Ludzie na placu Staromiejskim odpowiadają różnie. „To jest heca i gdyby człowiek nie brał tego jako hecy, to naprawdę nie wiadomo, co by było”. Albo: „To jest coś bardzo głupiego, ale musi być”. „Na pewno myli to pani ze *švejkárną*, a i to źle, bo nie ma takiego słowa. Jest za to *švejkovina*, czyli zachowywanie się jak Szwejk. Tylko to jest coś zupełnie innego niż *kafkárna*”.

Zauważyła, że ludzie w Czechosłowacji często porównują coś konkretnego z czymś, o czym mówią, że w ogóle nie istnieje albo że tego w ogóle nie znają.

Urzędnik z ankiety daje jej przykład:

– Proszę sobie wyobrazić, że jest pani mężczyzną, wchodzi do sklepu i pyta, czy są skarpetki frotté. Sprzedawczyni odpowiada: „Damskie, dziecięcych nie mamy”. Ta logika jest, panienko, bez sensu, ale działa.

– W tym jest logika?

– Bo przypuszcza się, że on wie czy też powinien wiedzieć, że męskich skarpetek nie było już w sprzedaży od pół roku i najprawdopodobniej nie będzie. Więc o jakie skarpetki mężczyzna może pytać? To jasne: tylko o damskie albo dziecięce.

Stypendystka ma ponad sto odpowiedzi i żadnej konkretnej definicji.

Pracownicy Uniwersytetu Karola, którzy się z nią kontaktują, są ostrożni. Kiedy na przyjęciu zorganizowanym na jej cześć coraz więcej osób dowiaduje się, o kim chce pisać, wszyscy przerzucają ją sobie jak parzący kartofel.

Odważniejsze od kolegów naukowców są ich żony. Żona dyrektora Instytutu Literatury Czeskiej wyznaje Buchanan, że mąż przymierza się,

żeby chociaż trochę tego Kafki przeczytać, na razie jednak nie może. Zaczynał i nie jest w stanie doczytać do końca.

– Proszę sobie wyobrazić, że próbował czytać o tym człowieku, co się przemienił w robaka. Ale to jest coś tak nienaturalnego, tak okropnego. To raczej jak z waszej amerykańskiej literatury, wy macie tam u siebie to science fiction, prawda?

– Mamy.

– Ale w tradycji literatury czeskiej takie odchylenia nie są czymś zwyczajnym.

Żona innego pracownika, archiwistka w instytucie, chce wyswatać amerykańską stypendystkę ze swoim synem, który o Kafce nie ma zielonego pojęcia. Matka postanawia przeczytać *Proces* i mu streścić, żeby mógł przyszłej narzeczonej czymś zaimponować. Szybko wpada w rozpacz. Ciągle wraca do początku książki, bo ma wrażenie, że umknęło jej, o co Józef K. był oskarżony. Potem myśli, że dowie się tego na końcu, i też nic. Potem jest przekonana, że wyjaśnienie pisarz zaszyfrował w podtekście. Ale też nie.

Z tego wszystkiego wybucha:

– Synu, naprawdę to jest czyste oszustwo! Żadnej wskazówki! W gatunku ta książka to horror, a człowiek w horrorze po tylu stronach ma przecież prawo znać przyczynę tej grozy!

Dwa miesiące później zjawiają się w pokoju stypendystki dwaj tajniacy. Służba Bezpieczeństwa chce wiedzieć, czy przechodnie, którzy odpowiadali na ankietę, nie zostali przypadkiem pozbawieni własnej woli. I czy aby w takim stanie nie odpowiadali na pytania.

Jeden z profesorów radzi Amerykance, aby w swojej pracy o Kafce najlepiej nazwiska Kafki nie używała.

Przekonuje, że w Czechosłowacji ludzie świetnie umieją obejść grząski teren.

– Przecież przez całe lata mówi się o pierwszej przedwojennej republice czechosłowackiej i czasem powie się, że ówczesny prezydent zrobił to i to. Wszyscy wiedzą o kogo chodzi, a nazwisko Masaryk za żadne skarby nie padnie. I to jest jak najbardziej w porządku.

O Kafce najlepiej jest więc mówić „ten pisarz”.

2006.

Historii stypendystki Joy Buchanan nie napisałem ja, tylko docent literatury amerykańskiej na Uniwersytecie Karola Radoslav Nenadál. Syn przedwojennego oficera, urodzony w 1929 roku, dziś jeden z najwybitniejszych tłumaczy z angielskiego. Powieść *Tudy chodil K*. (Tędy chodził K.) skończył jeszcze za socjalizmu, w 1987 roku, i oddał do wydawnictwa. Jakimś cudem jej zawartość przed drukiem poznali pracownicy jego uczelni.

Nikt się do niego nie odzywał przez pół roku.

Specjaliści od literatury byli jej treścią bardzo dotknięci. Zdawali sobie sprawę, że fabuła jest wymyślona, jednak – jak ktoś zauważył – było to zmyślenie prawdziwe.

Wydawnictwo nie miało odwagi jej wydać. Wyszła dopiero, gdy upadł socjalizm, a autor był już na emeryturze. W 1992 roku, w wydawnictwie Franz Kafka.

Jednak wydawnictwo Franz Kafka nie potrafiło jej sprzedać.

– Może ludzie nie byli gotowi na takie szyderstwo? – zastanawia się autor.

Stosy powieści *Tędy chodził K*. zalegają więc sklepy sieci Tanie Książki.

Jeden egzemplarz jest dziś w cenie biletu na tramwaj.

– Gdyby pan ją zechciał przetłumaczyć na polski – mówi. – Albo chociaż streścić w jakimś waszym czasopiśmie. Może wtedy coś więcej by po niej zostało.

– Proszę bardzo.

Film się musi kręcić

47

Okręt Marine Tiger płynie z Southampton do Nowego Jorku. Jarka Moserová z Pragi siedzi obok Šárki Šrámkovej z Prachatic w trzydziestoosobowej kajucie pełnej Europejczyków. Opowiada, jak zadziwia ją własna rodzina.

Babcia Jarki do obu wnuczek mówi po imieniu, do swojej córki zwraca się „ona”, a do syna – „on”. Dziadek do dzieci mówi po imieniu, ale syn mówi do niego „proszę pana”, za to swojej siostrze mówi „ona”. Do swojej mamy zwraca się po imieniu. – Córko, proszę ją, aby tu przyszła… Synu, czy nałożył sobie jeszcze tortu? – Jaroslava naśladuje teraz babcię.

– I nie wiadomo, skąd się wziął ten zamęt – mówi Šárce.

03

Zdeněk Adamec budzi się wcześniej i widzi, że na jego stole nie ma jeszcze kanapek z żółtym serem. Ale mama położyła mu już czyste slipy (wieczorem wyprasowała), skarpetki (wyprasowane) i termos z herbatą (posłodzoną). Sama wyszła na chwilę do sklepu.

WE
LOVE

Lata 80. Jaroslava Moserová w czasie, kiedy pracowała nad wykorzystaniem świńskiej skóry w leczeniu oparzeń (fotografia uzyskana od pana Tomáša Davida)

47

– A teraz pokażę ci nasze zdjęcia. – Jarka Moserová wyciąga z walizki rodzinne fotografie i pokazuje Šárce.

Na każdym zdjęciu ucieka jakaś niemłoda kobieta. Albo odwraca głowę, albo chce się zasłonić ręką, albo wykręca się całym swym dorodnym ciałem.

– To moja ukochana służąca Hilda – opowiada Jarka. – Jak się filmowało ją kamerą albo robiło zdjęcia, uciekała. Mamy mnóstwo filmów, jak Hilda ucieka. Już nie pracuje u nas, bo obie z siostrą dorosłyśmy, a poza tym była sudecką Niemką.

03

Zdeněk Adamec ma dziś wf.

Jest nieporadny, ma nadwagę.

Śmiechy. Szyderstwa.

47

Wpływają do Nowego Jorku. Przed wojną Moserowie prenumerowali „National Geographic” i Jarka widzi, że amerykańska trawa jest dokładnie taka jak na zdjęciach. A więc to nie było oszustwo – trawa rzeczywiście jest ciemniejsza niż w Pradze, wpadająca raczej w niebieski.

Z Nowego Jorku pojadą zaraz pociągiem do Karoliny Północnej. Są stypendystkami American Field Service. Organizacja zaprasza do szkół młodzież z krajów, które były okupowane przez faszystów. Jest rok 1947 i organizacja chce, aby młodzi Amerykanie właśnie od swoich rówieśników usłyszeli, jak żyje się w zagrożeniu.

Obie w szarych wełnianych garsonkach wchodzą do stołówki liceum plastycznego w Swannanoa. Amerykańskie dziewczyny mają na sobie długie, luźne koszule i dżinsowe ogrodniczki. Jarka po raz pierwszy widzi

dżinsy oraz widelce trzymane w prawych dłoniach. I nikt nie jest tym zażenowany. Noże leżą obok talerzy, jak ktoś chce pokroić kotlet, po prostu bierze nóż.

03

Mieszkanie Adamców znajduje się na parterze obskurnego bloku z lat siedemdziesiątych. W zeszłym roku, w czerwcu, Zdeněk zasiał sobie pod oknem pięć słoneczników.

Gdy wyrosły tak, że zaglądały już do jego pokoju, dwóch chłopaków z bloku podeszło wieczorem i każdy słonecznik pocięło na kilka kawałków.

47

Dyrektor amerykańskiej szkoły proponuje, aby Jarka ze swymi rysunkami i rzeźbami wystartowała w konkursie plastycznym Karoliny Północnej.

Na osiem konkurencji Moserová wygrywa siedem pierwszych nagród i jedzie do stolicy stanu odebrać siedem Złotych Kluczy. Ósmy Klucz wygrywa czarnoskóra dziewczyna, Nora Williams. Jest niemiła i małomówna. Z Raleigh wracają w tym samym kierunku. Wchodzą do pustego autobusu i Jarka chce usiąść z nową koleżanką na siedzeniu w drugim rzędzie.

– Mnie nie wolno – mówi Nora. – Nawet jak autobus jest pusty, my mamy prawo siedzieć tylko w ostatnim rzędzie. I może nas wejść tylko tylu, ilu tam z tyłu się upcha.

– To ja siadam z tobą – mówi Jarka, a Nora staje się coraz bardziej rozmowna.

Podczas drogi cały autobus ogląda się do tyłu. W pewnej chwili sytuacja jest tak napięta, że jakiś pasażer każe zatrzymać się kierowcy i zrobić z tym porządek.

– Jesteś czarna?! – pyta Jarkę.

Jarce chce się śmiać.

– Jasne, że nie jestem – odpowiada.

Nie wie, że nie powinna się do tego przyznawać. Każdy, kto uważa się za czarnego, jest czarny. Wystarczy, że krąży w nim kropla czarnej krwi. Gdyby powiedziała, że jest czarna, miałaby prawo siedzieć z Norą.

Dwóch mężczyzn podnosi się z siedzeń, czerwienieją im twarze i zaczynają głośno wciągać i wypuszczać powietrze.

– Nie jestem czarna – mówi nagle Jarka. – Ale jestem z Czechosłowacji!

I to zdanie ratuje ją przed linczem.

03

Zdeněk Adamec włącza komórkę. Zna się na telefonach. Jeśli jakiś kolega ma stary, rozwalony aparat, nawet w dziesięciu kawałkach, tylko Zdeněk mu go złoży. Gruntownie zmienia to Zdenkowi opinię. Ale na jedno popołudnie. Następnego dnia i tak wszyscy przypominają sobie, kim naprawdę jest Zdeněk.

48

Jaroslava Moserová zdaje maturę z trzecią lokatą w całej szkole. Powinna wracać do kraju, ale już czwarty miesiąc, od lutego, rządzą tam wyłącznie komuniści.

Czyta, że Czechosłowacja nie przyjęła amerykańskiej pomocy, czyli planu Marshalla, a Związek Radziecki jest jedynym jej przyjacielem. Nawet symbol demokracji, minister Jan Masaryk, powiedział o sobie z goryczą, że został sowieckim lokajem.

Dyrektor amerykańskiej szkoły przekonuje Jarkę, że jeśli wróci do swego kraju, nigdy już z niego nie wyjedzie. Dodaje, że zanim w ogóle po przyjeździe do Pragi dopuszczą Moserovą do rodziców, na pewno – jako wnuczkę dyrektora generalnego Banku Ziemskiego – czeka ją obóz przekształceniowy.

W obozie na pewno poddadzą ją zmianie świadomości.

03

Mama Zdenka jest przekonana, że wstał wcześniej, aby być w szkole godzinę przed lekcjami.

49

Amerykanie przedłużyli Czechosłowakom stypendium o rok, Jaroslava Moserová studiuje w Art Students League. Dorabia w wytwórni lamp, gdzie na podstawkach do lamp maluje róże w dwóch kolorach.

Wiosną kończy naukę i chce zarobić na wycieczkę. Przyjmuje się na trzy miesiące do domu producenta automatów z suszonymi owocami. Będzie wychowawczynią jego dzieci. W domu na Long Island jest już troje czarnych służących, w tym kucharka. Jednak czarna ręka nie ma prawa dotknąć dziecięcego łóżeczka, dziecięcej łazienki i dziecięcego ubrania.

– Dzieci, oczywiście, nie mogą wchodzić do czarnej kuchni! – tłumaczy jej żona wytwórcy automatów. – Musisz tego pilnować!

03

Już o siódmej rano w technikum przemysłowym w Humpolcu otwierają salę komputerową i Zdeněk codziennie siedzi tam przed zajęciami. Siedzi też po lekcjach. Wczoraj czatował aż do zamknięcia sali. Rozmawiał z Tomášem B. (nick Niezły).

Temat brzmiał: „Jestem gruby i nie mam dziewczyny”.

(– A więc grubasami byliśmy obaj – powie potem Niezły. – Ale dziewczyny nie miał tylko on).

49

Jaroslava Moserová nie ma całkowitego zaufania do amerykańskiej cywilizacji. We wrześniu chce więc wracać do rodziców. Skończyła dziewiętnaście lat i postanawia, że zanim zostanie zamknięta w klatce, wybierze się w podróż dookoła świata. Płynie transportowcami z San Francisco do Indii, a potem do Europy. Gra w karty z marynarzami, z nikim

nie udaje jej się naprawdę zaprzyjaźnić, a do domu wiezie parasole z rybich błon, które kupiła na Filipinach.

W pociągu z Zurychu do Pragi jest jedyną pasażerką. Nikt nie jeździ do Czechosłowacji i nikt z niej nie wyjeżdża.

Chce napisać zaraz do Nory Williams, ale orientuje się, że w Czechosłowacji nie pisze się listów za granicę. To znaczy można pisać, bo przecież jest wolność i ludowa demokracja, ale nikt nie chce tego robić.

Dlaczego?

Bo nie wiadomo, jaka może przyjść odpowiedź.

Do pewnej kobiety ktoś odpisał z Kanady: „Zawsze nie lubiłaś czerwonego i co teraz?” i zaszkodziło to nie tylko jej, lecz także całej rodzinie. Dziennikarz z Pragi napisał list do „The Times”, o ile podrosły ceny cygar i że nazwa „Delikatesy” zmieniła się na „Źródło”, i był sądzony jako szpieg.

Nie, nie będzie studiowała sztuk pięknych. Kto wie, kogo będą kazali jej wyrzeźbić?

Zda na medycynę. Lekarz bez względu na okoliczności zawsze będzie pomagał.

– Ale zostanę, tatusiu, chirurgiem plastycznym. Wykorzystam talent, a chyba nie będą mi kazali przerabiać twarzy pacjentów na twarze Marksa i Engelsa?

03

Zdeněk Adamec ubiera się.

Jego ojciec wyrabia nagrobki i w jedenastotysięcznym Humpolcu w środkowych Czechach właśnie z tego go znają. Mama jest na rencie i poświęca się synowi. Aż do szóstej klasy podstawówki przyprowadzała go do szkoły i odprowadzała do domu. Dyrektor zauważył wtedy, że to jedyny znany mu przypadek, aby matka nosiła za trzynastoletniego zdrowego chłopaka jego tornister. Na radzie pedagogicznej podzielił się swoją obserwacją.

– Mam wrażenie, jakby ta kobieta niezdrowo przykleiła się do ciała swego syna – powiedział.

51

Nawet do nauczycieli uczniowie mówią już obowiązkowo „towarzyszu nauczycielu”.

Mama Jaroslavy razem z jej stryjem, jako urzędnicy państwowego banku, jadą na czyn społeczny, gdzie wszyscy zwracają się do siebie „towarzyszu”.

– I wiesz, Jaruško – mówi potem mama – że mój brat nie śmiał mnie przy tych ludziach jak zwykle spytać: „Siostro, ona zjadłaby coś?”. No, przestaliśmy się już do siebie normalnie zwracać! Zaczęliśmy się wstydzić i mówiliśmy bezosobowo: „Mogłoby się coś zjeść” albo „potem się trochę zje…”. Popatrz, niby nie mówiliśmy sobie „towarzyszu”, ale jednak już poszliśmy na jakiś kompromis. Czy z takich małych kompromisów powoli powstają kompromisy wielkie?

03

Jeden nauczyciel powiedział podobno głośno (podobno nie przy Zdenku), że jego matka robi mu rzeczy, które każdy chłopak robi sobie sam.

Chłopcy z powodu nazwiska Adamec mówią do Zdenka Ada.

– Ada! – krzyczeli niedawno. – Twoja matka to ci nawet pytona marszczy!

Zdeněk zrobił się siny i przestał oddychać.

51

Ojciec Jarki, Jaroslav Moser, ma cztery słabości: żonę, narty, dobre samochody i blondynki. Nie jest w partii. Mimo to, jako prawnik i specjalista od wyrobu żelaza, zostaje kierownikiem w syndykacie kopalń i hut w Ostrawie. Jego partyjny dyrektor z nieznanych powodów popełnia samobójstwo w swoim ogródku i ojca Jaroslavy aresztują. Wychodzi po roku. Bez postawionych zarzutów, bez procesu, bez sądu.

Wynędzniały, pozbawiony pracy, zawsze jest z czegoś zadowolony. Mówi, że w areszcie śpiewał arie Wagnera. („A gdybym tam nie trafił, do głowy by mi nie przyszło śpiewać”). Znajduje pracę jako referent w spalarni śmieci. Jest dumny, że Jarka studiuje chirurgię, a jej starsza siostra – ginekologię.

03

Zdeněk woli wychodzić z bloku rano, niż wracać po południu. Rano nikt jeszcze nie gra w nogę na podwórku i nie ma obawy, że piłka przypadkowo poleci właśnie w jego stronę. Gdy widzi, że piłka leci i on ma ją odkopać, czuje, jak robi mu się słabo.

(Potem – kiedy już będzie po wszystkim – któryś z internautów przypomni sobie: Zdeněk mu się zwierzał, że boi się piłki, bo nie potrafi jej celnie kopnąć. „Jak piłka leci, to jest horror”).

55

Jaroslava Moserová czeka na dyplom. Nie ma szans na przeczytanie rozważań pewnego pisarza z Polski pod tytułem *Jak w cywilizacji komunizmu przejść przez uniwersytet, nie tracąc wiary w życie?* (odpowiedź pisarza: „Jest to niemożliwe”).

Na piątym roku studiów na Uniwersytecie Karola Jaroslava Moserová dowiaduje się, że nie dostanie tytułu doktora nauk medycznych. Władze uczelni oznajmiają: „Partia i rząd zadecydowały, że absolwenci fakultetów medycznych w całym kraju nie będą doktorami, ale »promowanymi lekarzami«”.

Studencka delegacja dostaje się z petycją do prezydenta republiki. Tłumaczą, że źle na to zareagują pacjenci i spadnie autorytet lekarza.

Następnego dnia wzywa się wszystkich do auli. Przemawiają wiceminister edukacji i szef kancelarii prezydenta. Przewodniczący studenckiej delegacji referuje, że towarzysz prezydent wysłuchał ich petycji i powiedział: „W zasadzie się z wami zgadzam, ale…”.

Na to wstaje szef kancelarii i mówi, że to nieprawda. Towarzysz prezydent powiedział: „W zasadzie się z wami nie zgadzam, ale…”.

Na to przewodniczący delegacji spogląda na kolegów, którzy razem z nim wręczali petycję, i mówi:

– Ale ja mam świadków!

Przewodniczący na kilkanaście dni przed promocją pokazuje kolegom z wydziału lekarskiego wezwanie od Służby Bezpieczeństwa. Na kartce – zarzut: „Kłamliwie przekręcenie słów Głowy Państwa”.

Idzie na przesłuchanie i znika.

Po prostu nigdzie go nie ma, nikt o nim niczego już nie słyszy.

Cały piąty rok medycyny oczekuje na promocję i siedzi cicho.

Nikt się niczemu nie dziwi.

– Dlaczego my milczymy? – zastanawia się Jarka.

– Chyba dlatego, że zbyt wielu ludzi znika – mówi koleżanka.

03

Jeśli Zdeněk dokądś wychodzi po lekcjach, to z mamą, polerować maskę samochodu.

Rodzice oczywiście wiedzą, że chłopak powinien gdzieś bywać. Namówili go na klub wędkarski. Wędka i piwo to dwa koniki prawdziwych mężczyzn na Vysočinie. Zdeněk chodził do klubu dwa lata. Jego ojciec też się tam zapisał.

I – żeby Zdenkowi było przyjemniej – ojciec postarał się i został przewodniczącym koła.

60

Jaroslava Moserová pracuje teraz na oddziale oparzeń w klinice Uniwersytetu Karola w Pradze.

W jej życiu coraz częściej pojawiają się te zdarzenia, o których mówi się jedno: „O… Boże!”.

Pan J. był typografem, ale śmiertelnie zgrzeszył: miał na własność drukarnię. W tej sytuacji partia podjęła decyzję, że zostanie elektrykiem.

Odebrali mu drukarnię i kazali przyuczać się do nowego zawodu. Miesiąc później prąd poraził go tak, że stracił czoło, nos, kości policzkowe i roztopiły mu się oczy.

– Wyobraź sobie – Jaroslava mówi siostrze – że prąd miłosiernie uszkodził mu mózg.

– Jak to uszkodził miłosiernie? – dziwi się siostra.

– No, tak lekko – tłumaczy Jarka. – Tak, że pacjent długo trwał w jakimś, jak to nazwać?, niestosownym optymizmie i opowiadał, jak to wróci do drukarstwa. Więc zaczęłam go namawiać, żeby nauczył się pisma dla niewidomych. Ale nawet słyszeć nie chciał! Mówił, że dzisiaj, kiedy ludzie za chwilę polecą na Księżyc, to lekarze szybko nauczą się transplantować oczy. I to twierdził ktoś, kto nie tylko nie miał oczu, on nie miał, Boženko, w ogóle żadnej twarzy!

Nasz profesor stworzył mu sztuczną twarz, wymodelował nos, taki jeszcze bez dziurek, i przygotowywał się do oczodołów. Tak, aby można było włożyć do nich szklane oczy. Potem, jakby pan J. założył okulary, nikt by się nie zorientował…

I jeszcze przed oczodołami wypuściliśmy go do domu. Bo były wakacje, a jego córka mówiła, że sobie odpocznie w pachnącym ogrodzie. No i wyobraź sobie, że w domu, który córka właśnie wybudowała, zupełnie niewidomy pan J. sam zainstalował całą elektryczność! A na końcu – sam założył antenę telewizyjną na dachu.

– No to wspaniale! – cieszy się siostra, która na ginekologii nie ma aż tak efektownych historii.

– Ale kiedy już dom był skończony, wakacje minęły, wnuki poszły do szkoły, a córka do pracy, pan J. został sam. I wiesz, jak wrócili po południu do domu, znaleźli go na podwórku nieżywego. Powiesił się.

03

Zdeněk Adamec nie może żyć bez internetu.

Wczoraj zajrzał na przykład na strony o bezmyślnym zaśmiecaniu świata. Zostawił wpis: „Ludzkość mnie przeraża”.

Zostawił ślady na www, gdzie dowodzi się, że demokracja jest nieskuteczna. („Bo jest tylko władzą urzędników i pieniędzy” – dopisał).

Zostawił ślady na stronach zwolenników poglądu, że telewizja to wynalazek Szatana.

Zostawił na stronach przeciwników kreskówki *Tom i Jerry* („W tym pozornie niewinnym filmie jest więcej gwałtu niż w jakimkolwiek innym”).

Na stronach, gdzie przewiduje się, że po wielkim energetycznym kryzysie dojdzie do wybuchu kilku wojen o resztki ropy. („To zresztą jedyny powód ataku na Irak”).

Zdeněk na niektórych czatach i w niektórych adresach kamufluje się jako Satanic. (Potem niektórzy będą twierdzić, że Adamec to także agresywniejszy w wypowiedziach Satanic666).

Dręczy się niedoskonałością ludzkiej natury. „Do czego potrzebne jest prawo?” – pyta. „Czy każdy człowiek nie może sobie sam uświadomić, co mu wolno, a czego nie? Jak widać, jesteśmy cywilizacją nie dość dorosłą i mamy się czego uczyć”.

60

Rodzice Jaroslavy raz w życiu wyjeżdżają za granicę. Na zaproszenie swojej byłej służącej Hildy. Mieszka teraz z mężem ginekologiem w RFN. Witają się. Ona z poczuciem wstydu za wojnę, oni – za wypędzenie sudeckich Niemców.

– To filmowa scena, Boženko – mówi Jaroslava do siostry. – Dwoje zbiedniałych starych ludzi u swojej służącej, która przyjmuje ich w pięknym apartamencie. I cała trójka płacze.

Siostra pokazuje jej zdjęcia przyjaciół. Na jakimś zbiorowym zdjęciu Jaroslava widzi mężczyznę z chłopcem, których jeszcze nie zna.

Siostra tłumaczy, że to prawnik Milan David z synem Tomášem. Rozwiódł się i ma dwunastoletniego chłopca pod opieką.

– To mi się podoba – mówi. – Mężczyzna od razu z gotowym dzieckiem.

Jadą z całą grupą ze zdjęcia na narty. Jaroslava bierze od Milana puszki z zupą i stawia obok swojej puszki na elektrycznej maszynce. Po tygodniu

czują, jakby należeli do siebie, po dwóch latach wezmą ślub.

Milan i Tomáš mieszkają we trzech, z ojcem Milana, czyli dziadkiem Josefem, w jednym pokoju. Oświadczyny wyglądają tak:

– I dziadek, i Tomáš bardzo chcą, żebyś zamieszkała w naszym pokoju – mówi Milan.

Dziadek, czyli ojciec Milana, zanim komuniści doszli do władzy, był przewodniczącym parlamentu. Następnego dnia po puczu sam wycofał się z polityki i już dwunasty rok rozwiązuje krzyżówki. Teraz przewodniczący parlamentu będzie spał za zasłonką rozciągniętą na sznurku między szafą a ścianą.

03

Matka zauważa, że Zdeněk bierze plecak z książkami.

Dyrektor technikum jak dotąd był ze Zdenka bardzo zadowolony. Nie idą mu wprawdzie czeski i wf, ale fizyka i matematyka – świetnie. A już o komputerach Adamec wie wszystko. Nawet miał mu zaproponować płatną funkcję opiekuna pracowni internetowej, gdyby nie ten zaskakujący wypadek z policją.

Policja wytropiła, że Zdeněk Adamec radzi internautom, jak na przykład zrobić sobie zawsze naładowaną kartę telefoniczną do automatu.

Pewne ślady wskazują też, że Zdeněk Adamec użyczył alterglobalistom kodów dostępu do swoich stron. Ci użyli ich do propagowania metody – jak przerywać dostawy prądu elektrycznego. Po to, żeby złamać monopol wszechwładnego kapitalistycznego państwa.

Po pierwszym przesłuchaniu Zdeněk strony natychmiast skasował.

63

Pewnego dnia Jaroslava Moserová widzi sławę czechosłowackich chirurgów plastyków – profesora Františka Buriana – i nie może uwierzyć, że jest jeszcze niższy od niej. Przecież ona, gdy stoi na prawej nodze, ma tylko sto pięćdziesiąt osiem centymetrów, gdy na lewej – sto pięćdziesiąt sześć, a gdy na obu – sto pięćdziesiąt siedem.

– Zobaczyła pani najmniejszego olbrzyma, jaki się urodził – tłumaczy jej jedna docent.

Profesor Burian jest niski, ale ma wielką ideę: *Atlas chirurgii plastycznej*. Życzy sobie mieć osiemset pięćdziesiąt ilustracji, w dodatku na rysunkach mają być prawdziwi pacjenci, podobni do siebie, co jeszcze się w dziedzinie atlasów podobno nie zdarzyło. Profesor nie dopuszcza żadnych anonimowych twarzy. Przynosi stare zdjęcia, opisy operacji i Jaroslava Moserová, młody chirurg i członek związku artystów plastyków, ilustruje atlas cztery lata.

Profesor nosi aparat słuchowy. Kiedy Jaroslava go nudzi, wyłącza aparat i pogwizduje. Jest ciągle niezadowolony. Po kilka razy każe na nowo rysować każdą ilustrację. Po jakimś czasie przed każdym spotkaniem pyta ją:

– Najpierw będziemy pić kawę czy się kłócić?

Ona woli zawsze najpierw się kłócić.

Kawę podaje gosposia. Profesor Burian mieszka z córką, zięciem i pomocą domową. Gosposia odchodzi, kiedy zięcia profesora aresztują z nieznanych powodów. Profesor chyba ją rozumie, obok rodziny osoby aresztowanej znajomi nie siadają nawet w poczekalni u dentysty. Ludzie mają prawo się bać. Kawę przynosi teraz córka profesora.

Profesor Burian umrze dwa dni po napisaniu przedmowy i nie doczeka wydania atlasu.

03

Na biurku Zdenka Adamca leżą wydruki komputerowe. Dotyczą Pochodni numer jeden.

W ubiegłym roku Zdeněk zaczął czytać o niezwykłym studencie. Nazywali go Pochodnią numer jeden. Gdyby w sierpniu 1968 roku nie zaczął się wyjątkowo podły czas, gdyby do kraju nie weszli Sowieci razem z czterema innymi armiami i gdyby nie panoszyli się coraz bardziej, Pochodnia numer jeden nie musiałby posunąć się do ostateczności.

Ludzie bowiem najpierw się poddawali, a potem sprzedawali. Nie wolno było mówić tego, co jeszcze wiosną mówiono swobodnie. Pochodnia numer jeden był studentem wydziału filozoficznego. Chciał obudzić ludzi.

Zdeněk znalazł wypowiedź studentki z Pragi, która potem została reżyserem światowej sławy, że wybór tych, którzy mieli stanowić ostateczną dziesiątkę do spalenia, był staranny. Chodziło o to, żeby spalili się dobrzy studenci, żeby nie mieli problemów psychicznych, nerwic, rozczarowań miłosnych, aby nie można było propagandowo zdezawuować motywów tego czynu. Wybrano najlepszych z najlepszych. I wśród tych najlepszych dokonano losowania.

Zdeněk przeczytał list Pochodni numer jeden napisany przed śmiercią: „Jeżeli nasze postulaty – między innymi zniesienie cenzury – nie będą zrealizowane w ciągu pięciu dni, to znaczy do 21 stycznia 1969 roku, jeżeli dodatkowo nie poprze ich naród przez strajk powszechny, zapłoną następne pochodnie".

„Pochodnia numer jeden" – podpis.

Zdeněk bierze te wydruki ze sobą.

65

Na oddziale oparzeń nie we wszystkich salach, gdzie leżą chorzy, zezwala się na lustra.

Nie wszyscy pacjenci życzą sobie, aby najbliżsi na nich patrzyli. Woleliby z nimi rozmawiać zza parawanów.

Doktor Jaroslava Moserová zbiera materiały do swojej książki *Straty skórne i ich uzupełnianie*. Interesuje się skórą spaloną.

Na miejsca po zwęglonej skórze – na razie – przeszczepia się skórę własną pacjenta. Wycina, rozciąga w skali jeden do trzech i przykłada. Gdy brakuje własnej, na kilkanaście dni – jako naturalny opatrunek – przykłada się skórę nieboszczyków. Ale zanim Jaroslava Moserová za kilka lat skończy swoją książkę, rozwinie się metoda uzupełniania strat skórą z prosiąt. Skóra wieprzowa jest najbardziej zbliżona do ludzkiej, bardziej niż skóra szympansa.

W dziedzinie kompensacji strat skórnych Jaroslava Moserová współpracuje z polskimi naukowcami i otrzymuje od nich złoty medal.

Dostaje stypendium na Texas University w Galveston.

Zauważa u siebie dziwną przypadłość: w ogóle nie pamięta pacjentów, którym pomogła. Dobrze pamięta tylko tych, przy których przegrała.

Nieskuteczność jest tym, co ją w niej samej przeraża najbardziej.

03

Mama pyta, czy wziął kanapki.

Zdeněk wie, że Pochodnia numer jeden kupił gdzieś w centrum Pragi białe plastikowe wiadro, a potem na stacji nalał do niego benzyny. On nie będzie brał ze sobą żadnego kanistra, bo mama zaraz spyta, po co. Też sobie kupi jakiś pojemnik w Pradze.

Ma już list zaczynający się od słów: „Szanowni Obywatele Świata…”. Umieścił go na www.pochodnia2003.cz[18].

69

Przez oddział przeszła już fala poparzonych podczas zamieszek z sowieckimi czołgami.

16 stycznia Jaroslava Moserová akurat ma dyżur, gdy przywożą młodego mężczyznę. Słyszy, jak sanitariusze mówią, że to Pochodnia numer jeden. Nazywa się Jan Palach. Spalił się pod muzeum na placu Wacława. Ma zwęgloną prawie całą powierzchnię ciała i drogi oddechowe.

Salowe, które zawsze młodym mówią po imieniu, do niego zwracają się „pan”.

Pielęgniarki mówią, że to jest Jan Drugi, bo chciał przypomnieć czyn Jana Husa.

Agonia Jana Palacha trwa siedemdziesiąt dwie godziny.

Do szpitala ludzie przynoszą mu setki kwiatów, nadchodzą setki listów. Pielęgniarki czytają mu je. Czyta i Jaroslava Moserová. A on w gorączce otwiera oczy i pyta chrapliwym, cierpiącym głosem:

– To nie było na darmo?

– Nie było, nie było – odpowiadają.

– To dobrze – mówi pacjent.

Tajna policja stoi pod szpitalem.

Mimo sowieckiej okupacji trumna wystawiona jest w hallu pałacu Karolinum, w oknach mieszkań – świece. Tłumy ludzi płaczą i odwiedzają zmarłego do północy. W kraju – głodówki, wiece i strajki.

Pogrzeb jest demonstracją, a grób na praskim cmentarzu Olšany – miejscem pielgrzymek.

Za kilka lat władza zmusi matkę i brata Palacha do podpisania zgody na ekshumację. Tajna policja wyciągnie szczątki w nocy, spali je i odda im urnę.

Będą trzymać ją w domu, bo w rodzinnym mieście Palacha Všetaty cmentarz nie przyjmie jej przez rok.

W 1990 roku prezydent Václav Havel urnę z Všetat uroczyście zwróci Olšanom.

03

Zdeněk ma do wyboru: jechać z Humpolca do Pragi autobusem lub pociągiem. Jeśli pojechałby pociągiem, to dopiero po południu i z przesiadkami. W Kolínie musiałby wsiąść do pospiesznego „Jan Palach”. Jedzie więc o 6.30 autobusem bezpośrednim.

Droga do Pragi to autostrada – dziewięćdziesiąt kilometrów wąwozu wśród drzew i łąk. Co mogłoby go na tej drodze zatrzymać? Jedyne, co widać, oprócz brunatnych lasów, pozbawionych jeszcze liści, to gigantyczne billboardy:

„Już czas! Zrób coś w zgodzie ze swoim sumieniem. Skorzystaj z liftingu skóry”.

„Właściwy czas na efektywną inwestycję. Nowa Książka Telefoniczna…”.

„Chętnie się rozbieram – 0-800…”.

W Pradze Zdeněk jest pięćdziesiąt minut później.

76

Po pacjentach z inwazji pojawiają się pacjenci z normalizacji – pierwsze ofiary procesu stwarzania nowego, posłusznego człowieka. Na przykład pan K., jeden z siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy ludzi, których po 1970 roku zmuszono do zmiany pracy. Pan K. (wykształcenie wyższe, trzy języki) był pracownikiem handlu zagranicznego. Partia zdecydowała, że teraz będzie wylewał asfalt na ulicach. Raz klapa cysterny nie wytrzymała ciśnienia i gorąca smoła wystrzeliła wprost na K.

Roztopiła mu całe ciało poza twarzą.

Człowiek, który ma do czynienia z potwornościami, musi wymyślić sobie metody, które pozwolą mu nie oszaleć.

Jaroslava Moserová na przykład najpierw rysowała kilka wersji dziewczynki, która idzie z wysoko podniesionym słonecznikiem.

Teraz przed szaleństwem chroni ją Dick Francis. Pierwszy dżokej Królowej Matki.

Startował w Wielkiej Narodowej, zwanej Wielką Liverpoolską, na faworycie królowej, koniu Devon Loch. Cała rodzina królewska wierzyła w to zwycięstwo. Nagle na prostej drodze koń przewrócił się. Po chwili jakby się opamiętał, wstał i biegł dalej, ale już niczego nie osiągnął. Zbadano go później: nie był ani zraniony, ani chory. Przez lata dyskutowano o tym zadziwiającym przypadku, a Królowa Matka napisała we wspomnieniach: „To moje największe życiowe rozczarowanie”.

A zdegradowany Dick Francis napisał o tym całą powieść.

Potem zaczął wymyślać historie kryminalne. Większość jego powieści rozgrywa się na wyścigach konnych, zazwyczaj w Ameryce Południowej, zaś Jaroslava Moserová tłumaczy je wszystkie na czeski.

(Do 2003 roku przetłumaczyła czterdzieści cztery jego powieści, dostała nagrodę za sztukę przekładu, a Dick Francis pobił w Czechach samą Agathę Christie).

– Co pani odreagowuje? – pytają dziennikarze. – Dlaczego pani tłumaczy właśnie te książki? I dlaczego tylko tego autora?

– Bo w nich zawsze dobro zwycięża, a zło jest ukarane. A poza tym on niechętnie posyła ludzi do więzienia – odpowiada Jaroslava Moserová.

– Jeśli już jakaś szuja musi być ukarana, to raczej spada ze skały albo ginie w katastrofie – dodaje.

Są lata siedemdziesiąte i słowo „więzienie” budzi w czechosłowackich dziennikarzach czujność, może nawet niekoniecznie widzieliby je w druku, więc szukają czegoś innego.

– No cóż… – stara się zadowolić ich tłumaczka. – Ważne też jest dla mnie to, że u niego nikt oprócz mordercy nie myśli w pierwszej chwili o alibi.

03

Pani Adamcová dzwoni do Zdenka na komórkę. Dzwoniła już raz i nie odebrał.

– Gdzie jesteś, synku? – pyta.

– A gdzie mam być?! – odpowiada Zdeněk i się rozłącza.

77

Václav Havel dla Jaroslavy Moserovej jest małym chłopcem, który na fotografii stoi w krótkich spodniach obok niej i Boženy. Ich rodziny się przyjaźniły. One mają po siedem, dziewięć lat, Havel – trzy.

Syn ogląda fotografię i pyta:

– O czym żeście rozmawiały, mamo, z panem Havlem?

– O niczym, Tomášku! – obrusza się mama. – My go ignorowałyśmy. Dla nas był przecież za młody.

03

Zdeněk Adamec ma już wypełniony kanister.

87

O lekarce Jaroslavie Moserovej mówi się, że leczyła pacjenta, któremu wybuch gazu nie poparzył tylko tego, co miał pod grubymi szortami. I dłoni, bo trzymał je w kieszeni. Był młodym skrzypkiem, przed wybuchem skończył konserwatorium. Po roku od transplantacji znów zaczął ćwiczyć, ale nie mógł stać i długo utrzymać smyczka w dłoni. Już po dziesięciu minutach się zniechęcał. Ponieważ jego lekarka pochodzi z domu, w którym dzieci musiały odróżniać Moneta od Maneta i grać na pianinie, zaczęła ćwiczyć z pacjentem Corelliego w duecie.

Aby dorównać absolwentowi klasy skrzypiec, ponadpięćdziesięcioletnia chirurg sama zapisała się na lekcje gry na pianinie. Kiedy ćwiczą wspólnie, chłopak wytrzymuje całą godzinę.

Tak grają trzy lata.

A potem występują na europejskim kongresie chirurgów plastycznych i wykonują Janáčka.

Teraz Jaroslava Moserová ma pomysł na scenariusz filmu fabularnego.

Matka niechcący zraniła córkę w policzek. Historia ma się zaczynać, gdy dziewczyna jest już dorosła, ma bliznę na pięknej twarzy, dobrą pracę i wielu przyjaciół. Wszystko jest w porządku, poza poczuciem winy u matki. Dręczy córkę niezdrową opiekuńczością. Wina jest treścią jej życia.

Scenariuszem zainteresował się Evald Schorm, legenda czechosłowackiej nowej fali, milczący już prawie dwadzieścia lat, mniej więcej od śmierci Palacha. Chce reżyserować, jednak nie ma ochoty pisać. Mówi, że to ona napisze scenariusz. Gdy Jaroslava się wzbrania, reżyser tłumaczy, w jaki sposób ma pisać: po lewej stronie scenariusza – to, co słychać, na przykład trąbienie auta, po prawej – to, co widać, na przykład, że zasłonka się rusza.

Rolę matki zagra przyjaciółka Jaroslavy. Była żoną miłego chłopaka sieroty, który odwiedzał po wojnie Moserów. Nie miał nikogo, a chciał, żeby ktoś posmarował mu chleb masłem, a nawet, aby na niego pokrzyczał, co jest zrozumiałe, gdyż chodziło mu o substytut rodziny. Przyjaciółka

aktorka nazywa się Jana Brejchová, a jej były mąż od chleba z masłem Miloš Forman.

Film powstaje, ale nie może mieć tytułu takiego, jaki chce scenarzystka. A ona chciałaby *Białe kłamstwo*.

Słowo „kłamstwo”, tak jak i słowo „prawda”, jest w sztuce zakazane i podczas normalizacji nie jest wskazane żadnego z nich używać. Druga legenda czechosłowackiej nowej fali Věra Chytilová właśnie nie mogła użyć w filmie słowa „myślę”. „Myślę, że…” – mówił dość powoli aktor, a komisja kolaudacyjna stwierdzała, że nie ma prawa tak znacząco myśleć, bo różnie to można zinterpretować. A kiedy w jednej scenie mężczyzna zatrzasnął się w WC i krzyczał: „Jestem zamknięty!”, Věra Chytilová musiała wyciąć z filmu całą scenę.

Najnowszy film Evalda Schorma ma więc tytuł: *Właściwie nic się nie stało*.

03

Zdeněk Adamec wchodzi na szerokie schody muzeum.

Jest ósma rano, zimno, początek marca.

89

Ciężko chory Evald Schorm umiera miesiąc przed premierą filmu.

Przypadkowo wyznaczono ją na 19 stycznia w kinie Pałacu Lucerna na placu Wacława.

Ale tego dnia do placu nie dojeżdża żaden tramwaj ani metro. Dokładnie 19 stycznia dwadzieścia lat temu umarł Jan Palach i kilka tysięcy demonstrujących osób zostało właśnie otoczonych przez milicję.

Na *Właściwie nic się nie stało* nie ma ani jednego widza.

W Polsce w maju wychodzi „Gazeta Wyborcza”, w Czechosłowacji jednak Václav Havel siedzi jeszcze w więzieniu. Ale już w listopadzie, gdy tworzy się Forum Obywatelskie, staje na jego czele. Dołączają aktorzy, filozofowie, dziennikarze, lekarze… Dołącza i ona.

– Tylko mam sporo obaw, przecież nie jestem politykiem – mówi.

– Dzięki Bogu, pani Moserová, nikt z nas nie jest politykiem – uspokajają koledzy.

03

Tak jak Pochodnia numer jeden, Zdeněk Adamec oblewa się, zaczynając od głowy.

Wskakuje na kamienną poręcz schodów, zapala zapalniczkę.

Skacze w dół.

Kontakt z powietrzem w ruchu powoduje, że ogień równomiernie obejmuje całe ciało.

01

Siedemdziesięciojednoletnia Jaroslava Moserová pisze swoje wspomnienia *Opowieści. O kim się nie zapomina*. Tworzy www.moserova.cz, musi uwzględnić ostatnie dwanaście lat.

Była wiceprzewodniczącą Forum Obywatelskiego, ambasadorem Czechosłowacji, a potem Czech w Australii i Nowej Zelandii, wiceprzewodniczącą Senatu Republiki Czeskiej.

Dalej – przewodniczącą Konferencji Generalnej UNESCO, która wspiera kształcenie społeczeństw. Jaroslava Moserová uważa, że można w prosty sposób pomóc nawet najbiedniejszym obszarom. Jeśli nie ma dość środków na kształcenie, trzeba najpierw zakładać radio. Radio będzie atrakcją, a jednocześnie pouczy, jak dbać o higienę i jak nie zachodzić w ciążę.

Teraz Moserová jest senatorem ODA, czyli Obywatelskiego Sojuszu Demokratycznego, w okręgu pardubickim. ODA konkuruje z ODS Václava Klausa.

Jej partia nie ma wielkiego poparcia. Co z tego, że chcieli roczne zeznania podatkowe zredukować do jednej strony formatu A4? (To się ludziom spodobało). Co z tego, że chcieli zarejestrować związki osób tej samej płci? (To już nie spodobało się wszystkim). Kiedy jednocześnie chcieli całkowitego uwolnienia czynszów. (I to nie spodobało się prawie nikomu!).

Jaroslava Moserová wygrała tylko dlatego, że ludzie w Pardubicach uważali, że to w porządku kobieta.

03

Zdeněk Adamec upada cztery metry od miejsca, gdzie zapalił się Palach.

Ma spalone usta, ale stara się jeszcze coś powiedzieć.

Potem będzie się opowiadać, że Zdeněk Adamec, tak jak Pochodnia numer dwa – Jan Zajíc – wypił żrący kwas, aby nie krzyczeć[19].

02

Co jakiś czas Jaroslava Moserová styka się z pewną kwestią.

Chodzi o to, że w 1977 roku nie podpisała bardzo ważnego dla przyzwoitego człowieka dokumentu. Zwłaszcza że akcję i dokument zainicjował chłopiec ze zdjęcia, ten w krótkich spodniach, który trzydzieści sześć lat wcześniej był za młody dla sióstr Moserovych do poważnych rozmów.

Dlaczego nie podpisała Karty 77?

Jaroslava Moserová mogłaby odpowiedzieć coś w stylu Bohumila Hrabala: „Mam tyle kłopotów, by samego siebie ukształtować, tyle kłopotów z moimi bliźnimi, że nie starcza mi czasu na jakąkolwiek zmianę wydarzeń politycznych. Nie wiem nawet, o czym mówią ci, którzy takich zmian pragną, bo ja chciałbym zmienić tylko samego siebie”.

Mogłaby coś takiego jak pan Hrabal powiedzieć i pewnie byłaby zrozumiana.

Jaroslava Moserová mówi jednak:

– Gdyby Karta przyszła do mnie, na pewno bym ją podpisała, a że nie przyszła, sama jej nie szukałam.

Więc przyznaję: byłam ostrożna.

Na sugestię trochę zbyt pewnego siebie dziennikarza z Polski, że człowiek jest tylko tym, kogo udaje, i niemożliwe, aby dziś jako polityk i dyplomata nie kłamała, Jaroslava Moserová odpowiada, że są sytuacje,

w których polityk nie zawsze może powiedzieć całą prawdę, ale nie ma prawa kłamać.

Przynajmniej jej zdaniem.

Jak zawsze – od dziesiątek lat – chodzi do kościoła.

W senacie mówią, że mierzi ją trochę Klaus, który powiedział jakiś czas temu, że dla niego Kościół to taka sama organizacja jak kółko turystyczne.

03

Zdeněk Adamec leży oblany przez strażaków wodą, temperatura poniżej zera.

Ludzie stoją bezradni. Nikt z gapiów nie dzwoni po pogotowie.

Trzej lekarze przyjeżdżają dopiero po sygnale od straży pożarnej. Przenoszą go do karetki.

Żyje jeszcze trzydzieści minut.

02

Jaroslava Moserová mówi przyjaciółce, że Milan, Tomáš i wnuki to najlepsze, co ją w życiu spotkało. Mówi rodzinie, że postanowiła jednak kandydować na stanowisko prezydenta kraju.

Przygotowała przemówienie do parlamentu:

„Wiem, że nieuczciwość najbardziej drażni młodych ludzi. I winią nas, polityków, że dopuściliśmy, aby niemoralność się rozwinęła. Na swój sposób mają rację…”.

A kończy tak: „W naszym kraju nie ufa się politykom. Mam nadzieję, że to się zmieni. Proszę, mnie zaufajcie”.

Prasa poważna prawie się nią nie interesuje. Nie powstaje ani jedna analiza jej szans wyborczych i poglądów, nikt nie robi z nią większego wywiadu.

A dziennikarka z kolorowego pisma dla pań mówi reporterowi z Polski, że kandydatka, jako chirurg plastyczny, mogłaby mieć o wiele mniej zmarszczek.

Przecież wywiad w jej piśmie nie może iść bez efektownego zdjęcia!

03

Senator Jaroslava Moserová o śmierci Zdenka Adamca słyszy miesiąc po tym, gdy przegrała wybory.

Siedzi w sali konferencyjnej Wiston House w Wilton Park w Wielkiej Brytanii. Uczestniczy w światowej konferencji przeciwko korupcji.

Otwiera laptop, łączy się z www.pochodnia2003.cz i czyta: „Całe moje życie było pełne porażek. Mam poczucie, że nie pasuję do tych czasów. Ponieważ jestem kolejną ofiarą Systemu, zdecydowałem, że moje cierpienie skończy się na zawsze. Już nie mogę dalej. Innych nic nie interesuje. Są obojętni. A politycy to mościpanowie, którzy depczą po zwyczajnych ludziach. Chcę, aby wszyscy zastanowili się nad sobą i ograniczyli zło, które co dzień popełniają. Reszty dowiecie się o mnie potem z gazet".

I ostatnie zdanie listu: „Nie róbcie ze mnie wariata".

Jaroslava Moserová zamyka komputer. Myśl, która przychodzi jej do głowy, to ta, że na konferencji przeciwko korupcji żaden kraj świata nie przedstawił na nią sensownego lekarstwa.

03

Prasa zauważa, że w pożegnalnym liście chłopiec ani jednym zdaniem nie wspomniał o rodzicach.

Znany pisarz uświadamia, że ofiara Zdenka Adamca jest powtórzeniem ofiary Jezusa.

Znany biskup pisze, że czytając tekst Zdenka, natychmiast chcielibyśmy włożyć jego historię do rozdziału „patologia". Niestety, jest to tylko wierzchołek góry lodowej wystającej z wody. Ta góra to poczucie braku sensu u młodego pokolenia.

Drugiego dnia na miejscu samobójstwa ludzie kładą kwiaty i zapisane kartki. Palą znicze.

Kładą też kwiaty i palą świeczki Palachowi.

Wycieczki cudzoziemców ustawiają się tak, aby na fotografiach było widać obie wysepki kwiatów.

Niestety, dochodzi do pomyłek. Na miejscu Palacha pojawiają się kartki: „Zdeněk, masz rację!”.

03

Trzeciego dnia wieczorem przy schodach do muzeum staje dźwig. Ekipa instaluje na nim telewizyjne reflektory.

Jasność jak w dzień.

Kamery czekają na znak.

Tłum. W samym środku stoi trzech mężczyzn w czarnych eleganckich płaszczach, wysiedli właśnie z samochodu. Jeden trzyma kwiaty.

Wszystko otoczone biało-czerwoną taśmą. Policjant czuwa, żeby nikt przez nią nie przeszedł.

Atmosfera wyczekiwania.

– To będzie jakaś transmisja w związku z tym chłopcem – wyjaśniają sobie przechodnie i każdy wyciąga jak najwyżej szyję.

Dopytują policjanta o szczegóły:

– To uroczystość? Na cześć tego Zdenka z Humpolca?!

– Jakiego Zdenka, panie – mówi policjant. – Tu się kręci film biograficzny o Hitlerze. Kanadyjczycy kręcą[20].

– No, ale tam przecież było pełno kwiatów i świeczek. To co? Pogasili te znicze?! Usunęli?! Trzy dni po śmierci, to straszne…!

– Nikt nie zgasił – tłumaczy cierpliwie policjant. – O, proszę popatrzeć, zasłonili znicze samochodem. No, żeby się nie nagrały, to je zasłonili. Wiadomo, umowa to umowa, nie można tak sobie filmu odwołać. Film, panie, to jest film. Film się musi kręcić.

Przemiana

27 marca 2003 roku.

Teatr Komedia w Pradze (z kawiarnią Tragedia w środku) wystawia *Przemianę* Franza Kafki w reżyserii Arnošta Goldflama.

W tej inscenizacji problemem bohatera nie jest to, że zamienił się w robaka, tylko jak on w tym stanie dojedzie do pracy.

Postscriptum do wydania III

Na spotkaniach autorskich za granicą istnieje zwyczaj, że autor czyta w oryginale fragment swojej książki. Czytałem *Gottland* w wielu krajach i mimo że wśród publiczności było niewiele osób, które mogłyby mnie zrozumieć, albo nie było ich wcale, zawsze skręcałem się ze wstydu.

Niektóre zdania nie brzmiały tak, jak powinny. Czytane na głos – ujawniały zły rytm, czasem zły szyk, czasem brak legata tam, gdzie frazy powinny się ze sobą łączyć, ponieważ – uwierzcie – nie cała książka miała być pisana staccatem. Język *Gottlandu* jest językiem dziennikarstwa, a nie literatury. (Jeśli coś odróżnia moje teksty od tekstów dziennikarskich, to nie język, ale sposób przedstawiania wydarzeń i konstrukcja, czasem inna niż w typowych reportażach prasowych). Skądkolwiek by mój sposób pisania się nie brał, uznałem, że warto poprawić to, co mi zgrzyta. Robię to więc na dziesięciolecie pierwszego wydania tej książki.

Nie jestem pierwszy. Egon Erwin Kisch i Hanna Krall – to dwoje autorów, którzy poprawiali swoje książki wiele razy. Kisch z powodów ideologicznych i literackich, Krall z powodów tylko literackich – uważa, że jej teksty wciąż mają za dużo słów.

Moich poprawek nie było dużo, ale skorzystałem z okazji, żeby je wprowadzić, skoro Wydawnictwo Czarne wydaje nową wersję, ilustrowaną nowymi historycznymi zdjęciami.

Najpierw – informacja rzeczowa. W rozdziale *Tylko kobieta* wprowadziłem nowe cytaty z *Dzienników* Josepha Goebbelsa. W roku 2013 zakończono wydawanie w Polsce wszystkich tomów tego dzieła, z nich więc teraz korzystam. W 2006 roku musiałem się posiłkować własnym nieprofesjonalnym tłumaczeniem.

W rozdziale *Ani kroku bez Baty* dokonałem poprawek faktograficznych. Kiedy pisałem ten tekst w roku 2002, nie miałem dostępu do wielu źródeł lub miałem dostęp do źródeł niewiarygodnych. Poprawek dokonałem dzięki

pomocy panów: Pavla Veleva z Fundacji Tomáša Baty w Zlínie i dr. Zdenka Pokludy z Uniwersytetu Tomáša Baty w Zlínie, którzy dostarczyli mi sprawdzonych informacji.

Tłumacze moich książek zgłaszali czasem uwagi, że czegoś nie rozumieją lub nie widzą logiki w jakiejś scenie. Dziękuję za uwagi zwłaszcza Helenie Stachovej (język czeski), Margot Carlier (francuski), Antonii Lloyd-Jones (angielski) i Marzenie Borejczuk (włoski). Ta ostatnia na przykład zaczęła dociekać, co znaczy takie zdanie o Lidzie Baarovej (*Tylko kobieta*):

„Ostatnią jej rolą (1982) była rola największej antyfaszystki wśród aktorek – Marleny Dietrich".

A zdanie powinno brzmieć tak (i tak już brzmi w aktualnym wydaniu):

„Ostatnią teatralną rolą w jej życiu była rola w *Świadku oskarżenia* (1982), którą w filmowej wersji zagrała największa antyfaszystka wśród aktorek – Marlena Dietrich".

Oczywiście pierwsze zdanie może znaczyć to samo, co drugie, ale nie musi.

Pojawi się pewnie wątpliwość, dlaczego nikt nie wychwycił podobnych „kwiatków" przed pierwszym wydaniem. Wytłumaczenie jest proste: i autorzy, i redaktorzy książek czytają je tyle razy, że następuje zmęczenie materiału, i przyzwyczajają się do tekstu. W *Gottlandzie* jest tych błędów mało, ale warto wspominać o roli tłumaczy w życiu książek. Dokonują w przekładanych przez siebie tytułach cennych i dla autorów, i dla redaktorów odkryć.

Książka może pisarza dręczyć. Może też – i w tym przypadku to jest lepsze słowo – uwierać. Drobnym szczegółem. Jakby był on jakimś ziarenkiem piasku, które dostało się do buta i uniemożliwia chodzenie. Przyznaję: latami uwierało mnie kilka słów. Nie były odpowiednie, a ja przecież mam pod ręką lepsze.

Zamiast „spoglądam przez okno, nawet wielokrotnie", lepiej brzmiałoby: „spoglądam przez okno, nawet wiele razy". Jest bardziej naturalnie, bliżej języka potocznego. Jan Parandowski, autor mojej ukochanej książki *Alchemia słowa*, pisał, że literatura albo cała, albo

w niektórych rodzajach broni się przed mową potoczną. Reportaż nie tylko przed nią się nie broni, lecz także jest ona mu potrzebna wręcz do istnienia. Jak człowiekowi tlen.

Wiem, że może dla niektórych „wiele razy” i „wielokrotnie” to nieistotny detal. Dla mnie – wręcz przeciwnie. Niestety, jestem wariatem, który uważa, że bez formy niemal nic nie ma sensu. Z tego też powodu wszystkie zaimki dzierżawcze „swą” zamieniłem na „swoją”. Pisanie, przynajmniej moje, nie ma być odświętne.

Dręczyła mnie także pewna informacja, którą w rozdziale o rodzinie Batów wprowadziłem jako domysł. Reporter czasem musi użyć wyobraźni, żeby oddać jakąś sytuację w pełni. Czytelnik powinien być jednak poinformowany, że nie ma do czynienia ze sprawdzonymi faktami lub faktami, które rozmówcy podają jako sprawdzone przez nich. Kiedy pisałem o żonie Tomáša Baty (nie mogła zajść w ciążę), że ponoć po powrocie do domu rozmyśla, czy drzewo, które nie rodzi owoców, nie powinno być ścięte – brzmiało to jak informacja, która jednak nie jest przeze mnie sprawdzona. Bohaterka wprawdzie już nie żyje, ale wiem to od kogoś, na przykład kogoś z otoczenia tej kobiety. Zabezpieczam się jednak – sygnalizując czytelnikowi, że może to nie być prawda – słowem „ponoć”. Podczas gdy właściwym wyrażeniem poprzedzającym tę informację jest „wyobrażam sobie”.

Teraz zdanie brzmi: „Wyobrażam sobie, że po powrocie do domu rozmyśla, czy drzewo, które nie rodzi owoców, nie powinno być ścięte […]”.

W tym momencie jestem już pewny, że nie dokonuję żadnego wykroczenia wobec sztuki reportażu. Przez kilka ostatnich lat czułem się z tamtą supozycją wobec Marie Batovej źle. Wyobraźnia reportera należy do dziedziny faktów. Jeśli coś wymyślamy, staje się to faktem, bo myślenie jest czynnością. Tyle że czytelnik powinien wiedzieć, że to fakt, który urodził się w nas samych, a nie poza nami.

Parandowski stwierdził, że książka nazajutrz po wydaniu odmawia autorowi posłuszeństwa. Dlatego zapewniam dawnych i nowych

czytelników *Gottlandu*, że tym razem stworzyłem książkę wreszcie mi posłuszną.

Do następnego wydania oczywiście.

Postscriptum II

Kiedy skończyłem pracę nad *Gottlandem*, szybko usmażyłem hamburgera. Miał być nieduży, w miarę miękki i do szybkiego spożycia. Podany w każdym kraju (powtarzalność jako święta McZasada) powinien być strawny dla każdego. Nie wszyscy autorzy wiedzą, że po wydaniu książki wysmażenie hamburgera jest sprawą najpilniejszą.

– Może i napisałeś wartościową rzecz, może i użyłeś tam słów typu „Kafka", ale pamiętaj, że książka to show-biznes – tłumaczył mi kolega z telewizji. – Musisz mieć trzy efektowne zdania, o czym twoja książka jest.

Mój hamburger wyglądał więc tak: „Napisałem książkę o tym, że ktoś lub coś zamienia ludzi w robaki – i jak oni na to reagują. Od całkowitej zgody i schizofrenicznego wręcz przystosowania aż po ucieczkę z życia i samobójstwo".

Jeśli spotkanie autorskie odbywało się w nowoczesnej księgarni Mediolanu albo w alternatywnym klubie Moskwy, poprzedzałem mojego hamburgera wyrafinowaną przystaweczką. Brzmiała: „Nawiązując do *Przemiany* Franza Kafki…". I rozmowa schodziła po chwili na ducha Kafki, który „przecież przenika całość". Do tego w książce jest rozdział o żyjącej w Pradze osiemdziesięcioczteroletniej siostrzenicy Kafki, córce jego ulubionej siostry Ottli.

Udało mi się dotrzeć do Věry Saudkovej w 2004 roku. (Teraz podaję jej nazwisko, w pierwszych wydaniach *Gottlandu* jest tylko S., bo miałem wrażenie, że pani Věra bardzo dba o prywatność).

Nie chciała rozmawiać. Jak piszę w rozdziale *Pani Nieimitacja*, nigdy nie udzieliła wywiadu. Nawet Amerykanie nie byli w stanie kupić jej wyznań. Kiedy tak stałem przed nią, przestępując z nogi na nogę i prosząc o rozmowę, odpowiedziała: „Proszę napisać do mnie list, wyjaśnić, o czym chciałby pan rozmawiać, odpowiem w stosownym terminie".

Gdy mimo to udało mi się zadać jedno pytanie („Jak się pani czuje w XXI wieku?”), znów odparła: „Proszę napisać do mnie list, odpowiem w stosownym terminie”.

Nie miałem wywiadu, ale miałem boską puentę!

Z wizyty urodziła się formułka, która zaspokajała podświadome pragnienie: siostrzenica Kafki nie może być zwyczajną kobietą, powinna być postacią z Kafki. Odmawiając rozmowy i prosząc o napisanie listu, idealnie wpisała się w kafkowski paradygmat – daremne wyczekiwanie.

Kiedy wydałem książkę poza Polską, we wszystkich krajach Věra S. służyła wydawcom (ale i mojej dumie) jako maleńki klejnot. W materiałach prasowych podkreślano, że „na kartach książki *Gottland* pojawia się też tajemnicza postać siostrzenicy Kafki, którą autor odwiedza w domu”. Dla książki o Czechach i Czechosłowacji opowieść o żyjącej enigmatycznej siostrzenicy była bezcenna (zwłaszcza gdy komunistyczna Czechosłowacja jest dowodem, że Kafka był pisarzem realistycznym).

Jak Państwo widzą, nawet odmawiając rozmowy, zrobiła mi prezent.

A więc zamknąłem i opakowałem Věrę S. w kilkadziesiąt zdań. Zaczęła funkcjonować (w mojej głowie i w anegdotach, które opowiadałem na spotkaniach autorskich) jako opowiadanie zamknięte.

Po mojej wizycie przez lata spoglądałem na jej dom z podnieceniem. Czasem dzwoniłem domofonem. Nikt się nie odzywał. Najpierw sądziłem, że ze względu na wiek pani Věra znalazła się w jakimś ośrodku opieki. Po kilku latach wydało mi się naturalne, że musiała umrzeć, co mnie dziwnie uspokoiło. Miałem bowiem Věrę S. już tylko dla siebie, nikt mi nie mógł jej ukraść. Była uwięziona raz na zawsze jak owad w bursztynie. A bursztyn był mój!

Jednak żadne opowiadanie, jeśli jest prawdziwe, nie może być zamknięte. Także to opowiedziane tysiąc razy.

Věra S. w wieku dziewięćdziesięciu lat udzieliła pierwszego wielkiego wywiadu. Ale nie mnie! W dodatku udzieliła go, paląc papierosa. (Powiedziała, że pali od osiemdziesięciu jeden lat, czyli od dziewiątego roku życia). To w Czechach wydarzenie. Czeski tygodnik „Reflex”, który

rozmowę wydrukował, zaczął ją od tego, że mnie nie udało się z Věrą Saudkovą porozmawiać.

Z zazdrością (pozytywną) czytam, co powiedziała w „Reflexie". Przeczytała wszystkie książki Kafki. Zawsze przy lekturze ma do siebie pretensje, że do niej jego książka nie trafia albo że widzi w niej coś innego, niż napisał Kafka.

„– Źle się z tym czuję, że go nie rozumiem – zwierza się. – A szaleństwo wokół niego w ogóle mi nie odpowiada. Przed laty na jakiejś konferencji – dodaje – podszedł do mnie mężczyzna, położył mi rękę na ramieniu i jąkając się, powiedział: »Proszę pozwolić, że dotknę ramienia, w którym krąży ta krew! Krew Kafki!«. Zrobiło mi się niedobrze i uciekłam. Kiedyś jeden badacz całkiem poważnie się dopytywał, czy Kafka nie trzymał moczu.

– I co mu pani odpowiedziała? – spytała dziennikarka.

– Że nic mi o tym nie wiadomo. W naszej rodzinie na taki temat się nie rozmawiało. Zainteresowanie kafkologów towarzyszy mi całe życie. I nie jest to przyjemne.

– Pani mama czytała jego książki?

– Nie wiem. Mama nie była specjalną czytelniczką. Dziadek Hermann Kafka książek swojego syna w ogóle nie uznawał: »Skrobaniem porządny chłop się nie utrzyma«. Kiedy Franz mu przyniósł swoją pierwszą książkę, dziadek rzucił: »Połóż mi na nocnym stoliku«. To było potem w naszej rodzinie kultowe zdanie.

Inne rodzinne powiedzenie brzmiało: »Nicht vor dem Vater« – »Nie przy ojcu". Złe oceny, rozbite kolano, wszystko się mogło stać, ale »nie przy ojcu«... Babcia Julia dbała o to, aby dziadka nic nie rozzłościło.

– Pani syn ponownie przetłumaczył na czeski *List do ojca* Kafki. Wybrał przy tym nagłówek »Najmilszy tatusiu« zamiast poprzedniego »Drogi ojcze«.

– Kafkolodzy się pieklili. A Vojtěch to przełożył właściwie. Z tego, co pamiętam, to u Kafków zawsze się mówiło *Vater* albo »tatuś«. »Ojcze« nikt by nie powiedział. Mówiło się jak w innych praskich żydowskich rodzinach: po czesku z niemieckimi wyrazami".

Věra Saudková uważa, że mieć szczęście to umrzeć we własnym łóżku. Tak umarł dziadek, czyli ojciec Franza, tak umarła jego matka. Ich trzy córki, Elli, Valli i Ottla zginęły w obozie.

„Panią i pani siostrę uratowało to, że miałyście aryjskiego ojca” – nadmienia dziennikarka. Następuje poruszająca opowieść, jak siostra Kafki, żeby jej mąż mógł nadal być urzędnikiem, zaproponowała mu na początku okupacji rozwód. Gdy tylko ktoś pukał do drzwi, chowała się za szafę. Kiedy zginęła w Auschwitz, córki dostały od niej kilka listów naraz. Pisała w nich: „Pozdrówcie pannę Ua ua”. To był kryptonim taty, który gdy były z siostrą małe, bawił się z nimi w Indian.

Z wywiadu ewidentnie wynika, że dla Věry Saudkovej wiek XXI jest o wiele lepszy niż XX.

Szczęściarą, której siostrzenica Kafki udzieliła wywiadu, jest Hana Benešová, autorka świetnego reporterskiego serialu *Czeskie losy*. Mówi, że uzyskanie wywiadu było zaskakująco proste.

Poprosiła Věrę Saudkovą o rozmowę. Ta odmówiła, jak wszystkim. Ale Hana po czterech latach wysłała pani Věrze list i napisała, o czym dokładnie chciałaby rozmawiać. Po kilku dniach przyszła odpowiedź: starsza pani się zgadza. Hano Benešová, jesteś wielka! Przecież Věra S. powiedziała mi wyraźnie: „Proszę w tej sprawie napisać do mnie list. Odpowiem w stosownym terminie”.

Ale mnie Bóg nie podpowiedział: „Icek, ty daj mnie szansę. Ty kup los”.

I nie napisałem listu. Życie potrafi robić nam niespodzianki. Otóż Hana Benešová przyniosła Věrze Saudkovej czeskie wydanie *Gottlandu* i czytała jej na głos przy łóżku. Pani Saudková była ponoć poruszona tą (swoją przecież) historią i podpisała się na mojej książce.

Dwa lata później napisał do mnie jej syn. Że dziewięćdziesięciotrzyletnia mama żyje już głównie w łóżku, ale jest gotowa udzielić mi wywiadu. Mogę przyjeżdżać do Pragi.

Nie pojechałem. I już nie mam po co – Věra Saudková umarła w zeszłym roku.

Kto mnie zrozumie?

Postscriptum III

Wielu czytelników pyta mnie na spotkaniach autorskich, co dziś robią moi bohaterowie lub czy dana historia ma jakieś nowe odsłony.

Małe podsumowanie:

Tomáš Bata – Tomík, którego pytałem, jak żyć – zmarł w roku 2008.

Lída Baarová doczekała się w Czechach kolejnych książek o sobie. Czesi wciąż chcą o niej czytać, co warte jest psychologicznej analizy.

Pomnik Stalina też doczekał się wreszcie publikacji na własny temat. Jedna z nich to wspaniała monografia – *Případ Stalin. Historická a literární studie Stalinova pomníku v Praze* autorstwa Hany Píchovej (Praha 2014). Autorka jest profesorką University of North Carolina-Chapell Hill i powołuje się wiele razy na fragmenty *Gottlandu*. Druga książka to *Žulový Stalin: osudy pomníku a jeho autora* Rudly Cainera (Praha 2008), reklamowana jako literatura faktu. Autor, Czech mieszkający w Wiedniu, wykonał ogromną pracę dokumentacyjną. Podczas lektury zaskoczył mnie kilka razy. Cytuje na przykład rozmowę rzeźbiarza Šveca z kochanką. Byłem tak zafascynowany jego reporterską dociekliwością (mnie nie udało się do takich relacji dotrzeć), że napisałem mu list gratulacyjny. Odpisał, że rozmowa jest zmyślona, bo przecież książka ma swoje prawa.

Karel Gott w 2015 roku po raz czterdziesty zdobył Złotego Słowika (aktualnie nagroda nosi nazwę Czeski Słowik, ale publiczność preferuje starą).

W 2016 roku gwiazdor zmaga się z ciężką chorobą nowotworową.

W 2008 roku wziął ślub z kobietą młodszą o trzydzieści siedem lat, mają dwie córki.

Według świadków, których cytował Program Pierwszy Czeskiego Radia, piosenkarz w samolocie do Las Vegas, dokąd leciał na własny ślub, przejrzał książkę *Gottland*, uważnie przeczytał rozdział *Życie jest*

mężczyzną i powiedział do towarzyszącej mu narzeczonej: „Zepsuło mi to całe Las Vegas”.

Jeśli to prawda (audycję przygotowała jedna z najpoważniejszych redaktorek tego radia, Jana Klusaková, nie sądzę, żeby pozwoliła sobie na konfabulację), jest mi z tego powodu przykro.

Z Karelem Gottem widziałem się kilka razy w życiu, byłem gościem w jego domu. Pisząc tę książkę, bardzo pilnowałem się, żeby nie cytować naszych prywatnych rozmów. Niemniej Gotta w książce, która opowiada o tym właśnie kawałku Europy, nie mogło zabraknąć, jest przecież postacią ikoniczną. Pomyślałem, że najuczciwiej będzie cytować jego autoryzowane wypowiedzi dla czeskiej prasy. Więc jeśli coś mu zepsuło ślubną przygodę, to jego własny język.

Jeśli chodzi o rozwój jego poglądów na świat, to w dzienniku „Lidové noviny” ogłosił, że za katastrofą tsunami, która dotknęła Azję Południowo-Wschodnią, stoją „tajemnicze siły i ludzie, którym ta katastrofa była na rękę”.

Nadal bardzo cenię go jako piosenkarza.

Kiedy książka *Gottland* w 2007 roku wyszła w Czechach, zażądano jej likwidacji.

Nie naród, nie władza rzecz jasna, tylko przedstawiciel muzeum Gottland.

Czeskie wydawnictwo otrzymało wezwanie, żeby natychmiast zaprzestało sprzedaży książki i usunęło ją z księgarń. Muzeum Gottland wysłało listy do wszystkich hurtowni w Republice Czeskiej i ostrzegło, że sprzedaż tej książki jest niezgodna z prawem. Narusza bowiem zasadę konkurencji, słowo „Gottland” zastrzeżone jest tylko dla muzeum Karela Gotta.

W całej Republice Czeskiej wezwaniem tym przejął się tylko jeden księgarz z Ostrawy i schował książkę do magazynu, a na swojej stronie www zastąpił tytuł *Gottland* tytułem *Gxxxxxd*.

Wydawnictwa czeskie i polskie oświadczyły, że nie zmienią tytułu, i postanowiły książkę sprzedawać dalej. Można bowiem zastrzec znak

towarowy, ale nikt nie ma prawa zabraniać używania jakiegoś słowa w literaturze. Tytuł książki jest elementem literatury, ona zaś musi być wolna.

Wobec nieprzejednanego stanowiska wydawnictw, muzeum odstąpiło od roszczeń.

Księgarz z Ostrawy znów ustawił książkę na półkach.

Muzeum Gottland nie istnieje, a jego właściciel, biznesmen Jan Moťovský, który zaginął w 2008 roku podczas podróży służbowej, wciąż się nie odnalazł. Tabloidy spekulują, że żyje na Karaibach.

Mąż Heleny Vondráčkovej Martin Michal jako właściciel agencji koncertowej pozwał Martę Kubišovą do sądu o straty za odwołanie przez nią trasy reaktywowanego zespołu Golden Kids. Kubišová miałaby zapłacić odszkodowanie w wysokości miliona trzystu tysięcy koron. Broniła się argumentem, że nie istniała żadna podpisana umowa na koncerty, a zrezygnowała z nich, ponieważ różniła się z Vondráčkovą w artystycznej koncepcji ich występów. Media i opinia publiczna śledziły proces przez siedem lat, będąc w większości po stronie Kubišovej.

W powszechnej opinii był to proces Vondráčkovej przeciw Kubišovej. Sąd Najwyższy Republiki Czeskiej potwierdził wyroki sądów niższych instancji i uznał, że Marta Kubišová nie ponosi winy.

Jaroslava Moserová zmarła w trakcie pracy nad tą książką 24 marca 2006 roku.

Rodzice Zdenka Adamca nawet kilka lat po jego śmierci, a także kilka lat po ukazaniu się *Gottlandu* w Czechach, po raz kolejny odmówili mi rozmowy. Jak zresztą wszystkim dziennikarzom.

Książka ta została cztery razy wystawiona w teatrze. Trzy inscenizacje w Czechach: Švandovo divadlo w Pradze, Národní divadlo moravskoslezské w Ostrawie i projekt LiStOVáNí (objazdowy teatr) Lukáša Hejlíka. W Polsce jako musical wystawił ją Teatr Rozrywki w Chorzowie.

Absolwenci i studenci praskiej szkoły filmowej FAMU nakręcili – inspirując się książką – sześć etiud dokumentalnych pod wspólnym tytułem *Gottland*.

Wciąż dostaję listy od czytelników z piętnastu krajów, w których książka była wydana (szesnasty i siedemnasty kraj, w których wyjdzie niebawem, to Macedonia i Chiny).

Niemniej dwa najważniejsze dla mnie listy nadeszły z Czech i dotyczyły rozdziału *Ani kroku bez Baty*. W jednym czytelnik pisał, że wreszcie ktoś odważył się napisać prawdę o Batach: była to okropna rodzina krwiopijców-kapitalistów, która nie szanowała zwykłego człowieka, poniżała go i wykorzystywała. W drugim czytelniczka chwaliła mnie: wreszcie zwróciłem uwagę na to, że Batowie byli socjalistami, którzy nie widzieli nic poza dobrem swoich pracowników, dali im wykształcenie, pracę, kulturę oraz godność.

Uwielbiam takie sprzeczne reakcje na teksty.

Raz słyszę, że *Gottland* to książka pisana z punktu widzenia Polaka i w ogóle nie jest książką o prawdziwych Czechach, raczej projekcją Polaka, jak chciałby widzieć Czechów. Nie ma więc z nimi nic wspólnego.

– O, zgadzam się z tym, świetnie ujęte – mówię i kiwam z aprobatą głową.

Innym razem, że to książka, która dotknęła tego, co w Czechach najprawdziwsze, i oni sami są zdziwieni, jak dobrze oddaje ich mentalność i los.

– O, zgadzam się z tym, świetnie ujęte – mówię i kiwam z aprobatą.

Ktoś mi mówi, że ta książka jest wobec Czechów nieprzyjemna i piętnuje ich jako tchórzy.

– Ale ich pan złośliwie pokazał.

– O, zgadzam się z tym, świetnie… – mówię i kiwam z…

Ktoś inny stwierdza, że to książka, która wreszcie jest próbą zrozumienia Czechów i jest im bardzo przychylna.

– O, zgadzam się z tym… – mówię i kiwam…

Ktoś, że wie, iż w Czechach to wielki hit.

– O, zgadzam się... – mówię…

Ktoś, że to w Czechach książka bardzo źle przyjęta.

– O, zgadzam…

I tak dalej.

Dlaczego reaguję przychylnie na każdą przeciwstawną uwagę?

Bo uważam, że dzieło powinno żyć własnym życiem.

A także dlatego – tu powołam się ostatni raz na mój ulubiony książkowy esej Jana Parandowskiego *Alchemia słowa* i zacytuję z pamięci – że reakcja na książkę to wystawa umysłowości czytelnika. Książka po wydrukowaniu staje się cudzą własnością. „Najpotulniejszy czytelnik nie potrafi się oprzeć wpisywaniu własnej duszy w tekst cudzej”.

A mnie jako reportera bardzo ciekawi, jak się ludzie zachowują i co myślą. Nie będę im zmieniał poglądów.

Mariusz Szczygieł

Literatura

IV. sjezd Svazu československých spisovatelů. Praha 27.–29. června 1967. Protokol, Praha 1968

Alternativní kultura. Příběh české společnosti 1945–1989, red. Josef Alan, Praha 2001

Arcanjo Francisco Moacir, *Svět porozumí. Příběh krále bot Jana Antonína Bati*, przeł. Marek Belza, Krásna Lípa 2004

Ash Timothy Garton, *Historia na gorąco: eseje i reportaże z Europy lat 90.*, przeł. Jadwiga Piątkowska, Kraków 2000

Baarová Lída, *Života sladké hořkosti*, Ostrava 1998

Bartošek Karel, *Češi nemocní dějinami. Eseje, studie, záznamy z let 1968–1993*, Praha – Litomyšl 2003

Baťa Jan A., *Spolupráce. Výbor z článků a projevů v letech 1920–1936*, Zlín 1936

BaťaTomáš J. , Soňa Sinclairová, *Švec pro celý svět*, Praha 1991

Benčík Antonín, Josef Domaňský, *21. srpen 1968*, Praha 1990

BoorstinDaniel J. , *Amerykanie. Fenomen demokracji*, przeł. Jolanta Kozak, Warszawa 1995

Češi a Němci. Dějiny – kultura – politika, red. Walter Koschmal, Marek Nekula, Joachim Rogall, Praha–Litomyšl 2001

Brandes Detlef, *Češi pod německým protektorátem. Okupační politika, kolaborace a odboj 1939–1945*, przeł. Petr Dvořáček, Praha 1999

Charta 77 (*1977–1989*). *Od morální k demokratické revoluce. Dokumentace*, red. Vilém Prečan, Bratislava 1990

Brož Ivan, *Chlapi od Baťů. Osudy baťovců v době, kdy šefoval Jan Baťa*, Praha 2002

Cekota Antonín, *Jak rostl Zlín: Naše volby 1923–1927*, Zlín [b.d.w.]

Černý Václav, *Paměti 1945–1972*, Brno 1992

Doctorow E. L., *Ragtime*, przeł. Mira Michałowska, Warszawa 1993

Dubček Alexander, *Nadzieja umrze ostatnia: ze wspomnień Alexandra Dubčeka*, przeł. Piotr Godlewski, Warszawa 1995

Dvořáková Jiřina, *Bedřich Pokorný – vzestup a pád*, „Sborník archivu Ministerstva vnitra", 2/2004

Evžen Erdély, *Baťa – švec, který dobyl světa*, Praha [1932], II wyd. Bratislava 1990

Fabián Karel, *Letící kůň*, Praha 1961

Georgiev Adam, *Chytat slunce. Kniha o Martě Kubišové*, Praha 1997

Goebbels Joseph, *Dzienniki. Tom 1: 1923–1939*, wybrał i przeł. Eugeniusz Cezary Król, Warszawa 2013

Górny Maciej, *Między Marksem a Palackým. Historiografia w komunistycznej Czechosłowacji*, Warszawa 2001

Grunberger Richard, *Historia społeczna Trzeciej Rzeszy*, przeł. Witold Kalinowski, Warszawa 1994

Havel Václav, *Zaoczne przesłuchanie. Rozmowy z Karelem Hvížďalą*, przeł. Jacek Illg, Warszawa 1989

Hrabal Bohumil, *Kim jestem*, przeł. Andrzej Sławomir Jagodziński [w:] *Hrabal, Kundera, Havel… Antologia czeskiego eseju*, Kraków 2001

—, *Zdrada luster*, [w:] *Sprzedam dom, w którym już nie chcę mieszkać*, przeł. Janusz Anderman, Tadeusz Lis, Izabelin 1996

Ivanov Miroslav, *Sága o životě a smrti Jana Bati a jeho bratra Tomáše*, Vizovice 2000

Janáček Pavel, *Literární brak. Operace vyloučení, operace nahrazení 1938–1951*, Brno 2004

Janáček Pavel, Michal Jareš, *Svět rodokapsu. Komentovaný soupis sešitových románových edic 30. a 40. let 20. století*, Praha 2003

Jedlička Josef, *České typy aneb Poptávka po našem hrdinovi*, Praha 1992

Jesenská Milena, *Ponad nasze siły. Czesi, Żydzi i Niemcy. Wybór publicystyki z lat 1937–1939*, przeł. Leszek Engelking, Wołowiec 2003

Jirous Ivan M., *Magorův zápisník*, Praha 1997

Kaczorowski Aleksander, *Praski elementarz*, Warszawa 2001

Kalenská Renáta, *Rozhovory na konci milénia*, Praha 2001

Karlík Viktor, Terezie Pokorná, *Anticharta*, Praha 2002

Kisch Egon Erwin, *Fabryka butów*, przeł. Jacek Frühling, [w:] *Szalejący reporter*, Warszawa 1955

Kocian Jiří, Jiří Pernes, Oldřich Tůma a kol., *České průšvihy aneb Prohry, krize, skandály a aféry českých dějin let 1848–1989*, Brno 2004

Kohout Pavel, *Bagno*, przeł. Dorota Jilli, Josef Lejnar, Violetta Merth, Wiedeń 1988

—, *Z deníku kontrarevolucionáře aneb Životy od tanku k tanku*, Praha 1997

Kosatík Pavel, *Fenomén Kohout*, Praha–Litomyšl 2001

Kroutvor Josef, *Europa Środkowa: anegdota i historia*, przeł. Jan Stachowski [w:] *Hrabal, Kundera, Havel… Antologia czeskiego eseju*, Kraków 2001

Kučera Bohumil, *Batismus – ideologie sociálfašismu*, Gottwaldov 1959

Kunze Reiner, *Cudowne lata*, przeł. Marek Zybura, Wiedeń 1990

Lehár Bohumil, *Přehledné dějiny n.p. Svít před znárodněním (1894–1945)*, Gottwaldov 1959

Miklaszewska Maryna, *Drugie odejście barda*, „Karta" 1996, nr 20

Motl Stanislav, *Prokletí Lídy Baarové*, Praha 2002

Parandowski Jan, *Alchemia słowa*, Warszawa 1961

Pokluda Zdeněk, *Ze Zlína do světa – příběh Tomáše Bati*, Zlín 2004

Procházka Jan, *Politika pro každého*, Praha 1968

Procházková Lenka, *Děkovačka pro hrobníka*, [w:] *Evropský fejeton*, Brno 1992

„Ročenka Baťa 1940", Zlín 1940

Rybka Zdeněk, *Základní zásady Baťova systému pro podnikatele a vedoucí pracovníky. Studie*, Praha 1999

Tigrid Pavel, *Kapesní průvodce inteligentní ženy po vlastním osudu*, Praha 2002

Tomáš Baťa a 30 let jeho podnikatelské práce, red. Jaroslav Pagáč, Praha 1926

Tomaszewski Jerzy, *Czechosłowacja*, Warszawa 1997

Tomeš Josef a kol., *Český biografický slovník XX. století*, Praha 1999

Turek Svatopluk, *Batismus v kostce*, Gottwaldov 1950

—, *Bude odsouzen zrádce J. A. Baťa?*, Zlín 1947

—, *Pravá tvář batismu*, Praha 1959

—, *Zrada rodiny Baťovy*, Gottwaldov 1949

Vaculík Ludvík, *Nepaměti* (*1969–1972*), Praha 1998

Vaculíková Madla, *Já jsem oves. Rozhovor s Pavlem Kosatíkem*, Praha 2002

Valach František, *Fenomén Baťa*, Praha 1990

Vančura Jiří, *Naděje a zklamání. Pražské jaro 1968*, Praha 1990

Vávra Otakar, *Podivný život režiséra. Obrazy vzpomínek*, Praha 1996

Zelený Milan, *Cesty k úspěchu. Trvalé hodnoty soustavy Baťa*, [b.m.w.] 2005

Poza tym:

Materiały praskiego fanklubu Marty Kubíšovej,

Roczniki pism: „Dikobraz", „Rudé právo", „Zaběr", „Reflex", „Respekt"

Dokument telewizyjny *Předčasná úmrtí*, reż. Jordi Niubó, Česká televize 2001

Przypisy

[1] W rzeczywistości rodzina nazywała się Baťa, ale ze względu na przyzwyczajenie klientów do nazwy Bata zdecydowałem się zostawić ją w takim właśnie, światowym brzmieniu.

[2] Potem zostanie zgładzona wieś Ležáky, gdyż tam ukrywał się radiotelegrafista z grupy przysłanej z Londynu do przygotowania zamachu.

[3] Otakar Vávra zmarł w wieku stu lat w 2011 roku.

[4] Gustav Fröhlich zagrał główną rolę w legendarnym filmie Fritza Langa *Metropolis* z 1926 roku.

[5] W tym trzy w reżyserii Otakara Vávry: *Dívka v modrém*, *Maskovana milenka* i *Turbína*.

[6] Siedemdziesiąte urodziny Józef Wissarionowicz Stalin powinien obchodzić w 1948 roku. Najprawdopodobniej w wielu dokumentach sam sfałszował swój rok urodzenia na 1879 i taki – jako oficjalny – przyjęto za jego życia. Szeroko omawia to rosyjski historyk Edward Radziński w swoim bestsellerze *Stalin. Pierwsza pełna biografia oparta na rewelacyjnych dokumentach z tajnych archiwów rosyjskich*, wydanym w 1996 roku w USA. W Polsce książka wyszła w przekładzie Ireny Lewandowskiej i Michała Jagiełły w tym samym roku.

[7] Věrę S. odwiedziłem na prośbę Remigiusza Grzeli. Informacje o Ottli David zaczerpnąłem z jego książki *Bagaże Franza K.*, Warszawa 2004.

[8] Karel Kachynia zmarł 12 marca 2004 roku, dwa lata po napisaniu tego reportażu.

Oprócz *Ucha* najważniejszym wspólnym dziełem Kachyni i Procházki jest *Wóz do Wiednia* z 1966 roku, jeden z najbardziej kontrowersyjnych filmów tamtych lat. Bohaterką jest zrozpaczona wiejska kobieta, której Niemcy powiesili męża. W ostatnim dniu wojny młody hitlerowski żołnierz zmusza ją do przewiezienia wozem konnym siebie i swojego rannego towarzysza przez zieloną granicę. Kobieta zabiera ze sobą sierp, aby przy nadarzającej się okazji obu zabić. Jednak między młodym Niemcem a kobietą rodzi się najpierw współczucie, a potem pożądanie. Wtedy dopadają ich czescy partyzanci. Niemców zabijają, ją traktują jak prostytutkę i gwałcą. Film okrzyczano jako antyczeski. Procházka z Kachynią wyjaśniali, że to „po prostu film przeciwko zabijaniu”.

[9] W czeskich księgarniach książki Franza Kafki znajdziemy na półce „literatura czeska”. Historyk kultury Alexej Kusák (organizator pierwszej w krajach komunistycznych konferencji na temat Kafki w Liblicach w 1963 roku; uważa się, że ta konferencja była początkiem kontrrewolucji, zwanej Praską Wiosną) sądzi, że gdyby dziś zrobić badanie społeczne, większość czeskiego społeczeństwa odpowiedziałaby, że Kafka to pisarz czeski. – I proszę sobie wyobrazić – mówi – że Żydzi, których w życiu spotkałem, zawsze podkreślają, że żydowski, Austriacy, że to pisarz austriacki, a Niemcy, że niemiecki, rzecz jasna.

[10] W filmie *Zvláštní bytosti* zagrali Ewa Żukowska i Jan Tesarz.

[11] W Pradze na ulicy Vodíčkovej na przechodzącą kobietę spadł wielki gzyms – opowiadał Václav Havel. Jej śmierć wywołała burzę protestów. Władze skanalizowały nastroje, mówiąc w mediach, że oto socjalizm poczynił wielkie postępy, bo przyczyny wydarzenia „mogą być przecież oficjalnie krytykowane”. Na sławnym IV Zjeździe Związku Pisarzy Czechosłowackich (Praga, 27–29 czerwca 1967 roku), który uważa się za pierwszy akcent Praskiej Wiosny, Václav Havel w swoim przemówieniu stworzył z odpadających fasad i gzymsów – metaforę. Przypomniał, że mówił o nich dwa lata wcześniej na konferencji pisarzy, i teraz sytuacja się zmieniła: nic już nie spada na przechodniów, bo cała Praga pełna jest rusztowań budowlanych, którymi opasano domy. Niemniej jest to sytuacja gorsza niż wcześniej. Miasto stanęło bowiem na rozdrożu. Albo nowe, pastelowe fasady będą tym, czym powinny, czyli wizytówką pięknego, cywilizowanego miasta, które oddycha i żyje. Albo staną się tylko maską, fałszywą twarzą miasta, bowiem za nimi kryć będą się przepełnione, duszne, brudne mieszkania. Ta sytuacja jest dla Havla metaforą tego, co dzieje się w związku pisarzy, który także stanął na rozdrożu.

Na koniec Havel ostrzega, że na Żiżkovie, gdzie często spadały gzymsy, ustawiono nowe duże rusztowanie. Niestety, i ono samo spadło na przechodniów.

[12] „Wczoraj rano przy niedzieli strasznie jajca mnie swędzieli” – autorem tego celnego „syntetycznego tłumaczenia” dziesiątek piosenek Plastikowych jest Andrzej S. Jagodziński.

[13] Od momentu napisania tego reportażu w 2002 roku do oddania do druku tej książki w 2006 roku Karel Gott zdobył wszystkie następne Złote Słowiki. Jest prawdopodobne, że w momencie gdy Czytelnik czyta tę książkę, Gott ma na koncie kolejnego Złotego Słowika.

[14] Jednym z niewielu twórców, którzy wprost mówią o swojej życiowej porażce, jaką był udział w kampanii przeciwko Karcie 77, jest pisarz i dramaturg Karel Hvížďala. W ankiecie „Lidovych novin” odpowiedział: „Oczywiście sprawiłem zawód. W chwili gdy podpisywałem Antykartę, nie byłem przecież w partii, a mimo to były na człowieka wywierane różne naciski, aby Diabłu podał rękę. Uświadomiłem sobie własną słabość i wyjechałem z kraju”.

[15] Nie chodzi tu o słynne pismo literackie „Květen”, założone w 1955 roku; zbieżność tytułów jest przypadkowa.

[16] Dyskusja, czy Jan Masaryk skoczył sam z okna, czy został z niego wyrzucony, trwa już szóste dziesięciolecie. Viktor Fischl – czeski pisarz, który wyemigrował do Izraela, były ambasador Izraela w Polsce, a w czasie wojny sekretarz Masaryka – na kilka dni przed swoją śmiercią w maju 2006 roku udzielił wywiadu tygodnikowi „Reflex”, w którym wraca do tej sprawy. Mówi, że Jan Masaryk był głęboko wierzącym człowiekiem. „A więc to niemożliwe, żeby sam skoczył z okna?” – pyta dziennikarz. „Z pewnością nie – odpowiada Fischl. – Nigdy w to nie wątpiłem. Ale z drugiej strony widziałem, jak jego zachodni przyjaciele nie potrafili go zrozumieć, nie pojmowali, dlaczego wszedł do komunistycznego rządu. Widziałem, jak nie umiał im tego wyjaśnić, jak cierpiał z tego powodu i ta męka donikąd nie prowadziła. Myślałem sobie wówczas: ten człowiek jest tak nieszczęśliwy, że może zrobić wszystko. Potem jednak wyszły na jaw kolejne rzeczy. Doktor Karel Steinbach napisał, że Masaryk trzymał na stoliku środki nasenne i sam Steinbach mu powiedział: »Honzo, możesz wziąć jedną tabletkę czy dwie. Gdybyś wziął trzecią, to czwartej już na pewno nie zdążysz«. W roku 1990 byłem członkiem delegacji izraelskiej, która nawiązała kontakty dyplomatyczne z Czechosłowacją. Ministrem był wówczas jeszcze Dienstbier. Zaprosił nas na obiad do Pałacu Czernińskiego [siedziba czechosłowackiego

MSZ, dziś czeskiego – przyp. M. Szcz.]. Siedziałem obok niego, kiedy spytał nagle, czy chciałbym zobaczyć mieszkanie Masaryka. Zaprowadził mnie na górę. Znałem to mieszkanie, bo często u Jana bywałem. Pokazał mi też łazienkę. Jan Masaryk to był kawał faceta, musiał ważyć ponad setkę. Fizycznie niemożliwe byłoby dla niego wejść na okno, z którego miałby skoczyć. Musiałby wejść tam po drabinie. Wyobraziłem sobie tego olbrzyma, który z trudem wdrapuje się na okno, żeby móc z niego skoczyć, a obok łóżka ma proszki nasenne, które wystarczy tylko połknąć, żeby wszystkie problemy przestały istnieć, i powiedziałem sobie: to wykluczone".

[17] Stworzył ją rzeźbiarz Otto Gutfreund.

[18] Oryginalna i funkcjonująca nazwa strony to www.pochoden2003.nazory.cz.

[19] Janowi Zajícowi poświęcony jest świetny reportaż Lidii Ostałowskiej *Zimne ognie*, „Gazeta Wyborcza", 21 sierpnia 1993.

[20] Kręcono dwuczęściowy film telewizyjny *Hitler. Narodziny zła* (tyt. ang. *Hitler: the Rise of Evil*) w reżyserii Christiana Duguaya. Kilkakrotnie pokazała go już polska telewizja.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl
edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, urszula@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2016
Wydanie III (zmienione)